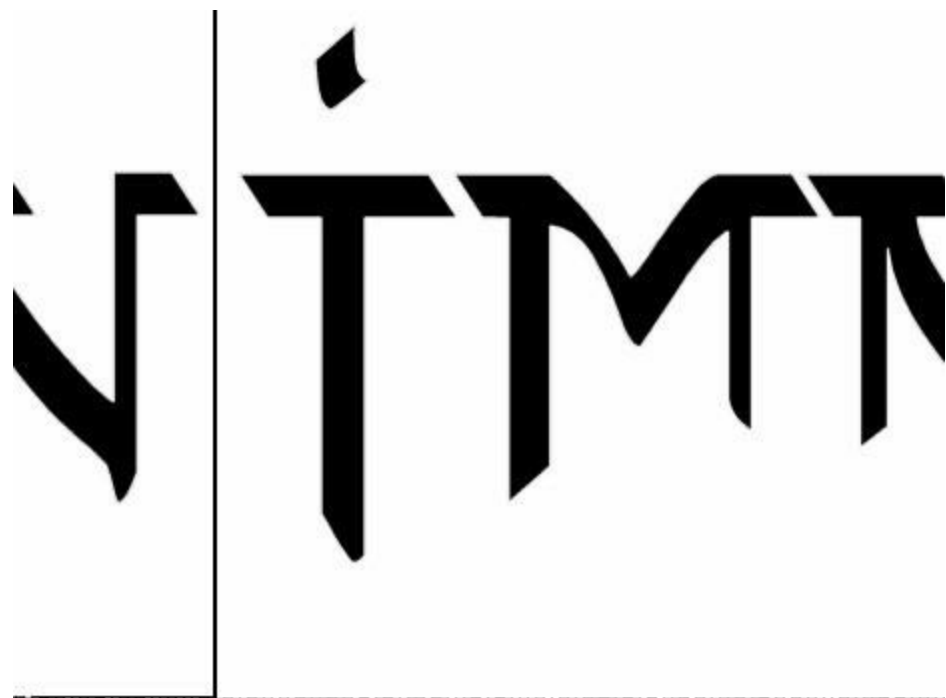


# Człowiek Terminal

Crichton Michael



calibre 0.9.27



**Michael Crichton**

Człowiek terminal

Przełożył Andrzej Leszczyński

**Data wydania oryginalnego: 1972**

Data wydania polskiego: 1994



## Podziękowania

Doktor Martin J. Nathan oraz Demian Kuffler służyli mi pomocą w sprawach technicznych, Kay Kolman Tyler przygotowała elementy graficzne. Wyrażam im głęboką wdzięczność.

## Od autora

Czytelnicy, którym tematyka tej książki wyda się szokująca, niech nie sądzą, że jest to niewinna fikcja literacka. Historia badań ludzkiego mózgu liczy sobie przeszło sto lat, a od ponad pół wieku podejmowane są próby sterowania jego funkcjonowaniem. Wiele lat ma też historia sporu zwolenników i przeciwników tego rodzaju badań.

Doniesienia o sukcesach neurochirurgii niejednokrotnie bulwersowały opinię publiczną, gdyż sukcesy te są na tyle spektakularne, że komentuje się je powszechnie na łamach rozmaitych czasopism. Niestety społeczeństwo nie traktuje owych doniesień zbyt poważnie, ponieważ ogłoszono już tyle przerażających przepowiedni i tyle tak fantastycznych spekulacji, że w efekcie większość ludzi termin „kontrola umysłów” woli wiązać z bardzo odległą przyszłością, nie dopuszczając myśli, iż ten problem mógłby dotyczyć kogokolwiek spośród obecnie żyjących.

Tymczasem naukowcy zaangażowani w badania traktują możliwość „kontroli umysłów” jak najbardziej poważnie i poszukują szerokiego forum dla publicznej dyskusji. James V. McConnell powiedział przed kilkoma laty swoim studentom: „Możemy to robić, potrafimy kontrolować zachowania ludzi. Kto jednak miałby decydować, w jakich wypadkach należy to czynić i — gdzie wytyczyć granicę? Jeśli znajdziecie trochę czasu, przemyślcie tę sprawę, a ja obiecuję, że rozważę każdą propozycję. Nie wiem tylko, czy wtedy nie będzie już za późno”.

Wiele osób jest zdania, iż nasze życie jest zdeterminowane, toczy się ściśle określonym, z góry wytyczonym torem. Widzimy, jak decyzje z ubiegłych lat owocują skażeniem środowiska, depersonalizacją i deprawacją mieszkańców wielkich miast; uważamy jednak, że to ktoś inny podejmuje te decyzje i że my, skazane na bierność ofiary, możemy tylko ponosić ich konsekwencje. Jest to przykład dziecinnego sposobu myślenia, zwykła ucieczka przed odpowiedzialnością.

Dla naszego własnego dobra powinniśmy zdać sobie sprawę z faktu, że to my ponosimy odpowiedzialność za decyzje, które zostaną podjęte. Z tą myślą przedstawiam poniższą chronologię:

## HISTORIA TERAPEUTYKI EPILEPSJI PSYCHOMOTORYCZNEJ

1864 Morel i Fairet wraz z grupą francuskich neurologów opisali niektóre elementy epilepsji psychomotorycznej.

1888 Hughlings Jackson (Wielka Brytania) sporządził klasyczny opis epilepsji psychomotorycznej i okoliczności towarzyszących chorobie.

1898 Jackson i Colman (Wielka Brytania) zlokalizowali nieprawidłowości w płacie skroniowym mózgu.

1908 Horsley i Clarke (Wielka Brytania) opisali chirurgiczne metody stereotaksji, które stosowali na zwierzętach.

1941 Jasper i Kershman (USA i Kanada) wykazali, że elektroencefalogramy osób cierpiących na epilepsję psychomotoryczną zawierają charakterystyczne piki wyładowań w płacie skroniowym mózgu.

1947 Spiegel i współpracownicy (USA) donieśli o przeprowadzeniu pierwszego zabiegu stereotaksji na człowieku.

1950 Penfield i Flanagan (Kanada) z powodzeniem zastosowali chirurgię ablacyjną w przypadkach epilepsji psychomotorycznej.

1953 Heath i współpracownicy (USA) dokonali stereotaksycznej implantacji elektrod wgłębnych.

1958 Talairach i współpracownicy (Francja) zaczęli masowo stosować stereotaksyczną implantację elektrod wgłębnych.

1963 Heath i współpracownicy (USA) pozwolili, aby pacjenci z zaimplantowanymi elektrodami stymulowali się sami, według własnego uznania.

1965 Narabayashi (Japonia) doniósł o wyleczeniu dziewięćdziesięciu ośmiu pacjentów za pomocą chirurgicznych zabiegów stereotaksji.

1965 Według danych statystycznych do tego czasu wyleczono na całym świecie, metodą stereotaksji chirurgicznej, ponad dwadzieścia cztery tysiące pacjentów.

1968 Delgado i współpracownicy (USA) wszczepili radiostymulatory — stymulatory elektryczne sprzężone z odbiornikiem radiowym — ochotnikom cierpiącym na epilepsję psychomotoryczną.

1969 W laboratorium Alamagordo, w Nowym Meksyku, szympanscy wszczepiono stymulator sterowany drogą radiową przez program komputerowy.

1971 W Los Angeles poddano operacji Harolda Bensona.

*Michael Crichton*

*Los Angeles*

*23 października 1971 roku*

„Dochodzę do wniosku, że moja subiektywna ocena własnej motywacji jest w znacznym stopniu i niemal w każdym wypadku mityczna. Po prostu nie wiem, dlaczego robię różne rzeczy”.

*J. B. S. HALDANE*

*„To dzicz rządzi osadnikami”.*

*FREDERICK JACKSON TURNER*

**Wtorek**

**9 marca 1971:**

Przyjęcie



W południe zeszedli do holu izby przyjęć i usiedli na ławce przy drzwiach wahadłowych wiodących prosto na podjazd dla karettek. Ellis był zdenerwowany, zaaferowany, wręcz nieobecny duchem. Morris za to czuł się rozluźniony, dojadł batonik, zgniótł szeleszczące opakowanie i wcisnął je do kieszeni białej marynarki.

Z przeszklonego holu widzieli cały zalany słońcem placyk, pośrodku którego stała wielka biała tablica z napisem: IZBA PRZYJĘĆ, a pod spodem druga, mniejsza: NIE PARKOWAĆ, PODJAZD TYLKO DLA KARETEK POGOTOWIA. Z oddali doleciał odgłos syreny.

— Czy to on? — zapytał Morris.

Ellis spojrział na zegarek.

— Wątpię, jeszcze za wcześnie.

W milczeniu wsłuchiwali się w coraz głośniejsze zawodzenie syreny. Ellis zdjął okulary i zaczął je przecierać swoim krawatem. Jakaś pielęgniarka z izby przyjęć, której Morris nie znał z imienia, podeszła do nich i zapytała z uśmiechem:

— Komitet powitalny?

Ellis skrzywił się, lecz Morris odpowiedział:

— Chcemy go stąd jak najszybciej zabrać. Czy macie jego kartę?

— Tak, chyba tak, doktorze — odparła pielęgniarka i oddaliła się szybko, wyraźnie poirytowana.

Ellis westchnął. Założył z powrotem okulary i marszcząc brwi popatrzył za odchodzącą kobietą.

— Przecież nie powiedziała nic złego — odezwał się Morris.

— Wydaje mi się, że już wszyscy w tym przeklętym szpitalu o nim wiedzą.

— A myślałeś, że uda się zachować tajemnicę?

Zawodzenie syreny dobiegało już z bliska i po chwili dostrzegli podjeżdżający tyłem ambulans. Dwaj sanitariusze otworzyli drzwi i zaczęli wyciągać nosze, na których leżała drobna staruszka: z trudem łapała powietrze, a z jej gardła dobywało się głośne charczenie.

Groźny obrzęk płuc, pomyślał Morris, spoglądając, jak pielęgniarze pośpiesznie przetaczają nosze do izby przyjęć.

— Mam nadzieję, że będzie w dobrym stanie — mruknął Ellis.

— Kto?

— Benson.

— Niby dlaczego miałby być w złym stanie?

— Boję się, że mogli go zdenerwować — rzekł, wbijając wzrok w okna wychodzące na parking.

On naprawdę strasznie to przeżywa, pomyślał Morris. Doskonale wyczuwał, jak bardzo tamten jest podniecony; pracowali razem od tak dawna, że świetnie rozpoznawał nastroje Ellisa. Wiedział też, że jego drażliwość, wywołana napięciem oczekiwania, natychmiast ustąpi miejsca niezwykle spokojowi, kiedy tylko przystąpią do operacji.

— Gdzie on może być, do cholery? — mruknął Ellis, znów spoglądając na zegarek.

— Czy wszyscy zostali powiadomieni o zebraniu o trzeciej trzydzieści? — zapytał, chcąc zmienić temat rozmowy. O wpół do czwartej Benson miał być przedstawiony personelowi szpitala podczas specjalnego zebrania oddziału neurochirurgii.

— O ile mi wiadomo, prezentację ma prowadzić doktor Ross. Po prostu wyraziłem nadzieję, że będzie w dobrej kondycji.

Z głośnika popłynął miękki, kobiecy głos:

— Doktor Ellis, doktor John Ellis, dwa-dwa-trzy-cztery. Doktor Ellis, dwa-dwa-trzy-cztery.

— Cholera! — syknął Ellis, podnosząc się z ławki.

Morris domyślił się, co to oznacza. Kodem dwa-dwa-trzy-cztery określano laboratorium badań na zwierzętach, zatem to wezwanie oznaczało zapewne, że coś się przydarzyło małpom. W ciągu ostatniego miesiąca Ellis operował trzy małpy tygodniowo, chyba tylko po to, żeby on i zespół nie wyszli z wprawy.

Spoglądał, jak tamten nerwowo podchodzi do telefonu. Ellis lekko utykał, co było następstwem przebytego w dzieciństwie zakażenia, wskutek którego miał zmartwiały nerw przypiszczelowy prawej nogi. Morris nieraz się zastanawiał, w jakim stopniu ta choroba wpłynęła na jego decyzję zostania neurochirurgiem. Bez wątplenia Ellis należał do tych lekarzy, którzy za wszelką cenę chcą naprawiać defekty, likwidować usterki. Właśnie dlatego zawsze mówił swoim pacjentom: „Na pewno sobie z tym poradzimy”. Zresztą przyczyn było więcej, nie tylko utykał, lecz i przedwcześnie wyłysiał, w dodatku miał słaby wzrok i nosił grube, ciężkie okulary — to wszystko sprawiało, że wydawał się kimś słabym, przez co łatwiej można było znieść jego drażliwość. Ta nerwowość mogła być również skutkiem wieloletniej pracy chirurga, ale tego Morris nie był pewien, on sam dopiero od niedawna wykonywał operacje.

Ponownie wyrzął przez okno na zalany słońcem parking. Zbliżała się pora odwiedzin, coraz więcej aut zajeżdżało przed szpital, a wysiadający z nich krewni i znajomi pacjentów spoglądali na masywny gmach. Przeważnie mieli zatroskane miny, co było zrozumiałe, gdyż większość ludzi lęka

się szpitali.

Morris zwrócił uwagę, że z reguły są opaleni — w Los Angeles nastąpiła ciepła, słoneczna wiosna. On jednak był blady jak syn młynarza, jego cera niewiele się różniła od białego stroju lekarskiego, jaki nosił na co dzień. Stwierdził, że powinien więcej czasu spędzać na powietrzu, przynajmniej wychodzić ze szpitala w porze obiadowej. Niekiedy grywał w tenisa, chociaż znajdował na to czas głównie wieczorami.

Ellis wrócił po chwili.

— Cholera — mruknął. — Ethel porozrywała sobie szwy.

Ethel była młodą samicą rezusa — wyjątkowo potulną nawet jak na ten gatunek — której poprzedniego dnia przeprowadzono operację mózgu. Zabieg się udał.

— Jak to możliwe?

— Nie mam pojęcia — odparł Ellis. — Widocznie zdołała jakimś sposobem uwolnić jedną rękę z więzów. Rozdrapała ranę, odsłaniając z boku głowy kość czaszki.

— Czy udało jej się także pozrywać przewody?

— Nie wiem, ale muszę zejść na dół i zaszyć to z powrotem. Dasz sobie radę beze mnie?

— Chyba tak.

— Dogadasz się z gliniarzami? Nie przypuszczam, żeby robili jakieś trudności.

— Nie, raczej nie powinni.

— Postaraj się zawieźć Bersona na szóste piętro najszybciej, jak będzie to możliwe, a potem zawiadom doktor Ross. Przyjadę na górę, kiedy tylko skończę. — Spojrzał na zegarek. — Zajmie mi to jakieś trzy kwadransy, o ile Ethel będzie spokojna.

— Powodzenia — rzekł Morris, uśmiechając się szeroko.

Ellis odszedł z kwaśną miną. Po chwili znów zjawiała się pielęgniarka z izby przyjęć.

— Co mu się stało? — zapytała.

— Po prostu jest zdenerwowany.

— To zrozumiałe. — Zamilkła nagle i z zainteresowaniem wyjrzała na parking.

Morris także popatrzył za okno, ale chciało mu się śmiać. Zbyt długo pracował już w tym szpitalu, by nie rozpoznać sztuczności w zachowaniu pielęgniarki. Kiedy zaczynał jako internista, nie miał jeszcze wyrobionej pozycji; pielęgniarki wiedziały o sprawach praktycznych dużo więcej od niego i

nawet się z tym nie kryły, zwłaszcza gdy były zmęczone. („Chyba nie ma pan zamiaru robić tego sam, doktorze?”) W miarę upływu lat, kiedy specjalizował się w chirurgii, personel odnosił się do niego z coraz większą rezerwą, a gdy uzyskał stopień specjalisty, nikt już nie ośmielał się udzielać mu jakichkolwiek rad; zaledwie kilka pielęgniarek nadal mówiło mu po imieniu. Później zaś, po przejściu na stanowisko asystenta w Oddziale Badawczym Neuropsychiatrii, zauważył, że ludzie traktują go wręcz z przesadnym szacunkiem.

Ale tym razem było inaczej. Pielęgniarka okazywała zainteresowanie jego osobą, ponieważ miało się wydarzyć coś ważnego. Zarazem potwierdzało to przypuszczenia, że już cały personel szpitala wie o tajemniczym pacjencie.

— Nadjeżdża — oznajmiła kobieta.

Morris wstał z ławki i podszedł do okna. Na parking wjeżdżała niebieska policyjna furgonetka. Wykręciła na podjeździe i ustawiła się tyłem do wejścia.

— W porządku — rzekł. — Proszę zadzwonić na szóste piętro i przekazać wiadomość, że jesteśmy już w drodze.

— Tak, panie doktorze.

Pielęgniarka odeszła szybko. Z furgonetki wysiedli dwaj sanitariusze i otworzyli drzwi wahadłowe. Jeden z nich zwrócił się do Morrisa:

— Pan czeka na tego faceta?

— Tak.

— To przypadek szczególny?

— Nie, przyjmujemy go jak zwykłego pacjenta.

Sanitariusz skinął głową, widocznie nic mu nie powiedziano o Bensonie. Kierowca furgonetki wysiadł i otworzył tylne drzwi wozu. Ze środka wyskoczyli dwaj funkcjonariusze, mrużąc oczy od jaskrawego słońca. Po chwili wysiadł Benson.

Tak jak przy poprzednich spotkaniach, Morrisa uderzyło jego zachowanie. Trzydziestoczteroletni, niezbyt wysoki mężczyzna, sprawiał wrażenie niezwykle spokojnego, jakby nieustannie zdziwionego. Stał teraz przed furgonetką, niezgrabnie wyciągając przed siebie skute kajdankami ręce, i zaczął się rozglądać dookoła. Wreszcie popatrzył na Morrisa i rzucił krótko:

— Cześć!

Ten, skonsternowany, odwrócił głowę.

— Pan ma się nim zająć? — zapytał jeden z gliniarzy.

— Tak. Jestem doktor Morris.

Policjant wskazał otwarte drzwi wahadłowe i rzekł:

— Więc niech pan prowadzi, doktorze.

— Czy moglibyście zdjąć mu kajdanki?

Benson popatrzył rozszerzonymi oczyma na Morrisa i szybko spuścił głowę.

— Nie dostaliśmy żadnego rozkazu w tej sprawie. — Policjanci spojrzeli na siebie. — Ale chyba możemy je zdjąć.

Zanim uporali się z kajdankami, kierowca podsunął Morrisowi formularz opatrzony nagłówkiem: „Przekazanie podejrzanego do zakładu leczenia zamkniętego” i wskazał miejsce do podpisu.

— Jeszcze tutaj — powiedział, wskazując drugą rubrykę.

Morris złożył drugi podpis i spojrzął na Bensaona, który stał spokojnie, ze wzrokiem utkwionym w dal, i rozcierał sobie nadgarstki. Odniósł wrażenie, że podpisując formularze dokonuje jakiejś transakcji, jakby kwitował odbiór przesyłki pocztowej. Przyszło mu do głowy, iż Benson także może się czuć traktowany jak paczka.

— W porządku — mruknął kierowca. — Dzięki, doktorze.

Morris ruszył przodem, dwaj policjanci wprowadzili Bensaona do szpitala. Sanitariusze zamknęły za nimi drzwi. Pielęgniarka czekała już z wózkiem; Benson usiadł na nim bez słowa. Gliniarze wyglądali na skonsternowanych.

— Zawsze się tak postępuje w szpitalu — wyjaśnił Morris. Zatrzymali się przed drzwiami windy.

\* \* \*

Winda stanęła na poziomie holu głównego, a kiedy drzwi się rozsunęły, kilkanaście osób odwiedzających popatrzyło ze zdumieniem na lekarza, pacjenta na wózku i dwóch towarzyszących im policjantów.

— Proszę zaczekać na drugą windę — powiedział Morris, wciskając guzik. Drzwi się zasunęły i pojechali dalej.

— Gdzie jest doktor Ellis? — zapytał Benson. — Myślałem, że to on mnie odbierze.

— Musiał pójść na salę operacyjną. Niedługo do nas dołączy.

— A doktor Ross?

— Zobaczysz ją podczas zebrania.

— Ach tak. — Benson uśmiechnął się. — Czekaj mnie prezentacja.

Policjanci wymienili podejrzliwe spojrzenia, nic jednak nie powiedzieli. Winda zatrzymała się na szóstym piętrze i wszyscy wysiedli.

Mieścił się tu oddział chirurgii specjalnej o charakterze naukowo-badawczym, gdzie zajmowano się trudnymi bądź nietypowymi przypadkami, najczęściej schorzeń serca, nerek oraz zaburzeń przemiany materii. Cała grupa przeszła do przeszklonego pomieszczenia dyżurujących pielęgniarek, które znajdowało się pośrodku piętra rozplanowanego w kształcie krzyża.

Przełożona uniosła głowę znad papierów i zmarszczyła brwi na widok policjantów, ale nie odezwała się nawet słowem.

— Oto pan Benson — oznajmił Morris. — Czy pokój siedemset dziesięć jest przygotowany?

— Tak, wszystko gotowe — odparła pielęgniarka, posyłając Bensonowi szeroki uśmiech. Ten próbował odwzajemnić się tym samym, lecz wypadło to nienaturalnie; szybko spojrzał na drugą pielęgniarkę, siedzącą przed umieszczonym w rogu dyżurki komputerem.

— Macie tu tylko terminal?

— Tak — odpowiedział Morris.

— A gdzie znajduje się główny komputer?

— W piwnicach.

— W tym budynku?

— Owszem. Pochłania mnóstwo energii, a linię siłową mamy doprowadzoną tylko do gmachu głównego.

Benson skinął głową. Morrisa niezbyt zaskoczyły tego rodzaju pytania, zdawał sobie sprawę, że tamten próbuje zapamiętać, gdzie się znajduje, a jest przecież ekspertem w dziedzinie komputerów.

Pielęgniarka wręczyła Morrisowi kartę Bensaona w typowej niebieskiej, plastikowej obwolucie z nalepką szpitala uniwersyteckiego. Pod spodem widniały jeszcze trzy inne nalepki: czerwona, oznaczająca neurochirurgię, żółta, określająca intensywną terapię, a także biała, którą Morris widział chyba po raz pierwszy, mówiąca o tym, że pacjent musi znajdować się pod ścisłą ochroną.

— Czy to moja karta chorobowa? — zapytał Benson, kiedy Morris popychał jego wózek korytarzem w kierunku pokoju siedemset dziesięć. Obaj policjanci w milczeniu szli za nimi.

— Zgadza się.

— Zawsze mnie ciekawiło, co się tam zapisuje.

— Są to głównie trudne do odczytania uwagi. — Akurat wielostronicowa karta Bensaona była zapisana wyjątkowo czytelnie, w teczce znajdował się również gruby plik wydruków komputerowych z wynikami badań.

Stanęli przed pokojem numer siedemset dziesięć. Jeden z policjantów wszedł szybko do środka i zamknął za sobą drzwi, drugi zagroził przejście.

— To zwykłe środki bezpieczeństwa — wyjaśnił.

Benson spojrzał na Morrisa.

— Bardzo się o mnie troszczą — rzekł. — Powiniennem się chyba czuć zakłopotany.

Pierwszy gliniarz wyrzwał na korytarz.

— W porządku — powiedział.

Morris przepchnął fotel do środka. Okna pokoju wychodziły na stronę południową i o tej porze było tu sporo słońca. Benson rozejrzał się dookoła i z uznaniem pokiwał głową.

— To jeden z najładniejszych pokoi w tej części szpitala — rzekł Morris.

— Czy mogę już wstać?

— Oczywiście.

Benson podniósł się z fotela i usiadł na brzegu łóżka. Podskoczył kilka razy, wypróbując sprężystość materaca, wcisnął guziki podnoszenia i opuszczania wezgłowia, a następnie zajrzał pod spód, chcąc zapewne poznać sterowany elektrycznie mechanizm. Morris podszedł do okna i przysłonił je nieco kotarą, ograniczając ilość światła.

— To proste — oznajmił Benson.

— Co takiego?

— Urządzenie do regulacji nachylenia. Wyjątkowo proste. Powinniście jeszcze zainstalować rodzaj sprzężenia zwrotnego, dzięki któremu łóżko automatycznie by się dostosowywało do pozycji pacjenta... — urwał nagle.

Podszedł do szafy w ścianie, zajrzał do środka, później obejrzał łazienkę, wreszcie usiadł z powrotem. Morris pomyślał, że tamten zachowuje się inaczej niż zwykły pacjent. Większość chorych była przygnębiona szpitalnym otoczeniem, ale Benson sprawiał wrażenie, jakby oceniał pokój hotelowy.

— Zostaję tu — oznajmił i zaśmiał się głośno. Popatrzył na Morrisa, a po chwili na policjantów.

— Czy oni też muszą tu zostać?

— Sądzę, że będą mogli zaczekać na zewnątrz.

Gliniarze pokiwali głowami i wyszli z pokoju, zamykając za sobą drzwi.

— Chodziło mi o to, czy oni w ogóle muszą zostać w szpitalu.

— Tak, muszą.

— I będą tu przez cały czas?

— Owszem, dopóki nie zostanie wycofane oskarżenie.

Benson zmarszczył brwi.

— Czy to... Chciałem powiedzieć: czy ja... czy moja sytuacja jest bardzo zła?

— Podbiłeś tamtemu człowiekowi oko i złamałeś mu żebro.

— A poza tym nic mu się nie stało?

— Nie, wyjdzie z tego.

— Niczego nie pamiętam, jak gdyby cały fragment zapisu w moim mózgu uległ wykasowaniu.

— Wiem o tym.

— Ale cieszę się, że nic mu nie będzie.

Morris pokiwał głową.

— Masz coś ze sobą? Piżamę, jakieś drobiazgi?

— Nie, będę musiał to jakoś załatwić.

— W porządku. Na razie skombinuję ci ubranie szpitalne. Dobrze się czujesz?

— Tak, oczywiście. — Benson uśmiechnął się. — Mógłbym nawet wyskoczyć na jednego.

— Chwilowo będziesz się musiał bez tego obejść.

Tamten westchnął głośno.

Morris wyszedł z pokoju.



Policjanci przynieśli sobie krzesło i ustawili je pod drzwiami, jeden siedział, drugi stał tuż obok. Morris wyciągnął swój notatnik.

— Zapewne chcą panowie znać rozkład dnia. W ciągu pół godziny powinien się tu zjawić ktoś z administracji z dokumentami, które Benson będzie musiał podpisać. O wpół do czwartej zjedziemy na dół, do auli, na specjalne zebranie personelu chirurgii. Pacjent powinien wrócić po dwudziestu minutach. Jeszcze dziś wieczorem ogolimy mu głowę. Operacja została przewidziana na jutro, na szóstą rano. Są jakieś pytania?

— Czy ktoś mógłby nam przynieść coś do jedzenia?

— Przekażę pielęgniarce dyżurnej, aby zamówiła dodatkowe porcje. Będziecie panowie obaj trzymali straż?

— Nie, tylko jeden. Mamy zmiany co osiem godzin.

— Powiadomię przełożoną. Byłbym wdzięczny, gdyby panowie informowali ją, dokonując zmiany. Wolimy zawsze wiedzieć, kto przebywa na terenie szpitala.

Gliniarze potakująco skinęli głowami. Przez dłuższą chwilę panowała cisza, wreszcie jeden z nich zapytał:

— Co mu właściwie dolega?

— Cierpi na pewną odmianę epilepsji.

— Widziałem tego faceta, którego pobił. To było wielkie, silne chłopisko, chyba kierowca ciężarówki. W życiu bym nie przypuszczał, że ktoś taki jak on... — kciukiem wskazał przez ramię na drzwi pokoju — mógłby tego dokonać.

— Kiedy ma atak, staje się bardzo agresywny.

Policjant smutno pokiwał głową.

— A czy ten zabieg coś zmieni?

— Czeka go operacja mózgu, którą nazywamy procedurą trzeciego stopnia — odparł Morris.

Nie zadawał sobie trudu udzielania dalszych wyjaśnień — tamci i tak by nie zrozumieli. A nawet gdyby zrozumieli, pomyślał, to na pewno by nie uwierzyli.

Specjalne zebrania na oddziale neurochirurgii, podczas których wszyscy chirurdzy szpitala dyskutowali o nietypowych przypadkach, normalnie odbywały się w czwartki, o dziewiątej. Tylko wyjątkowo zwoływano je w innym terminie, gdyż trudno było odrywać ludzi od pracy. Ale teraz aula zapełniła się do ostatniego miejsca, a oczy lekarzy w białych strojach wpatrywały się w Ellisa, który poprawił okulary na nosie i zaczął:

— Jak zapewne wielu z was już wie, jutro rano zespół badawczy oddziału neurochirurgii zamierza wykonać na człowieku zabieg regulacji funkcjonowania układu rąbkowego, zwany przez nas procedurą trzeciego stopnia.

Na sali panowała martwa cisza, nikt się nawet nie poruszył. Janet Ross stała w kącie, przy drzwiach wejściowych, i spoglądała na audytorium. Dziwił ją trochę ten całkowity brak reakcji, tłumaczyła to sobie jednak faktem, że już od pewnego czasu wszyscy wiedzieli o przygotowaniach do tej operacji.

— Zmuszony jestem prosić was o wstrzymanie się od zadawania pytań podczas prezentacji pacjenta, do chwili gdy o nie poproszę — kontynuował Ellis. — To bardzo wrażliwy człowiek i jego zaniepokojenie może mieć poważne następstwa. Zadbaliśmy o to, byście poznali wyniki jego badań psychiatrycznych. Nasza specjalistka, doktor Ross, przedstawi pokrótce swoje wnioski.

Ellis skinął głową w jej kierunku i Janet wystąpiła na środek sali. Spojrzała na pełne skupienia twarze i zawahała się na chwilę.

Doktor Ross była wysoką, nadzwyczaj pociągającą kobietą — zgrabną, szczupłą, o ciemnej cerze i ciemnoblond włosach. Ona sama uważała się za zbyt chudą i kościstą, nieraz mówiła, że wolałaby mieć bardziej krągłe, kobiece kształty. Zdawała sobie jednak sprawę ze swej urody i mając trzydzieści lat, po dziesięciu latach pracy w męskim zawodzie, doskonale potrafiła ją wykorzystać.

Złożyła teraz ręce za plecami, zaczerpnęła głęboko powietrza i zaczęła zwięźle, w sposób typowy dla wystąpień na zebraniach specjalistów, przedstawiać charakterystykę pacjenta.

— Harold Franklin Benson jest trzydziestoczteroletnim rozwodnikiem, naukowcem z branży komputerowej, który cieszył się świetnym zdrowiem aż do chwili, kiedy dwa lata temu uległ wypadkowi samochodowemu na autostradzie do Santa Monica. Ponieważ przez dość długi czas był nieprzytomny, zabrano go na całodobową obserwację do pobliskiego szpitala, skąd następnego dnia został wypisany jako całkowicie zdrowy. Dopiero po sześciu miesiącach od tamtego zdarzenia zaczął odczuwać dziwne sensacje, które sam określił jako „chwilowe zamroczenie”.

W audytorium nadal panowała niezmacona cisza. Wszyscy wpatrywali się w nią, słuchając uważnie.

— Owe zamroczenia trwały po kilka minut i powtarzały się w przybliżeniu raz w miesiącu. Zwykle poprzedzało je wrażenie odczuwania jakiegoś szczególnego, nieprzyjemnego odoru. Często

występowały także po spożyciu alkoholu. Pacjent zasięgnął porady swojego lekarza, który stwierdził przemęczenie i zalecił ograniczenie picia alkoholu. Benson zastosował się do tej rady, ale zamroczenia występowały nadal. Mniej więcej przed rokiem, czyli rok po wypadku, pacjent zauważył, że zamroczenia pojawiają się coraz częściej i trwają coraz dłużej. Zdarzało się, że odzyskiwał świadomość w zupełnie nie znanym sobie miejscu, a kilkakrotnie stwierdził u siebie zadrapania i potłuczenia oraz podarte ubrania, co mogło świadczyć, że stoczył z kimś walkę, nigdy jednak nie mógł sobie przypomnieć, co się z nim działo w czasie zamroczenia.

Sporo osób potakująco kiwało głowami; nieraz spotykali się z podobnymi objawami i traktowali to jak tradycyjny opis powracających cyklicznie ataków epilepsji. Ale najważniejsze informacje miały dopiero nastąpić.

— Znajomi naszego pacjenta mówili mu, że w takich chwilach zachowuje się zupełnie inaczej, on jednak nie chciał w to uwierzyć, dlatego też stracił niemal wszystkich przyjaciół. Mniej więcej w tym samym czasie, czyli prawie rok temu, Benson dokonał w swojej dziedzinie epokowego odkrycia. Jak już wspominałam, jest elektronikiem i programistą, a specjalizuje się w projektowaniu inteligentnych maszyn, czyli tak zwanego sztucznego życia. Otóż w trakcie swych badań stwierdził, że urządzenia elektroniczne rywalizują z człowiekiem i ostatecznie przejmą władzę nad światem.

Na sali podniósł się szmer. Ten aspekt sprawy zainteresował szczególnie psychiatrów. Doktor Ross zauważyła, że jej dawny wykładowca, profesor Manon, siedzący w jednym z najwyższych rzędów, pochylił głowę i ukrył twarz w dłoniach. Zapewne domyślał się reszty.

— Benson zakomunikował kilku znajomym o swym odkryciu, ale ci radzili mu jedynie udać się do psychiatry, co go tym bardziej rozżłościło. Z czasem zaczął nabierać pewności, że maszyny potajemnie spiskują już przeciwko ludziom. Sześć miesięcy temu nasz pacjent został aresztowany pod zarzutem pobicia pewnego mechanika lotnictwa, ale zwolniono go z braku dowodów. Epizod ten doprowadził Bensaona do takiego stanu, że naprawdę zaczął szukać pomocy psychiatrów. Nie umiał tego wytłumaczyć, ale podejrzewał, że to faktycznie on ciężko pobił tamtego mężczyznę. Nie potrafił się przyznać do tych podejrzeń nawet przed samym sobą, lecz nie umiał także z nimi żyć. Cztery miesiące temu, w listopadzie tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego roku, został umieszczony na neuro-psychiatrycznym oddziale badawczym szpitala uniwersyteckiego. Na podstawie opisanych przez niego objawów, czyli powtarzających się cyklicznie napadów agresji poprzedzonych wrażeniem nieprzyjemnego odoru, a będących skutkiem dawnego urazu głowy, pacjenta zaklasyfikowano jako przypadek epilepsji psychomotorycznej. Jak zapewne wiecie, neuropsychiatria zajmuje się obecnie tylko przypadkami odchyleń behawioralnych o podłożu organicznym. Ale badania neurologiczne Bensaona nie wykazały żadnych nieprawidłowości; na podstawie elektroencefalogramów nie stwierdzono żadnych zmian patologicznych, wykresy fal mózgowych były w normie. Dopiero badania przeprowadzone po spożyciu alkoholu pozwoliły umiejscowić zaburzenia, wykresy EEG ujawniły ponadnormalną aktywność w prawym płacie skroniowym mózgu. Potwierdziło to diagnozę epilepsji psychomotorycznej, a Bensaona zaklasyfikowano do grupy pacjentów stopnia pierwszego.

Doktor Ross przerwała na chwilę, aby zaczerpnąć tchu i dać słuchaczom czas na oswojenie się z informacjami.

— Pacjent jest człowiekiem wykształconym, zatem wyjaśniono mu istotę jego choroby. Został poinformowany, że wskutek urazu mózgu będącego następstwem wypadku samochodowego cierpi na pewną odmianę padaczki, która objawia się cyklicznymi atakami, tyle że nie cielesnymi, lecz psychicznymi, powodującymi jego agresję. Powiedziano mu też, że podobna przypadłość nie jest niczym nowym i może być w jakimś stopniu złagodzona. Rozpoczęto jednocześnie wypróbowywanie na chorym całej serii różnych leków. Trzy miesiące temu Benson aresztowano ponownie pod zarzutem napadu z pobiciem. Ofiarą była dwudziestoczteroletnia tancerka i striptizerka, która po interwencji lekarzy ze szpitala uniwersyteckiego wycofała oskarżenie. Miesiąc temu zakończono próby z morladonem, p-aminobenzadonem oraz triamiliną. Niestety, żaden z tych leków ani ich kombinacje nie zdołały pomóc Bensonowi. Wtedy też chorego zaklasyfikowano jako stopień drugi, czyli przypadek epilepsji odpornej na działanie leków, z równoczesnym wskazaniem na stopień trzeci, to znaczy wymagający interwencji chirurgicznej.

Ponownie zamilkła na krótko.

— Zanim wprowadzę pacjenta, powinnam jeszcze dodać, że wczoraj wieczorem znów ciężko pobił nieznanego mężczyznę na stacji benzynowej. Udało nam się przekonać policję, że trzeba jak najszybciej wykonać zabieg, dlatego zaplanowaliśmy operację na jutro. Ale z prawnego punktu widzenia na Bensonie stale ciąży oskarżenie o dokonanie napadu z pobiciem.

W sali panowała martwa cisza. Doktor Ross stała jeszcze przez chwilę bez ruchu, wreszcie ruszyła w stronę wejścia.

\* \* \*

Benson czekał tuż za drzwiami. Siedział w fotelu na kółkach i miał na sobie tradycyjny szpitalny szlafrok w biało-niebieskie pasy. Na widok Janet uśmiechnął się i rzekł:

— Witam, doktor Ross.

— Cześć, Harry. — Kobieta odpowiedziała uśmiechem. — Jak się czujesz?

To pytanie było czystą formalnością, gdyż jako doświadczony psychiatra bez trudu mogła ocenić nastrój pacjenta. Benson był wyraźnie podenerwowany i przestraszony; siedział przygarbiony, ze ściągniętymi ramionami, splecione dłonie przyciskając do brzucha, a nad jego górną wargą perliły się kropelki potu.

— Dziękuję, dobrze — odparł. — Całkiem dobrze.

Za fotelem stał Morris, który miał go wtoczyć na salę, a obok niego policjant.

— Czy on musi wejść z nami przed audytorium? — doktor Ross zwróciła się do Morrisa.

Zanim jednak ten zdążył otworzyć usta, Benson odpowiedział swobodnym tonem:

— Jemu nie wolno odstępować mnie ani na krok.

Zmieszany policjant skinął głową.

— W porządku — mruknęła Janet.

Otworzyła szerzej drzwi, Morris wtoczył fotel do sali i ruszył prosto w stronę Ellisa. Ten zrobił dwa kroki i wyciągnął rękę do pacjenta.

— Cieszę się, że pana widzę, panie Benson.

— Dzień dobry, doktorze Ellis.

Morris obrócił nieco fotel, by chory znalazł się twarzą do zgromadzonych chirurgów. Ross usiadła obok niego, zerkając podejrzliwie na policjanta, który stanął przy drzwiach, bezskutecznie próbując nie zwracać na siebie uwagi. Ellis zajął miejsce po drugiej stronie Bensaona, ten zaś utkwiał wzrok w wielkiej tafli mlecznego szkła obwieszanej kilkunastoma zdjęciami rentgenowskimi. Chyba wiedział, że patrzy na prześwietlenia swojej czaszki. Ellis widocznie pochwycił jego spojrzenie, gdyż szybko wyłączył lampy za szybą i zdjęcia zmieniły się w czarne prostokąty.

— Poprosiliśmy pana o wzięcie udziału w naszym zebraniu i udzielenie kilku odpowiedzi na pytania lekarzy — powiedział, wskazując dłonią rzędy wznoszących się półkoliście ławek. — Mam nadzieję, że nie jest pan zanadto zdenerwowany, prawda?

Ellis powiedział to takim tonem, że doktor Ross spojrzała na niego ze zmarszczonym czołem. Brała już udział w dziesiątkach takich zebrań, i zawsze pytano pacjentów, czy nie są zdenerwowani, występując przed tak licznym gronem lekarzy. Rzecz jasna, wszyscy odpowiadali wówczas, że nie czują się ani trochę speszeni.

— Oczywiście, że jestem zdenerwowany — odparł Benson. — Każdy czułby się tak samo na moim miejscu.

Janet uśmiechnęła się nieznacznie. Jeden do zera, pomyślała.

— Proszę sobie wyobrazić — ciągnął Benson — że jest pan maszyną, którą zaciągnąłem przed forum ekspertów komputerowych, mających podjąć decyzję, w jaki sposób najlepiej usunąć pewną usterkę. Jak pan by się wtedy czuł?

Ellis był wyraźnie zbity z tropu. Przeciągnął palcami po resztkach swoich włosów i spojrzał na doktor Ross, lecz ta lekko pokręciła głową. Uznała, że nie jest to właściwe miejsce na zgłębianie psychopatologicznych odchyłeń Bensaona.

— Także byłbym zdenerwowany — odparł Ellis.

— No właśnie. Sam pan widzi.

Ellis głośno przełknął ślinę. Za bardzo się podnieca pomyślała Ross. Żeby tylko nie dał się wciągnąć w rozmowę.

— Ale, rzecz jasna, nie jestem maszyną, prawda?

Janet skrzywiła się.

— To zależy — powiedział Benson. — Wiele przebiegających cyklicznie funkcji życiowych można uznać za czysto mechaniczne, a zatem takie, które przebiegają jednokierunkowo i dadzą się łatwo zaprogramować. Z tego punktu widzenia...

— Myślę — przerwała mu Ross, podnosząc się z krzesła — że powinniśmy już przejść do pytań z sali.

Ellisowi wyraźnie się to nie podobało, nic jednak nie powiedział. Benson natomiast potulnie zamilkł. Janet pełnym nadziei wzrokiem spojrzała na audytorium; po chwili jakiś mężczyzna z ostatnich rzędów uniósł rękę i zapytał:

— Panie Benson, czy mógłby pan nam opowiedzieć dokładnie, jaki rodzaj odoru czuł pan przed każdym okresem zamroczenia?

— To trudno określić... Czulem jakiś dziwny zapach, odrażający smród, ale nie kojarzył mi się on z niczym konkretnym, jeśli wie pan, co mam na myśli. To znaczy... nie dało się go zidentyfikować. Zresztą moje taśmy pamięci szybko ulegały wykasowaniu.

— Czy nie mógłby pan jednak porównać go z czymkolwiek?

Benson wzruszył ramionami.

— Może... świński nawóz polany terpentyną.

Ktoś inny podniósł rękę.

— Panie Benson, czy kiedy te zamroczenia występowały coraz częściej, to za każdym razem stawały się też dłuższe?

— Tak. Ostatnio trwają po kilka godzin.

— Jak się pan czuje, kiedy zamroczenie mija?

— Bebechy mi się wywracają.

— Czy mógłby pan to opisać dokładniej?

— Czasami nawet wymiotuję. Czy taka dokładność wystarczy?

Ross zmarszczyła brwi; spostrzegła, że Bersona zaczyna ogarniać wściekłość.

— Są jeszcze jakieś pytania? — powiedziała głośno, mając głęboką nadzieję, że ich nie będzie. Popatrzyła na zgromadzonych lekarzy. W sali panowała cisza.

— W takim razie — zagadnął Ellis — możemy przejść do dyskusji nad szczegółami planowanego zabiegu trzeciego stopnia. Pan Benson wie wszystko na ten temat, może więc zostać albo wrócić do swego pokoju, według woli.

Janet była temu przeciwna. Świetnie rozumiała, że Ellis zaczyna działać na pokaz, że chce wszystkim udowodnić, iż jego pacjent nie boi się operacji. Uważała, że to nie fair zapraszać Bensaona czy choćby pozwalać mu zostać w sali.

— Zostanę.

— Znakomicie — rzekł Ellis. Podszedł do tablicy i narysował schematyczny zarys mózgu. — Wiemy doskonale, że epilepsja jest wynikiem urazu mechanicznego, na skutek którego w mózgu powstają rany. W pewnym sensie można je porównać do ran w innych częściach ciała, tu także zaczyna się odkładać tkanka łączna, powstają zrosty i deformacje, które umożliwiają przepływy nadmiernych ładunków elektrycznych. Wyładowania mają charakter koncentryczny, przypominają kręgi na powierzchni wody po wrzuceniu do niej kamienia.

Zaznaczył wybrany punkt mózgu i narysował wokół niego kilka koncentrycznych okręgów.

— Owe ładunki elektryczne powodują spięcia, a ich efektem, w zależności od części mózgu, mogą być drgawki, występowanie piany na ustach i temu podobne. Zwarcia w różnych częściach mózgu objawiają się w różny sposób. Jeśli występują w płacie skroniowym, jak w wypadku pana Bensaona, ich efektem jest epilepsja psychomotoryczna, a więc padaczka z konwulsyjnymi atakami psychicznymi, nie cielesnymi. Nawiedzające go wówczas dziwne myśli prowadzą najczęściej do agresji, a każdy atak choroby poprzedzają przykre doznania, zwykle wrażenie odpychającej woni.

Benson nie odrywał od niego wzroku, słuchał uważnie i potakiwał głową.

— Wiele prac badawczych wykazało, że negatywnym skutkiem zwarć elektrycznych można zapobiegać, stosując wyładowanie impulsowe w odpowiedniej części kory mózgowej. Ataki epileptyczne zaczynają się stosunkowo powoli, zwykle mija kilka sekund, czasami nawet pół minuty, zanim spięcie wywoła atak choroby. Zastosowanie wyładowania elektrycznego w tym czasie zapobiega jego powstaniu.

Narysował wielką literę X, przekreślając koncentryczne okręgi. Obok naszkicował drugi mózg, dodając tym razem zarys głowy i szyi.

— Pozostają do rozwiązania dwa problemy techniczne — kontynuował. — Po pierwsze: w której strefie mózgu należy spowodować wyładowanie. Wiemy z całą pewnością, że trzeba nim objąć ciało migdałowate, stanowiące integralną część tak zwanego układu rąbkowego. Nie wiemy, który fragment ciała migdałowatego należy podrażnić, dlatego też musimy zaimplantować w mózgu cały szereg elektrod. Panu Bensonowi podczas jutrzejszej operacji zostanie wszczepionych czterdzieści elektrod.

Narysował dwie linie w dolnej części mózgu na tablicy.

— Nasz drugi problem stanowi pytanie: w jaki sposób rozpoznać zbliżający się atak? Musimy dokładnie wiedzieć, kiedy zastosować wstrząs elektryczny. Na szczęście możemy wykorzystać te same elektrody, między którymi będą następowały wyładowania, do pomiarów elektrycznej aktywności mózgu. Istnieje bowiem pewien charakterystyczny ciąg impulsów poprzedzających każdy atak.

Ellis przerwał na chwilę, popatrzył na Bensaona i powiódł wzrokiem po audytorium.

— Stosujemy więc sprzężenie zwrotne, wykorzystując te same elektrody do sygnalizacji zbliżającego się ataku, jak i do przesłania impulsu zapobiegającego, a cały ten dwukierunkowy system będzie sterowany przez komputer.

Na schematycznym rysunku, w części szyjnej umieścił niewielki prostokąt.

— W zespole neuropsychiatrii opracowano program komputerowy, który będzie monitorował elektryczną aktywność mózgu, a po wykryciu nadchodzącego ataku spowoduje wyładowanie mające na celu korekcję przepływu impulsów. Sam komputer ma wielkość znaczka pocztowego i waży około trzech gramów. Zostanie umieszczony pod skórą na szyi pacjenta.

Uzupełnił rysunek o wiązkę przewodów łączących elektrody w mózgu z komputerem wszczepionym w szyję.

— Komputer będzie zasilany miniaturowym ogniwem plutonowym typu PPJ, które zostanie zaimplantowane pod skórą na ramieniu. W ten sposób pacjent będzie miał całkowitą swobodę działania, gdyż takie ogniwo powinno wystarczyć do zasilania całego układu przez dwadzieścia lat.

Pospiesznie dorysował kredą ostatni element urządzenia.

— Tak się przedstawia cały układ sprzężenia: mózg, elektrody, komputer i ogniwo zasilające, z którego impulsy elektryczne będą płynęły z powrotem do mózgu. Jest to układ samowystarczalny, nie zawierający żadnych elementów zewnętrznych.

Popatrzył znów na Bensaona, który gapił się na tablicę z całkowicie znudzoną miną, jakby w ogóle go to nie interesowało.

— Czy ma pan jakieś uwagi, panie Benson?

Doktor Ross jęknęła cicho. Ellis wystawiał pacjenta na ciężką próbę, zachowywał się wręcz sadystycznie, nawet jak na chirurga.

— Nie — odparł Benson. — Nie mam żadnych uwag — ziewnął szeroko.

\* \* \*

Kiedy Morris wytoczył wózek pacjenta z sali, Ross wyszła za nimi. Nie musiała tego robić, ale była poważnie zaniepokojona stanem psychicznym Bensaona; czuła się także nieco winna, że



pozwoliła, by tak potraktował go Ellis.

— Jak się czujesz? — zapytała.

— Sądziłem, że będzie to bardziej interesujące.

— W jakim sensie?

— Poruszano wyłącznie kwestie medyczne, a miałem nadzieję usłyszeć coś na temat filozoficznego aspektu tej sprawy.

— Jesteśmy praktykami — odparła swobodnym tonem — dlatego rozmawialiśmy o problemach praktycznych.

Benson uśmiechnął się.

— Podobnie jak Newton, bo czyż jest coś bardziej praktycznego od pytania: dlaczego jabłko spada na ziemię?

— Naprawdę dostrzegasz w tym jakieś problemy natury filozoficznej?

Spoważniał szybko i pokiwał głową.

— Owszem, tak jak i ty. Tylko udajesz, że ich nie widzisz.

Doktor Ross odsunęła się i w zamyśleniu spoglądała na całą grupę oddalającą się korytarzem. Benson, Morris i policjant stanęli przed drzwiami windy, a Morris zaczął naciskać guzik w tak charakterystyczny dla siebie sposób — agresywny, pełen zniecierpliwienia. Wreszcie winda nadjechała i wszyscy wsiedli do środka. Zanim drzwi się zasunęły, Benson jeszcze pomachał jej ręką. Janet wróciła do auli.

\* \* \*

— ...są rozwijane od dziesięciu lat — mówił Ellis. — Zapoczątkowały je tradycyjne stymulatory serca, przy których raz w roku trzeba było wykonywać drobny zabieg chirurgiczny związany z wymianą baterii. Stwarzało to pewną niedogodność, zarówno dla pacjenta, jak i dla lekarza. Atomowe ogniwa plutonowe są całkowicie bezpieczne i odznaczają się wyjątkową długowiecznością. Jeśli Benson będzie jeszcze żył, wymiana baterii może się okazać konieczna około roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego, ale nie wcześniej.

Doktor Ross po cichu wróciła na swoje miejsce. Z audytorium padło kolejne pytanie:

— W jaki sposób chcecie zbadać, która z czterdziestu elektrod zapobiega atakowi choroby?

— Wszczepimy je wszystkie i podłączymy do komputera, ale przez dwadzieścia cztery godziny będziemy uważnie kontrolowali ich działanie. Następnego dnia po operacji prześlemy drogą radiową

impulsy do każdej z elektrod, a po określeniu, która z nich sprawuje się najlepiej, tę właśnie przyłączymy na stałe metodą zdalnego sterowania.

W jednym z ostatnich rzędów auli rozległo się charakterystyczne pochrząkiwanie i znajomy głos powiedział:

— Te szczegóły techniczne są interesujące, ale chyba nie dotyczą meritum zagadnienia. — Ross uniosła głowę i popatrzyła na Manona. Siedemdziesięcioletni emerytowany profesor psychiatrii rzadko pojawiał się w szpitalu. Traktowano go zwykle jak starego, sklerotycznego dziwaka, który nie potrafi zrozumieć współczesnego sposobu myślenia. — Mnie się wydaje, że pacjent cierpi na psychozę.

— To chyba zbyt mocne słowo — odparł Ellis.

— Możliwe — ciągnął Manon — ale w każdym razie mamy do czynienia z poważnym zaburzeniem osobowości. Bardzo mnie zaniepokoiły te jego uwagi dotyczące ludzi i maszyn.

— Zaburzenia osobowości należą do przejawów choroby. W ostatnim artykule Harley i jego współpracownicy z Yale wykazali, że w pięćdziesięciu procentach przypadków epilepsji wywodzącej się z płatu skroniowego mózgu można zaobserwować poważne zaburzenia osobowości, niezależne od cyklicznych ataków.

— Zgadzam się — w głosie Manona dało się wyczuć nutę zniecierpliwienia. — Lecz nawet jeśli uznamy to za jeden z przejawów choroby, niezależny od ataków epilepsji, to czy pańska metoda zdoła coś na to poradzić?

Janet Ross poczuła drobną satysfakcję, wnioski Manona dotyczyły bowiem tych samych spraw, które i ona już wcześniej poruszała.

— Nie — odpowiedział Ellis. — Prawdopodobnie nie.

— Krótko mówiąc, operacja powstrzyma dalsze ataki epilepsji, ale nie wpłynie na urojenia.

— Nie — powtórzył Ellis. — Prawdopodobnie nie wpłynie.

— Jeśli wolno mi wtrącić kilka słów — rzekł Manon, ze zmarszczonym czołem spoglądając w dół — właśnie ten sposób myślenia uważam za najbardziej niebezpieczny w neuropsychiatrii. Nie chodzi mi konkretnie o pana, doktorze, jest to o wiele szerszy problem spotykany w kręgach medycznych. Jeśli na przykład Pogotowie przywozi pacjenta, który targnął się na swoje życie zażywając nadmierną dawkę leków, zwykle robi mu się płukanie żołądka, wstawia mowę i odsyła do domu. Można to nazwać zabiegiem, który nie ma nic wspólnego z leczeniem, gdyż ten sam pacjent wróci do nas wcześniej czy później. Płukanie żołądka nie jest lekiem na stany depresyjne, a pozwala jedynie usunąć śmiertelną dawkę tabletek.

— Chyba wiem, do czego pan zmierza, lecz...

— Pragnąłbym panu przypomnieć smutne doświadczenia tego szpitala z panem L. Czy pamięta pan

ten przypadek?

— Nie sędzę, żeby sprawa pana L. miała z tym cokolwiek wspólnego — burknął rozjątrzony Ellis spiętym głosem.

— Nie byłbym tego taki pewien — odparł Manon, a pochwyciwszy zdumione spojrzenia zgromadzonych w auli lekarzy, wyjaśnił: — Przypadek pana L. był tutaj bardzo głośny kilka lat temu. Ten trzydziestodwuletni mężczyzna miał daleko posuniętą niewydolność obu nerek, cierpiał na chroniczne zapalenie nefronów i został wciągnięty na listę oczekujących na przeszczep. Możliwości naszego szpitala są dość ograniczone, dlatego też kandydatów do transplantacji nerek wybiera z listy rada lekarska. Otóż psychiatra zasiadający w radzie ostro sprzeciwił się projektowi dokonania przeszczepu panu L., właśnie ze względu na psychozę. Ten człowiek był przekonany, że siły życiowe spływają na ziemię ze słońca i za nic nie chciał wyjść na zewnątrz po zachodzie. Uznaliśmy zatem, że jest on zanadto niestabilny psychicznie, by implantować mu nerkę. Operacja doszła jednak do skutku. Pół roku później pan L. popełnił samobójstwo. To prawdziwa tragedia, ale nadal aktualne pozostaje pytanie, czy teże nerki wartej wiele tysięcy dolarów, nie licząc olbrzymiego wysiłku chirurgów przeprowadzających transplantację, nie powinno się przeznaczyć dla kogoś innego?

Ellis zaczął chodzić tam i z powrotem, lekko powłócząc niesprawną nogą. Ross doskonale wiedziała, co to oznacza: poczuł się zagrożony, wystawiony na atak. Na co dzień bardzo dbał o to, by ukryć tę wadę, starał się za wszelką cenę nie utykać. Ale gdy był zmęczony, rozzłoszczony lub czuł się zagrożony, zapominał o tym. Można by odnieść wrażenie, że okazując słabość starał się pozyskać dla siebie sympatię: „Spójrzcie, jestem chromy, nie wolno mnie atakować”. Rzecz jasna, nie robił tego świadomie.

— Rozumiem pańskie obiekcje — rzekł w końcu. — Ale w tych kategoriach, w jakich pan przedstawił sprawę, nie umiem udzielić odpowiedzi. Chciałbym jednak zwrócić uwagę na nieco odmienny punkt widzenia. Nie przeczę, że psychika Bensa jest niestabilna, a nasza operacja prawdopodobnie nie zmieni tego stanu rzeczy. Co się jednak stanie, jeśli nie poddamy go operacji? Czy można ją traktować jak specjalne wyróżnienie? Nie sędzę. Dobrze wiemy, jak groźna jest ta choroba, zarówno dla pacjenta, jak i dla innych osób. Ataki epileptyczne już spowodowały, że Benson wszedł w konflikt z prawem, a przecież z czasem przybierają na sile. Ta operacja ma zapobiec dalszym atakom i choćby tylko z tego powodu musi wpłynąć na poprawę stanu pacjenta.

Manon nieznacznie wzruszył ramionami. Janet Ross знаła ten gest — miał on oznaczać impas, nie dającą się rozstrzygnąć różnicę zdań.

— Czy są jeszcze jakieś pytania? — rzekł Ellis.

Ale nikt już więcej nie chciał zabierać głosu.

— Kurwa mać — syknął Ellis, ocierając pot z czoła. — I tak go nie przekonałem, prawda?

Janet Ross szła obok niego przez parking w stronę oddziału badawczego mieszczącego się w budynku Langer'a. Było późne popołudnie, stojące nisko pomarańczowe słońce nie grzało już tak mocno.

— Musisz brać pod uwagę również taki punkt widzenia — odparła.

Ellis westchnął.

— Postaram się zapamiętać, że trzymasz jego stronę.

— Po co masz o tym pamiętać? — zapytała, uśmiechając się lekko. Jako psychiatra współpracujący z zespołem naukowym neuropsychiatrii od początku była przeciwna operacji Bensona.

— Posłuchaj — rzekł Ellis. — Robimy, co w naszej mocy. Ja też bym chciał uleczyć go całkowicie, ale to niemożliwe. Skoro jednak możemy mu pomóc, zrobmy to.

Szli dalej w milczeniu. Janet uznała, że nie ma o czym mówić. Wielokrotnie już przedstawiała Ellisowi swoje zdanie. To prawda, że operacja mogła pomóc Bensonowi, ale mogła równie dobrze uczynić z niego o wiele groźniejszego człowieka. Ellis na pewno się z tym liczył, chociaż uparcie próbował lekceważyć tę ewentualność. A może jej się tylko tak wydawało?

Dość lubiła Ellisa, podobnie jak lubiła wielu innych chirurgów. Według niej byli to ludzie niezwykle praktyczni, faceci (gdyż niezwykle rzadko spotykało się wśród nich kobiety, co uważała za symptomatyczne), usilnie próbujący coś zrobić, szalenie aktywni. Ellis wyróżniał się na ich tle. Z pełną rozwagą odrzucił kilku kolejnych kandydatów do operacji trzeciego stopnia. Wiedziała, z jak wielkim trudem mu to przyszło, gdyż bezprzykładnie palił się do wypróbowania swej nowej metody.

— Mierzi mnie to wszystko — mruknął.

— Mianowicie co?

— Polityka. Dlatego lubię pracować z małpami, tam nikt nie próbuje uprawiać swojej polityki.

— Ale przecież chcesz operować Bensona...

— Jestem gotów, cały zespół jest przygotowany. Musimy kiedyś zrobić ten pierwszy, ważny krok, a teraz nadarza się ku temu znakomita okazja. — Zerknął na nią. — Dlaczego masz taką kwaśną minę?

— Bo nie jestem przekonana.

Weszli do budynku Langerera. Ellis pożegnał ją w holu, umówił się bowiem na wczesny obiad z McPhersonem; obiad polityczny, jak ze złością sam to określił. Janet wsiadła do windy i pojechała na trzecie piętro.

Po dziesięciu latach ciągłych zmagani oddział badawczy neurochirurgii otrzymał wreszcie do swej dyspozycji całe piętro w gmachu Langerera. Wszystkie pomieszczenia raziły martwą, odpychającą bielą, tylko na tym piętrze ściany pomalowano żywymi, pastelowymi kolorami. W założeniu miało to napawać pacjentów optymizmem i poprawiać im humor, ale na nią wywierało zgoła przeciwny wpływ; postrzegała te barwy jako sztuczne, fałszywie przymilne i czuła się jak w zamkniętym oddziale dla dzieci opóźnionych w rozwoju.

Wysiadła z windy i rozejrzała się po recepcji, w której jedną ścianę pomalowano na jasnoniebiesko, pozostałe zaś na czerwono. Cały wystrój oddziału neuropsychiatrii był pomysłem McPhersona. Przyszło jej teraz do głowy, że to dziwne, jak bardzo pewne sprawy organizacyjne odzwierciedlają osobowość kierownika placówki. McPherson bowiem miał w sobie coś z przedszkolaka i bez przerwy tryskał niewyczerpanym optymizmem.

W rzeczy samej, trzeba było mieć wiele optymizmu, żeby planować operację Harry'ego Bensona.

Na oddziale panowała wyjątkowa cisza, większość personelu poszła już do domu. Janet ruszyła korytarzem, mijając różnobarwne drzwi, na których widniały tłoczone tabliczki: SONOENCEFALOGRAFIA, FUNKCJE KOROWE, EEG, OZNACZANIE RAS\* [\*RAS — (ang. reliability, availability, sendceability) — niezawodność, dostępność, użyteczność. Sumaryczny współczynnik stosowany w mikroelektronice użytkowej — przyp. tłum.], T CIEMIENIOWE\* [\* T — (ang. terminal) — urządzenie końcowe systemu komputerowego — przyp. tłum.], a dalej, na samym końcu korytarza TELEKOMP. Tutaj właśnie wykonywano najbardziej złożone badania pacjentów i było to, według określenia McPhersona, „skrzydło użytkowe” oddziału.

Po drugiej stronie recepcji ciągnęło się skrzydło badawcze, w którym pracowano nad chemitrodami i kompozycjami, układano schematy eladacji, nie mówiąc już o tak skomplikowanych projektach, jak „Jerzy i Marta” czy „Formuła Q”. Wydział badawczy był mniej więcej dziesięć lat do przodu w stosunku do wydziału użytkowego, a ten przecież uważano za niezwykle nowoczesny na tle innych tego typu placówek.

Jakiś rok temu McPherson poprosił ją o oprowadzenie po całym oddziale grupy dziennikarzy z różnych czasopism naukowych, a wybrał właśnie ją, ponieważ — jak sam to powiedział — „ma taką zgrabną dupcię”. Janet była oszołomiona, wręcz zaszokowana, gdyż szef zawsze odnosił się do niej z szacunkiem, trochę po ojcowsku.

Ale prawdziwy szok przeżyli dopiero dziennikarze. Chciała im pokazać zarówno skrzydło użytkowe, jak i część badawczą, lecz ci po zwiedzeniu pierwszego wydziału byli już tak wstrząśnięci, że musiała skrócić program.

Później bardzo się tym martwiła. Miała przecież do czynienia z doświadczonymi dziennikarzami, specjalistami od propagowania nauki, którzy w swej pracy odwiedzali wiele instytucji badawczych. Ale to, co zobaczyli na oddziale eksperymentalnym neuropsychiatrii, po prostu odebrało im mowę.

Ona sama pracowała tu od trzech lat i zdążyła się już oswoić z charakterem prowadzonych prac, straciła dystans, nie umiała spojrzeć na to z odpowiedniej perspektywy. Wizja człowieka sprzężonego z maszyną, mózgu ludzkiego wspomaganego przez mikroprocesory, przestała być dla niej czymś niecodziennym i prowokującym. Traktowała to jak normalną drogę rozwoju i sposób na osiągnięcie konkretnych rezultatów.

Z drugiej jednak strony sprzeciwiała się przeprowadzeniu operacji trzeciego stopnia na Bensonie; była temu przeciwna od samego początku. Uważała, że Benson nie jest właściwym człowiekiem do tego typu eksperymentu i miała teraz ostatnią szansę, aby to udowodnić.

Zatrzymała się na końcu korytarza, przy drzwiach oznaczonych tabliczką TELEKOMP, zza których dobiegał cichy szmer pracujących drukarek. Usłyszała w końcu czyjś głos i weszła do środka. To obszerne pomieszczenie wypełnione sprzętem elektronicznym stanowiło centrum oddziału badawczego neuropsychiatrii. Ściany i sufit pokrywała wykładzina dźwiękochłonna, będąca reliktem ubiegłych lat, kiedy za urządzenia wyjściowe komputerów służyły terkoczące nieustannie maszyny teleksowe, dawno już zastąpione przez ekrany monitorów telewizyjnych oraz pracujące o wiele ciszej drukarki mozaikowe czy zupełnie bezgłośnie, tuszowe. Pokój wypełniał jedynie szum działających komputerów. McPherson żądał stosowania jak najciszej pracującego sprzętu, gdyż terkot maszyn teleksowych źle działał na pacjentów oddziału.

Wewnątrz zastała zarówno Gerharda, jak i jego asystenta, Richardsa — złote rączki, jak ich powszechnie nazywano. Gerhard miał zaledwie dwadzieścia cztery lata, a Richards jeszcze mniej, obaj byli najmłodszymi pracownikami oddziału. Traktowali TELEKOMP jak swoje własne podwórko pełne najnowocześniejszych zabawek. Pracowali często o bardzo dziwnych porach, potrafili przystępować do roboty późnym popołudniem, żeby skończyć ją o świcie. Rzadko pojawiali się na różnego rodzaju zebraniach i odprawach, zwykle za przyzwoleniem McPhersona. Nikt jednak nie miał wątpliwości, że znakomicie wypełniali swoje zadania.

Gerhard, który zazwyczaj nosił długie kowbojskie buty, dżinsy i satynowe koszule z perłowymi guzikami, zwrócił na siebie uwagę już w wieku trzynastu lat, kiedy to na tyłach rodzinnego domu w Phoenix zbudował ponad sześciometrową raketę na paliwo stałe. Miał zamiar wprowadzić ją — wyposażoną w niezwykle zmyślny system elektronicznego sterowania — na orbitę okołozemską.

Sąsiedzi z rosnącym przerażeniem spoglądali na wystający znad garażu dziób rakiety, aż w końcu zawiadomili policję. Sprawa stała się głośna w mieście i w końcu ściągnięto specjalistów z wojska.

Ci dokładnie zbadali konstrukcję Gerharda, a następnie przetransportowali ją na poligon w White Sands i tam odpalili. Niestety, zawiodły mechanizmy zapłonu drugiego stopnia i rakietą eksplodowała pięć kilometrów nad ziemią, ale Gerhard uzyskał cztery patenty na skonstruowane przez siebie urządzenia sterujące, a zarazem kilka ciekawych ofert od wyższych uczelni i firm przemysłowych. Odrzucił je wszystkie, podjął naukę, przekazał zarządzanie finansami swemu wujowi, gdy zaś osiągnął pełnoletność, kupił sobie sportowe maserati. Po maturze rozpoczął pracę w laboratoriach Lockheeda w Palmdale, w Kalifornii, ale zrezygnował z niej po roku, gdyż brak dyplomu blokował mu drogę do awansów. Pewną rolę odegrał także fakt, że siedemnastolatek, który wolał pracować w samotności, po nocach, i wzbudzał powszechną zazdrość swym maserati ghibli, nie miał żadnych przyjaciół i był określany mianem odludka.

Właśnie wtedy McPherson zatrudnił go na oddziale badawczym neurochirurgii jako projektanta układów elektronicznych, synergetycznych z mózgiem ludzkim. Szef oddziału przeprowadzał wcześniej rozmowy z kilkunastoma kandydatami na to stanowisko. Wszyscy mówili o „wielkim wyzwaniu” albo „niezwykle interesujących możliwościach zastosowań”. Gerhard w trakcie wywiadu stwierdził krótko, że to może być zabawne, i z miejsca dostał pracę.

Podobnie było z Richardsem, który po maturze podjął studia, lecz po pół roku został powołany do wojska. Zaledwie o włos uniknął wysłania do Wietnamu, w samą porę zwrócono uwagę na udoskonalenia w elektronicznej aparaturze radarowej, jakie zaproponował. Okazały się one na tyle dobre, że na pozostałą część służby przeniesiono go do laboratorium w Santa Monica, a po jej zakończeniu znalazł pracę na eksperymentalnym oddziale neurochirurgii.

Czarodzieje o złotych rączkach, uśmiechnęła się Ross.

— Cześć, Jan — powitał ją Gerhard.

— Jak leci, Janet — dodał Richards.

Obaj zachowywali się zupełnie swobodnie, byli jedynymi członkami zespołu, którzy pozwalali sobie mówić do McPhersona zdrobniale „Róg”; ten zresztą nie protestował.

— Wszystko gra — odparła. — Jakoś przebrnęliśmy przez zebranie dotyczące naszej operacji trzeciego stopnia. Idę teraz, żeby się z nim zobaczyć.

— Kończymy właśnie sprawdzanie komputera — rzekł Gerhard. — Zgrabne cacko — dodał, wskazując stół z dużym mikroskopem, wokół którego rozstawionych było kilkanaście mierników.

— Gdzie on jest?

— Pod szkłem.

Janet przyjrzała się z bliska. Pod obiektywem mikroskopu leżało niewielkie plastikowe pudełko, pod przezroczystą osłoną widać było gąszcz superminiaturowych zespołów elektronicznych; na zewnątrz wystawało jedynie czterdzieści metalowych końcówek do podłączenia elektrod. Programiści musieli korzystać z mikroskopu i próbników igłowych, chcąc sprawdzić kolejne wyjścia układu.

— Zostały nam jeszcze do przetestowania obwody logiczne — rzekł Richards. — Szykujemy też drugi taki sam model, na wszelki wypadek.

Janet podeszła do szafy katalogowej, zaczęła wyciągać szuflady i przerzucać karty testów. Po chwili zapytała:

— Nie ma już czystych kart do psychodeksu?

— Są tutaj — odparł Gerhard. — Chcesz pięciorubrykowe czy n-rubrykowe?

— N-rubrykowe.

Gerhard wyciągnął szufladę i wybrał jej odpowiednią kartę. Wyjął też małą plastikową tabliczkę z zaciskiem do karty i niewielkim metalowym próbnikiem podobnym do ołówka automatycznego.

— Chyba nie masz zamiaru tego stosować na swoim pacjencie stopnia trzeciego?

— Owszem.

— Zrobiłaś mu już tyle psychodeksów, że...

— To już ostatni, do akt.

Gerhard wręczył jej tabliczkę i kartę.

— Czy on wie, co zamierzacie uczynić?

— Tak, przynajmniej w zarysach.

Tamten smutno pokiwał głową.

— W takim razie musi być niespełna rozumu.

— Zgadza się — odparła Janet. — I właśnie w tym tkwi problem.

Na szóstym piętrze zatrzymała się przy dyżurce, żeby wziąć kartę Bensona. W środku zastała jakąś nową pielęgniarkę, która na jej widok oznajmiła szybko:

— Przepraszam, ale krewnym pacjentów nie udostępniamy kart do wglądu.

— Jestem doktor Ross.

Pielęgniarka stanęła jak wryta.

— Proszę mi wybaczyć, pani doktor, ale nie zauważyłam identyfikatora... Pani pacjent znajduje się w pokoju siedemset cztery.

— Jaki pacjent?

— Mały Jerry Peters.

Tym razem Janet musiała mieć głupią minę.

— To pani nie jest pediatrą? — zapytała po chwili pielęgniarka.

— Nie, jestem z oddziału neuropsychiatrii.

Mimo woli jej głos zabrzmiał piskliwie, co tym bardziej ją rozzłościło. Od tylu już lat miała do



czynienia z ludźmi, którzy powtarzali: „Ty wcale nie chcesz być lekarzem, na pewno wolisz zostać pielęgniarką”, albo: „No cóż, dla kobiet najlepsza jest pediatria. Rozumiesz, to niemal naturalne powołanie...”

— Och — jęknęła tamta. — Pan Benson zajmuje pokój siedemset dziesięć. Jest już przygotowany do zabiegu.

— Dziękuję.

Wzięła kartę z rąk pielęgniarki i poszła korytarzem. Zapukała do drzwi pokoju Bensona, lecz w odpowiedzi usłyszała odgłosy wystrzałów. Uchyliła drzwi: wewnątrz światła były pogaszone, paliła się tylko mała lampka przy łóżku, ale cały pokój zalewała błękitnawa poświata włączonego telewizora. Z głośnika doleciał tekst: „...nie żył, jeszcze zanim runął na ziemię. Dwie kule prosto w serce”.

— Czy można? — zapytała, uchylając szerzej drzwi.

Benson uniósł się na łokciu. Powitał ją uśmiechem i wcisnął guzik przy łóżku, wyłączając telewizor. Głowę miał owiniętą ręcznikiem.

— Jak się czujesz? — zapytała Janet, wchodząc głębiej do pokoju. Usiadła na krześle stojącym obok łóżka.

— Obnażony — rzekł, wskazując prowizoryczny turban. — To zabawne. Człowiek nawet nie zdaje sobie sprawy, ile ma włosów na głowie, dopóki ktoś mu ich nie zetnie do gołej skóry. — Poklepał dłonią ręcznik. — Dla kobiet to musi być straszne przeżycie. — popatrzył jej prosto w oczy, lecz szybko spuścił wzrok, jakby speszony.

— Dla nikogo to nie jest wesołe — powiedziała.

— To prawda. — Opadł z powrotem na poduszkę. — Jak mnie ostrzygł zajrzałem do kosza na śmieci i zdumiała mnie ta ilość włosów. Poza tym było mi zimno w głowę. To bardzo śmieszne uczucie, kiedy jest tak zimno w głowę. Dlatego zrobili mi turban z ręcznika. Nalegałem, że chciałbym się przejrzeć w lustrze i zobaczyć, jak wyglądam łysy, ale stwierdzili, że to nie najlepszy pomysł. Dlatego zaczekałem, aż sobie pójdą, a potem wstałem z łóżka i poszedłem do łazienki, lecz gdy spojrzałem w lustro...

— Tak?

— Nie miałem odwagi zdjąć ręcznika. — Zaśmiał się. — Nie mogłem się na to zdobyć. O czym to świadczy?

— Nie wiem. A jak ty uważasz?

Zaśmiał się ponownie.

— Dlaczego psychiatrzy nigdy nie chcą odpowiedzieć wprost? — Zapalił papierosa i spojrzał na

nią wyzywająco. — Powtarzali mi, żebym nie palił, ale jakoś nie mogę się odzwyczaić.

— To chyba nie ma wielkiego znaczenia — odparła, przypatrując mu się uważnie.

Wyglądało na to, że jest w dobrym nastroju, a ona za wszelką cenę nie chciała mu go zepsuć. Ale z drugiej strony czuła, że nie jest całkiem w porządku, traktując go tak jowialnie w obliczu zbliżającej się operacji.

— Ellis był tutaj kilka minut temu — rzekł, wydmuchując kłęb dymu. — Zaznaczył mi na skórze kilka krzyżyków. Widzisz? — Uniósł nieco brzeg ręcznika z prawej strony głowy, odsłaniając wyraźnie bielszą skórę na czaszce. Za uchem miał narysowane dwa niebieskie ikсы. — I jak to wygląda? — zapytał z uśmiechem.

— Całkiem dobrze — powiedziała Janet. — A jak się czujesz?

— Też dobrze. Naprawdę świetnie.

— Nic cię nie trapi?

— Nie, czym miałbym się martwić? Nic już nie zmienię. Przez kilka następnych godzin będę zdany tylko na ciebie i Ellisa...

— Wydaje mi się, że większość ludzi byłaby choć trochę zaniepokojona przed operacją.

— Znow zaczynasz się zachowywać jak dobry, rozsądny psychiatra. — Uśmiechnął się, lecz zaraz zmarszczył brwi i lekko wydał wargi. — Oczywiście jestem zaniepokojony.

— Czym się niepokoisz?

— Wszystkim — odparł i zaciągnął się głęboko papierosem. — Wszystkim. Martwię się, czy zdołam zasnąć, jak będę się czuł jutro rano... i jak to będzie po operacji. Boję się, że ktoś może popełnić jakiś błąd, że zamienię się w wegetującą roślinę. Boję się, że będzie bolało, może nawet...

— Umrzesz?

— Jasne, tego też się boję.

— To naprawdę niezbyt skomplikowana operacja, równie łatwa, jak usunięcie wyrostka robaczkowego.

— Założę się, że mówisz to samo wszystkim, których czeka operacja mózgu.

— Nie, skądże. To naprawdę krótki i prosty zabieg, potrwa nie więcej niż półtorej godziny.

Benson w zamyśleniu pokiwał głową. Janet nie umiała powiedzieć, czy udało jej się go przekonać.

— Wiesz co? — mruknął. — Jeszcze nie wierzę, że to się wydarzy naprawdę. Ciągle mam

wrażenie, że jutro rano o wyznaczonej porze ktoś przyjdzie i powie mi: „Jest pan wyleczony, panie Benson. Może pan już wracać do domu”.

— Mamy nadzieję, że będziesz wyleczony po operacji. — Doktor Ross poczuła się nagle winna, że musi mówić mu takie rzeczy, niemniej przyszło jej to bez większego trudu.

— Jesteś tak cholernie opanowana... A ja momentami po prostu nie mogę tego znieść.

— Jak chociażby teraz?

Ponownie dotknął zwiniętego na głowie ręcznika.

— Chodzi o to, że... Na miłość boską, przecież wywiercicie mi parę dziur w głowie, podłączycie przewody...

— Wiedziałaś o tym już dość dawno temu.

— Tak, oczywiście. Ale to ma być już jutro.

— I to cię złości?

— Nie, po prostu się boję.

— To normalne uczucie, całkowicie zrozumiałe. Nie chciałabym tylko, żebyś z tego powodu wpadł w złość.

Zdusił niedopałek w popielniczce i natychmiast przypalił następnego papierosa. Widocznie chcąc zmienić temat, wskazał trzymaną przez nią plastikową tabliczkę i zapytał:

— Co to takiego?

— Jeszcze jeden test psychodeksu. Chciałabym go przeprowadzić.

— Teraz?

— Tak. Pragnę go dołączyć do twoich akt.

Benson wzruszył ramionami. Już kilka razy przechodził testy psychodeksu. Wziął teraz od niej tabliczkę, przypiął do niej arkusz z pytaniami i zaczął zaznaczać odpowiedzi, odczytując na głos.

— Czy wolałbyś być słoniem, czy pawianem? Pawianem, słonie żyją za długo.

Metalowym szpikulcem dotknął odpowiedniej rubryki z wybraną odpowiedzią.

— Gdybyś był kolorem, czy wolałbyś być zielonym, czy żółtym? Żółtym. W tej chwili czuję się cholernie żółto. — Zaśmiał się i dotknął próbnikiem karty.

Janet spokojnie czekała, aż udzieli odpowiedzi na wszystkie trzydzieści pytań. W końcu wręczył

jej tabliczkę z powrotem i natychmiast ponownie pogrążył się w zadumie.

— Czy odwiedzisz mnie... jutro?

— Tak.

— A ja będę na tyle przytomny, żeby cię rozpoznać?

— Mam nadzieję.

— Kiedy będę mógł stąd wyjść?

— Jutro wieczorem.

— Tak szybko?

— To naprawdę drobny zabieg — powtórzyła.

Pokiwał głową. Kiedy zapytała go, czy niczego nie potrzebuje, odrzekł, że chętnie by się napił piwa. Odparła, że to niemożliwe, choćby z tego powodu, iż nie wolno mu niczego jeść ani pić na dwanaście godzin przed operacją. Przypomniała też, że niedługo dostanie środek nasenny, a rano inny, również o działaniu uspokajającym. Na koniec życzyła mu dobrej nocy.

Nie zdążyła jeszcze wyjść z pokoju, kiedy za nią rozległy się hałasy włączonego ponownie telewizora. Lekko zachrypnięty głos Powiedział: „Niech pan posłucha, poruczniku. Musimy znaleźć tego mordercę. Gdzieś w tym mieście, pośród trzech milionów mieszkańców...”

Janet zamknęła za sobą drzwi.

Zanim wyszła ze szpitala, dołączyła do karty chorobowej krótką notatkę i zakreśliła tekst grubą, czerwoną kreską, żeby mieć pewność, że dyżurujące pielęgniarki na pewno to przeczytają.

#### ZALECENIA PSYCHIATRY:

Ten trzydziestoczteroletni mężczyzna cierpi od dwóch lat na epilepsję psychomotoryczną — jego choroba ma prawdopodobnie podłoże traumatyczne, wynikła w następstwie wypadku samochodowego i jest wystarczająco dobrze udokumentowana. Pacjent usiłował już zabić dwie osoby i brał udział w kilku innych groźnych bójkach. Jeżeli ktokolwiek z personelu szpitalnego usłyszy z jego ust, że „czuję się dziwnie” albo „wyczuwam jakiś przykry zapach”, co będzie oznaczało nadchodzący atak choroby, należy natychmiast powiadomić lekarzy prowadzących z oddziału neuropsychiatrii oraz służby ochrony szpitala.

W dodatku pacjent cierpi na zaburzenia osobowości, będące również efektem jego choroby. Jest przekonany, że maszyny konspirują w celu przejęcia władzy nad światem. Owo przeświadczenie jest na tyle głęboko zakorzenione, iż jakiegokolwiek próby perswazji mogą jedynie wzbudzić podejrzliwość

i wrogie nastawienie mężczyzny. Należy przy tym pamiętać, że jest to człowiek bardzo inteligentny i spostrzegawczy. Może się okazać pacjentem dosyć wymagającym i dokuczliwym, lecz należy go traktować pobłażliwie i z szacunkiem.

Wysoka kultura osobista i dobre maniery mogą sprawić, że ludzie stykający się z nim zapomną, iż jego postępowanie nie musi być w pełni świadome. Człowiek ten cierpi jednak na chorobę, która niezwykle silnie wpływa na jego mentalność. Poza tym jest przestraszony i przejęty czekającą go operacją.

Janet Ross

dr med.

specjalista neuropsychiatrii

— Nie rozumiem — powiedział rzecznik prasowy.

Ellis westchnął, lecz McPherson tylko uśmiechnął się wyrozumiale.

— Mówimy o wyładowywaniu agresji spowodowanej czynnikami organicznymi — rzekł. — Tylko w ten sposób można to traktować.

Siedzieli w trójkę w restauracji „Czterech Króli” sąsiadującej z budynkami szpitala. Wczesny obiad był pomysłem McPhersona, który w dodatku nalegał, żeby Ellis się do nich przyłączył, choć ten nie miał na to wielkiej ochoty.

Uniósł teraz rękę, przywołując kelnera i prosząc o drugą filiżankę kawy. Poniewczasie stwierdził, że może mieć kłopoty z zaśnięciem, ale wytłumaczył sobie, iż tej nocy zapewne i tak się nie wyśpi. Wszak miał w perspektywie operację trzeciego stopnia wykonywaną po raz pierwszy na człowieku.

Widział już w wyobraźni, jak przewraca się w łóżku z boku na bok, nie mogąc przestać myśleć o przebiegu operacji. Raz za razem powtarzał bowiem w pamięci wszystkie czynności, które przecież znał aż za dobrze. Wielokrotnie przeprowadzał zabiegi trzeciego stopnia na małpach, ściśle mówiąc operował dotychczas sto pięćdziesiąt cztery zwierzęta. A z małpami nie było tak łatwo: rozszarpały sobie szwy, zrywały przewody, robiły straszny hałas, walczyły z ludźmi...

— Napijemy się koniaku? — zapytał McPherson.

— Chętnie — odparł rzecznik prasowy.

Szef spojrzał pytająco na Ellisa, lecz ten pokręcił głową. Wsypał śmietanki do kawy i odchylił się na oparcie fotela, tłumiąc ziewnięcie. W jego oczach rzecznik prasowy także przypominał małpę: młodego rezusa. Miał tak samo kwadratową, masywną szczękę i te same iskierki w rozbieganych oczach.

Ellis nie znał jego nazwiska, wiedział tylko, iż rzecznik ma na imię Ralph. To jasne, oni się nigdy nie posługują nazwiskami, pomyślał. Tamten zresztą, od strony formalnej, nie był nawet rzecznikiem prasowym, zajmował stanowisko kierownika działu informacyjnego szpitala, urzędnika odpowiedzialnego za kontakty z prasą.

W każdym razie przypominał małpę. Ellis odruchowo popatrzył na miejsce za jego uchem, gdzie implantowano w czaszkę elektrody.

— Niewiele wiemy o przyczynach uzewnętrzniania agresji — powiedział McPherson. — Jest na ten temat sporo różnych teorii ukutych za pieniądze uczciwych podatników przez różnego autoramentu socjologów. Wiemy jednak z całą pewnością, że ta właśnie choroba, epilepsja psychomotoryczna, może być przyczyną agresywnych zachowań.

— Epilepsja psychomotoryczna — powtórzył Ralph.

— Zgadza się. Jest to jedna z wielu opisanych odmian epilepsji. Wiadomo także, iż cierpieli na nią niektórzy sławni ludzie, na przykład Dostojewski. Specjaliści neuropsychiatrii uważają, że może to być choroba powszechnie spotykana wśród osób, u których obserwuje się powracające cyklicznie napady agresji: policjantów, gangsterów, wichrzycieli i rozrabiaków. Nikt takich ludzi nie uważa za psychicznie chorych. Jakoś pogodziliśmy się z myślą, że w naszym otoczeniu spotyka się osoby agresywne. Traktujemy to jak coś normalnego, lecz może wcale tak nie jest.

— Rozumiem — mruknął Ralph.

Faktycznie, trudno czegoś takiego nie rozumieć, pomyślał Ellis. McPherson powinien być nauczycielem w podstawówce, miał wyjątkową umiejętność tłumaczenia innym niektórych spraw. W zasadzie trudno go było nawet nazwać typowym naukowcem.

— Wynika stąd, że nikt nie wie, jak bardzo rozpowszechniona jest epilepsja psychomotoryczna — kontynuował, przeciągnąwszy palcami po swych siwych włosach. — Według naszych szacunków może na nią cierpieć jeden lub nawet dwa procent społeczeństwa, czyli od dwóch do czterech milionów Amerykanów.

— O rety — syknął Ralph.

Ellis upił nieco kawy. O rety, powtórzył w duchu, mój ty Boże...

— Z jakiegoś powodu... — McPherson przerwał na chwilę i skinął głową kelnerowi, który przyniósł dwa kieliszki koniaku — podczas ataku epilepsji psychomotorycznej ludzie mają skłonność do agresji, zachowują się brutalnie. Nie znamy tego powodu, ale takie są objawy. Często jako syndrom chorobowy występuje także hiperseksualność oraz patologiczna intoksykacja.

Ralph zaczął nagle przejawiać niezwykle zainteresowanie.

— Mieliśmy do czynienia z przypadkiem kobiety — ciągnął McPherson — która podczas ataku mogła współżyć w ciągu jednej nocy z dwunastoma mężczyznami i wciąż czuła się niezaspokojona.

Ralph umoczył usta w koniaku. Ellis zwrócił uwagę, że tamten ma szeroki krawat o wyjątkowo psychodelicznym wzorze: czterdziestoletni hipis pełniący rolę rzecznika prasowego, który sięga po koniak na wspomnienie o niezaspokojonej seksualnie kobiecie.

— Natomiast patologiczna intoksykacja dotyczy tych niezwykle przypadków bardzo silnego i długotrwałego zamroczenia po spożyciu niewielkiej ilości alkoholu. U niektórych ludzi nawet jeden kieliszek może wywołać atak choroby.

Ellis znowu pomyślał o swym pierwszym pacjencie stopnia trzeciego: o drobnym, łagodnym jak ciepłe kluski Bensonie, stroniącym od wszystkich programów, który upijał się i masakrował ludzi — mężczyzn, kobiety, każdego, kto mu się nawinął pod rękę. W takiej chwili pomysł leczenia chorego metodą wszczepienia elektrod do mózgu wydał mu się absurdalny.

Ralph chyba także o tym pomyślał.

— I ta operacja ma zapobiec atakom agresji? — zapytał.

— Tak, na to liczymy — odparł McPherson. — Ale jeszcze nigdy nie poddawano tego typu operacji człowieka. Jutro rano w naszym szpitalu odbędzie się to po raz pierwszy.

— Rozumiem — powiedział Ralph, jakby dopiero teraz dotarło do niego, z jakiego powodu jedzą razem obiad.

— To sensacyjne wydarzenie, mówiąc językiem dziennikarskim.

— Och, tak. W pełni to doceniam... — Ralph zamyślił się na chwilę, wreszcie zapytał: — A kto ma przeprowadzić tę operację?

— Ja — odezwał się Ellis.

— Świetnie. W takim razie przejrzę naszą kartotekę, żeby móc przedstawić pańskie osiągnięcia i życiorys dziennikarzom. — Zmarszczył brwi, jak gdyby skojarzył, że będzie się to wiązało z dodatkową pracą.

Ellisa zaskoczyło podejście tamtego. I to wszystko? — pomyślał. Nie będzie potrzebował niczego więcej, poza aktualną fotografią? Ale McPherson, jak zawsze, czuwał na posterunku.

— Dostarczymy panu wszelkich niezbędnych materiałów — rzekł, kończąc w ten sposób spotkanie.



Robert Morris siedział w szpitalnej kawiarence, dojadając kawałek podeschniętej szarlotki, kiedy zapiszczał jego przywoływacz. Urządzenie wytwarzało tak nieprzyjemny, wibrujący dźwięk, że pośpiesznie sięgnął do paska i je wyłączył. Spokojnie kończył szarlotkę, gdy po kilku sekundach przywoływacz zapiszczał ponownie. Morris zaklął pod nosem, odłożył widelczyk i podszedł do telefonu.

Kiedyś odczuwał dumę z tego powodu, że nosi przy pasku cudowne, szare pudełko. Mógł nim zaimponować zwłaszcza wtedy, gdy jadł obiad lub kolację z jakąś dziewczyną, a niespodziewany pisk zmuszał go do natychmiastowego telefonowania do szpitala. To był widoczny dowód, że jest wiecznie zajęty, że dźwiga brzemień odpowiedzialności za życie ludzi. Zwykle też odpowiadał jak najszybciej na wezwanie, starając się zrobić wrażenie, że przedkłada obowiązki nad przyziemne rozrywki. Dziewczyny to uwielbiały.

Ale po kilku latach przywoływacz zaczął go irytować. Szare pudełko było nieludzkie, bezduszne, ciągle mu przypominało, że nie jest panem swego czasu. Tym bardziej że z reguły chodziło o sprawy mało ważne — a to pielęgniarka prosiła o potwierdzenie zestawu leków, który ma podać pacjentowi o drugiej nad ranem; to znów niepokoił go jakiś obcy, któremu nie podobał się sposób traktowania jego matki po operacji; czy też przypomniano mu o konferencji, kiedy on siedział już na sali, czekając na jej rozpoczęcie.

Wkrótce najpiękniejszymi chwilami w jego życiu stały się powroty do domu, gdy mógł wreszcie odczepić i wyłączyć przywoływacz na kilka godzin. Stawał się wtedy nieosiągalny, naprawdę wolny. A właśnie tego pragnął.

Sięgając po słuchawkę, ze smutkiem popatrzył na pustą kawiarenkę i resztki swojej szarlotki na talerzyku.

— Tu Morris.

— Doktorze, dwa-cztery-siedem-jeden.

— Dziękuję.

Podany numer oznaczał dyżurkę pielęgniarek na szóstym piętrze. Jego samego zaskakiwał fakt, jak szybko nauczył się na pamięć tych numerów, gdyż uważał wewnętrzną sieć telefoniczną szpitala uniwersyteckiego za bardziej skomplikowaną od anatomii człowieka. Ale przez lata pracy, nawet specjalnie się o to nie starając, w wystarczającym stopniu zapamiętał najważniejsze numery. Zadzwoił do dyżurki.

— Mówi Morris.

— Ach tak — odezwała się pielęgniarka. — Czekasz tu kobieta, która przyniosła torbę dla pacjenta Harolda Bensona. Twierdzi, że to rzeczy osobiste. Czy możemy mu ją przekazać?

— Zaraz tam przyjdę.

— Dziękuję, doktorze.

Wrócił do stolika, wziął plastikową tackę i zaniósł do kosza na śmieci. Ledwie zdążył ją wyrzucić, przywoływacz zapiszczał ponownie. Jeszcze raz podszedł do telefonu.

— Tu Morris.

— Tym razem jeden-trzy-pięć-siedem, doktorze.

Wybrał numer oddziału zaburzeń metabolicznych.

— Mówi Morris.

— Tu doktor Hanley — odpowiedział mu nieznajomy głos. — Czy mógłby pan rzucić okiem na pacjentkę, która według nas ma objawy psychozy steroidowej? Cierpi na anemię hemolityczną, czeka ją operacja śledziony.

— Dzisiaj nie dam rady do was zajrzeć, a jutro mam bardzo napięty harmonogram — rzekł, myśląc zarazem, że rano czeka go najważniejszy występ w tym roku. — Spróbujcie złapać Petersa.

— Chyba nie...

— Peters ma spore doświadczenie ze steroidowcami, skontaktujcie się z nim.

— Dobrze. Dziękuję.

Morris odwiesił słuchawkę. Wsiadł do windy i wcisnął guzik szóstego piętra, kiedy przywoływacz zapiszczał po raz trzeci. Spojrzał na zegarek: było wpół do siódmej, czas jego pracy dobiegł końca. Odpowiedział jednak na wezwanie. Tym razem szukał go Kelso, ordynator pediatrii.

— Obiecywałeś, że mi dzisiaj dołożysz — rzekł.

— Dobra. Kiedy?

— Powiedzmy: za pół godziny.

— A masz piłki?

— Owszem, w samochodzie.

— Spotkamy się na dziedzińcu — powiedział Morris, a po chwili dodał: — Mogę się trochę spóźnić.

— Lepiej się nie spóźnij, niedługo zapadnie zmrok — odparł Kelso.

— Postaram się — mruknął Morris i odwiesił słuchawkę.

W przeciwieństwie do pozostałych oddziałów szpitala, gdzie o tej porze kręciło się wielu odwiedzających, w związku z czym panował zgiełk i hałas, na szóstym piętrze było cicho, tak jak zawsze. Pielęgniarki bardzo pilnowały tej wyjątkowej atmosfery spokoju.

— Tam siedzi, doktorze — powiedziała oddziałowa, wskazując ruchem głowy dziewczynę czekającą na ławce.

Morris podszedł do niej. Młoda, wręcz uderzająco ładna kobieta o długich, zgrabnych nogach przypominała mu aktorkę.

— Jestem doktor Morris.

— Angela Black. — Dziewczyna wstała, wyciągając do niego rękę. — Przyniosłam to dla Harry'ego. — Uniosła niewielką, granatową torbę podręczną. — Prosił mnie o tych parę rzeczy.

— W porządku — rzekł Morris, biorąc od niej torbę. — Sam mu to doręcę.

Kobieta zawahała się, a po chwili zapytała:

— Czy mogę się z nim zobaczyć?

— To nie jest dobry pomysł. — Morris stwierdził w duchu, że Bensaona zapewne już ogolono, a większość pacjentów obciętych przed operacją do gołej skóry nie chciała się pokazywać nikomu ze znajomych.

— Nawet na krótko?

— Dostał leki nasenne.

Była wyraźnie rozczarowana.

— Czy w takim razie mógłby mu pan przekazać wiadomość?

— Oczywiście.

— Proszę powiedzieć, że wracam do mojego dawnego mieszkania. On będzie wiedział, o co chodzi.

— Dobrze.

— Nie zapomni pan?

— Nie, na pewno mu przekażę.

— Dziękuję.

Uśmiechnęła się dość sympatycznie, choć cały efekt tego uśmiechu psuły długie sztuczne rzęsy i gruba warstwa kosmetyków na twarzy. Dlaczego młode dziewczęta lubią się tak mocno malować? — przemknęło mu przez myśl.

— Chyba już pójdę — powiedziała, odwróciła się i szybkim krokiem ruszyła w stronę wyjścia.

Morris przez chwilę spoglądał za nią, podziwiając jej długie, bardzo długie nogi i króciutką minispódniczkę, wreszcie uniósł torbę i zważył ją w rękę. Była dość ciężka.

Policjant siedzący pod drzwiami pokoju siedemset dziesięć powitał go słowami:

— Jak leci?

— Nieźle.

Gliniarz obrzucił podejrzliwym spojrzeniem torbę, nic jednak nie powiedział. Morris wszedł do środka.

Harry Benson oglądał jakiś western w telewizji, Morris musiał przyciszyć odbiornik.

— Pewna piękna dziewczyna przyniosła ci trochę rzeczy.

— Angela? — zapytał Benson z uśmiechem. — Owszem, ma całkiem zgrabną obudowę. Mechanizm w środku może nie jest nazbyt skomplikowany, ale obudowa niczego sobie. — Wyciągnął rękę po torbę. — Przyniosła wszystko, o co prosiłem?

Morris nie odpowiedział, w milczeniu przyglądał się, jak tamten wyjmuje kolejne rzeczy i rozkłada je na kołdrze: dwie pizamy, golarka elektryczna, płyn po goleniu, kieszonkowe wydanie powieści...

Benson z pewnym ociąganiem wyciągnął czarną perukę.

— A to po co? — zapytał Morris.

Tamten wzruszył ramionami.

— Pomyślałem, że wcześniej czy później będzie mi potrzebna. — Zachichotał. — Bo przecież w końcu mnie stąd wypuście, prawda?

Morris także się zaśmiał. Benson wrzucił perukę z powrotem do torby i wyjął niewielki, plastikowy futerał; w środku coś zabrzęczało metalicznie. Odpiął suwak i oczom zdumionego Morrisa ukazał się komplet różnej wielkości śrubokrętów, starannie poukładanych w przegródkach.

— A to do czego?

Pacjent przez chwilę patrzył na niego zmieszany, wreszcie odparł:

— Może wam wyda się to niezrozumiałe, ale...

— Tak?

— Zawsze je noszę ze sobą. Na wszelki wypadek.

Zamknął etui i ostrożnie, prawie z namaszczeniem włożył je z powrotem do torby. Morris zdawał sobie sprawę, że niektórzy pacjenci, zwłaszcza ci poważniej chorzy, przynosili ze sobą do szpitala nieraz bardzo dziwne przedmioty. Traktowali je niczym swoiste totemy, jak gdyby mieli nadzieję zachować w ten sposób pewne magiczne siły. Zwykle były to rzeczy nieodzowne w ich codziennej pracy albo mające coś wspólnego z hobby. Przypomniał sobie pewnego żeglarza czekającego na wycięcie guza pod czaszką, który przyniósł ze sobą plastikowy model statku i naprawiał w nim żagle. Zetknął się też z kobietą ciężko chorą na serce, która trzymała na stoliku pojemnik z piłkami do tenisa. Nie było to nic niezwykłego.

— Tak, rozumiem — mruknął.

Benson odpowiedział mu uśmiechem.

W pokoju TELEKOMP-u nie było nikogo; monitory stały wygaszone, drukarki nie pracowały. Tylko na kilku ekranach pojawiały się od czasu do czasu jakieś kolumny liczb. Janet przeszła w róg pomieszczenia i nalała sobie kawy do kubeczka, po czym wsunęła kartę psychodeksu z ostatnimi odpowiedziami Bensona do czytnika komputera.

Na oddziale neuropsychiatrii opracowano cały szereg testów psychologicznych, których wyniki analizowano za pomocą komputera. Stanowiły one integralną część wielkiego planu McPhersona, który sam autor nazywał „myśleniem dwukierunkowym”. Jego zasada polegała na tym, że umysł ludzki, podobnie jak komputer, może działać dwutorowo, w przeciwnych kierunkach. Z jednej strony stosowano komputery do badania mózgu, do analizy jego funkcjonowania, równocześnie wykorzystując umysł do projektowania coraz doskonalszych maszyn cyfrowych. Jak powtarzał McPherson, mózg ludzki jest w takim samym stopniu wzorcem przy projektowaniu komputerów, co komputer wzorcem działania mózgu.

Od kilku już lat programiści i neurobiolodzy ściśle współpracowali ze sobą na oddziale neuropsychiatrii. Ich wspólne działania zaowocowały tak znanymi projektami, jak „Formuła Q” czy „Jerzy i Marta”, a ponadto wieloma technikami badań psychologicznych, do których należało zaliczyć psychodeks.

Był to dość prosty test, oparty na wyborze jednej z dwóch odpowiedzi na przygotowane przez psychologów pytania, którego rezultaty opracowywano z zastosowaniem dość złożonych równań matematycznych. Po wczytaniu danych do komputera, Janet wpatrywała się w wyświetlane kolejno na monitorze rzędy liczb z wynikami obliczeń statystycznych.

Nie zwracała na nie większej uwagi, wiedziała, że są to niewiele mówiące rezultaty obliczeń pośrednich, które należało wykonać, by wynik końcowy pojawił się w zrozumiałej dla niej postaci. Uśmiechnęła się na wspomnienie Gerharda usiłującego jej kiedyś wyjaśnić istotę tych obliczeń — mówił o przetwarzaniu macierzy danych mających wymiary trzydzieści na trzydzieści, obliczaniu pochodnych i wprowadzaniu ortogonalności, do tego ortogonalności z wagą. Dla niej był to jedynie skomplikowany żargon wyższej matematyki, z którego niewiele rozumiała.

Już dawno temu odkryła, że można bez przeszkód wykorzystywać techniki komputerowe, nie mając pojęcia, jak funkcjonują te maszyny: trzeba było skorzystać z tej samej zasady co podczas jazdy samochodem, używania odkurzacza czy chociażby uruchamiania własnych szarych komórek.

Na ekranie pojawił się wreszcie napis: OBLICZENIA ZAKOŃCZONE, PROSZĘ WYBRAĆ SPOSÓB PRZEDSTAWIENIA WYNIKÓW.

Wcisnęła odpowiedni klawisz wywołujący rysowanie krzywej w układzie trójwymiarowym. Komputer wyświetlił informację, że parametry obrazu trójwymiarowego obejmują osiemdziesiąt jeden procent danych wejściowych, a po chwili na ekranie pojawiła się perspektywa górskiego szczytu o bardzo ostrym wierzchołku. Janet przez jakiś czas wpatrywała się w nią z niedowierzaniem, po czym sięgnęła po słuchawkę i wezwała McPhersona.

Szef ze zmarszczonym czołem patrzył na ekran, Ellis spoglądał mu przez ramię.

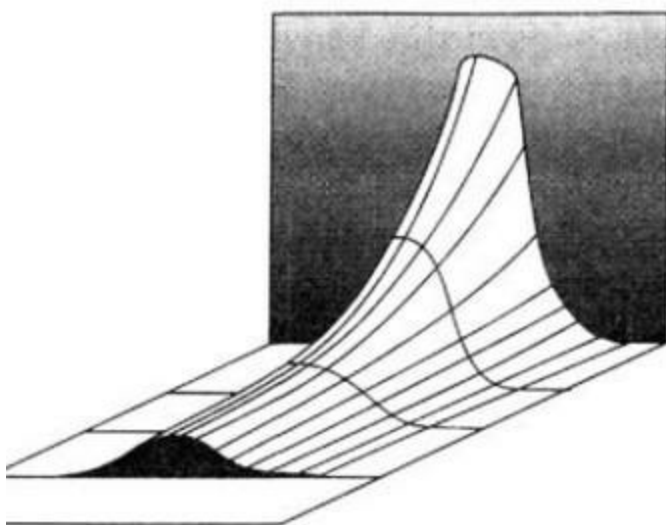
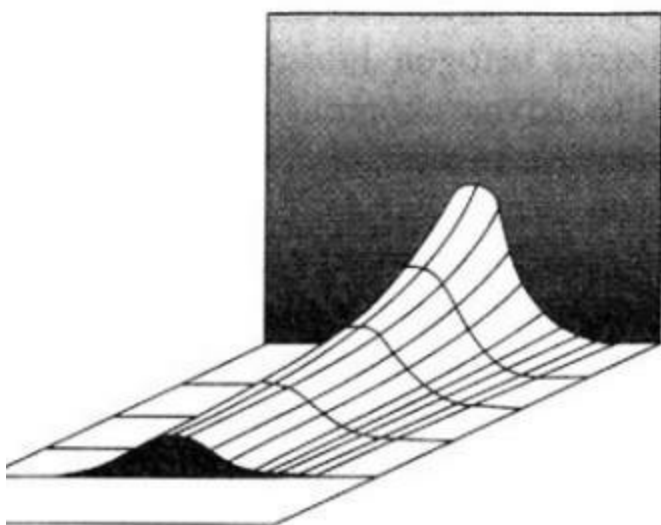
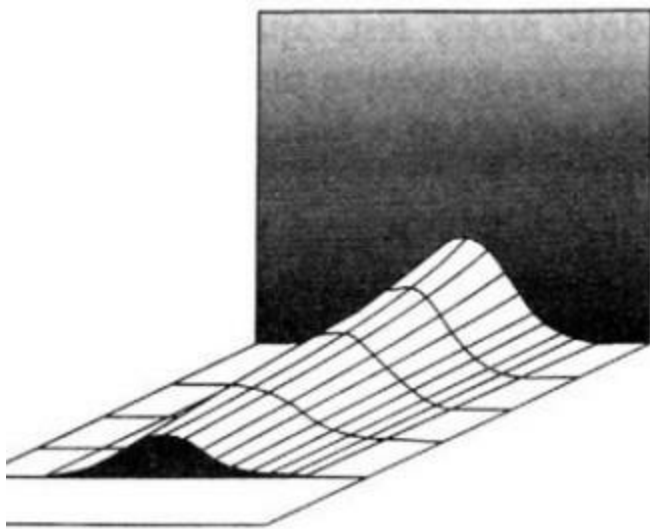
— Czy to jasne? — zapytała Ross.

— Najzupełniej — odparł McPherson. — Kiedy był robiony test?

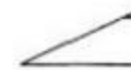
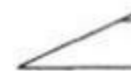
— Dzisiaj.

Westchnął ciężko.

— Widzę, że nie masz zamiaru rezygnować bez walki.



W PSYCHODEKSU W UKŁADZIE TRÓJWYMIAROWYM  
WYNIKIEM, WSKAZUJĄCYM NA SKŁONNOŚCI DO PSYCHOZY.



SZEREG WYNIKÓW  
Z ROSNĄCYM NACHYLENIEM

Janet nie odpowiedziała. Uderzyła w kilka klawiszy i na monitorze pojawił się analogiczny rysunek trójwymiarowy, tyle że o znacznie niższym wierzchołku.

— To wynik poprzedniego testu.



— Już na tym nachylenie wskazuje...

— Na wyraźną psychozę — wtrąciła.

— A to znaczy, że jego zaburzenia są teraz o wiele wyraźniejsze — mruknął McPherson. — Dużo wyraźniejsze niż miesiąc temu.

— Zgadza się.

— Nie sądzisz, że wyniki testu mogą być w jakiś sposób przekłamane?

Ross energicznie pokręciła głową. Zaprogramowała wyświetlenie sekwencyjne rezultatów czterech ostatnich testów. Zmiany były doskonale widoczne: na każdym kolejnym rysunku nachylenie krzywej wyraźnie wrastało, a wierzchołek stawał się coraz ostrzejszy.

— To świadczy tylko o tym, że jego stan się pogarsza. Rozumiem, że na tej podstawie chcesz nas przekonać, iż powinniśmy zrezygnować z operacji.

— Bardziej niż kiedykolwiek. To ewidentna psychoza i jeśli w tej sytuacji zaczniecie podłączać elektrody...

— Tak — przerwał jej McPherson. — Wiem, do czego zmierzasz.

— ...nabierze przekonania, że został przekształcony w maszynę — dokończyła.

McPherson odwrócił się do Ellisa.

— Jak myślisz, czy zdołalibyśmy wpłynąć na ten wynik, stosując torazynę?

Chodziło o jeden z najsilniejszych trankwilizatorów, pozwalający niektórym psychotikom w znacznym stopniu rozjaśnić myśli.

— Sądzę, że warto spróbować.

McPherson pokiwał głową.

— Ja też tak uważam. A ty, Janet?

Ross nie odpowiedziała, zapatrzona w ekran. Nadal wydawało jej się niezwykle, że można w ten sposób przetworzyć wyniki testu. Rysowane przez komputer szczyty górskie były jedynie abstrakcją, matematycznym przedstawieniem stanu emocjonalnego człowieka. Nie miały nic wspólnego z autentycznymi elementami charakterystyki, takimi jak odciski palców, wzrost czy waga.

— Janet? Co o tym myślisz? — powtórzył McPherson.

— Mam wrażenie, że obaj zrobicie wszystko, by doszło do operacji.

— A ty wciąż jesteś jej przeciwna?

— Nie jestem przeciwna, uważam jednak, że nie wyjdzie ona na dobre Bensonowi.

— Co sądzisz o zastosowaniu torazyny?

— To ryzykowne.

— I myślisz, że nie warto podejmować takiego ryzyka?

— Trudno mi przesądzać, powtarzam jednak, że to bardzo ryzykowne.

McPherson pokiwał głową i zwrócił się do Ellisa:

— Nadal chcesz go operować?

— Tak — odparł tamten, nie spuszczając wzroku z ekranu. — Nadal chcę go operować.

Jak zawsze Morris czuł się głupio, grając w tenisa na dziedzińcu szpitalnym. Poczuciem winy napełniała go świadomość, że z okien otaczających go zewsząd wysokich budynków patrzą na niego pacjenci, którzy nie mogą się zajmować tym samym co on. Przytłaczał go także hałas, a raczej brak odgłosów, do których przywykł. Obok szpitala przebiegała bowiem trasa szybkiego ruchu i miły dla ucha stukot odbijanej piłki tutaj całkowicie ginął w jednostajnym szumie ulicy.

Ściemniało się powoli, grał z coraz większym trudem. Miał wrażenie, że piłka niespodziewanie pojawia się po jego stronie siatki. Kelso poruszał się z dużo większą swobodą. Morris często żartował z niego, że jada zbyt wiele marchewki, ale bez względu na wszystko czuł się po prostu upokorzony, przegrywając z Kelso. Tamtemu wyraźnie nie przeszkadzał półmrok, Morris strasznie nie lubił przegrywać.

Ordynator pediatrii już od dawna nie musiał z nikim konkurować, Morris natomiast na każdym kroku podejmował wyzwania. Rywalizował w rozgrywkach, w codziennej pracy, w zdobywaniu kobiet. Ross niejednokrotnie mu to wytykała, ale zaraz potem — w sposób tak charakterystyczny dla psychiatrów — wstydliwie zmieniała temat. Nie przywiązywał do tego specjalnej wagi. Uważał, że takie już jest jego życie i bez względu na kierujące nim motywy — czy to brak poczucia bezpieczeństwa, potrzebę wybicia się, czy kompleks niższości — nie ma się czym przejmować. Czerpał radość z wszelkiego typu rywalizacji, a każde zwycięstwo dawało mu satysfakcję. Zresztą do tej pory miał na swym koncie znacznie więcej sukcesów życiowych niż porażek.

Przeniósł się na oddział neurochirurgii między innymi dlatego, że oczekiwał nadzwyczajnych wyzwań losu, ale spodziewał się także niespotykanych dotąd nagród. W głębi ducha Morris miał nadzieję uzyskać tytuł profesorski przed skończeniem czterdziestki. Jego dotychczasowa kariera była dość błyskotliwa — może właśnie dlatego Ellis zaakceptował go od razu — co pozwalało mu optymistycznie patrzeć w przyszłość. Czuł się zaszczycony, mogąc pracować w tak znanej placówce.

Przez pół godziny gry dawał z siebie wszystko, ale w końcu się zmęczył, a zmrok utrudniał mu wychwytywanie piłek. Próba przekrzywienia ulicznego ruchu nie miała sensu, dał więc ręką znak przeciwnikowi, że chce wreszcie skończyć tę partię. Podeszli obaj do siatki i uścisnęli sobie dłonie. Morris z satysfakcją zauważył, że Kelso również jest cały zlany potem.

— Dzięki — rzekł tamten. — Zagramy jutro o tej samej porze?

— Trudno mi obiecywać.

Kelso zerknął na niego.

— Ach tak — mruknął. — Jutro czeka cię bardzo ciężki dzień.

— Wielki dzień — przytaknął Morris.

Jezu, plotki doszły nawet do oddziału pediatrii? — pomyślał. Przez chwilę próbował sobie

wyobrazić, jak się musi czuć Ellis, jak niesamowite, wręcz obłędne napięcie musi powodować świadomość, że personel całego szpitala uniwersyteckiego będzie z uwagą śledził przebieg operacji.

— No cóż, życzę wam powodzenia — rzekł Kelso.

Obaj byli już przy wejściu do szpitala, kiedy Morris z daleka dostrzegł Ellisa — tamten szedł przez parking, wyraźnie utykając, wreszcie wsiadł do samochodu i pojechał do domu.

Środa,

**10 marca 1971:**

**Implantacja**

O szóstej rano Janet Ross, ubrana już w zielony strój operacyjny, siedziała nad pączkiem i kawą na drugim piętrze budynku chirurgii. O tej porze w pokoju lekarzy było tłoczno. Co prawda pierwsze zabiegi zawsze wyznaczano na szóstą, lecz z reguły zaczynały się one piętnaście czy dwadzieścia minut później. Wszyscy chcieli jeszcze przeczytać poranną gazetę, porozmawiać o cenach na giełdzie bądź o przebiegu ostatniej partii golfa. Tylko od czasu do czasu ktoś wychodził i z wielkiej, przeszklonej galerii spoglądał na którąś z sal operacyjnych, gdzie trwały przygotowania.

Janet była jedyną kobietą w pokoju i jej obecność w jakimś stopniu wpływała na panującą tam atmosferę. Doskonale zdawała sobie z tego sprawę, drażniło ją, że mężczyźni mówili ściszymi głosami, starali się nie przeklinać i nie wybuchali tak gromkim śmiechem. Starła się nie zwracać na to uwagi, ale nie mogła się pozbyć wrażenia, że jest wśród nich intruzem. Wmawiała sobie, że przecież na każdym kroku, już od wczesnej młodości jest traktowana jak intruz. Jej ojciec, który także był chirurgiem, nigdy nie zadał sobie nawet trudu, by ukryć rozczarowanie, że ma córkę zamiast syna. Tylko syn pasowałby mu do ideału życiowego — mógłby go zabierać ze sobą do szpitala w soboty, Pokazywać mu sale operacyjne — krótko mówiąc, robić to wszystko, co można robić tylko z synem. Córka nie nadawała się do takich rzeczy, wprowadzała jedynie zamieszanie w ułożonym życiu chirurga, dlatego była intruzem..

Janet rozglądała się po zebranych w pokoju lekarzach, aż wreszcie, chcąc ukryć swój niepokój, podeszła do telefonu i zadzwoniła na szóste piętro.

— Mówi doktor Ross. Czy pan Benson jest gotów do operacji?

— Znajduje się już w drodze.

— Kiedy go zabrano?

— Około pięciu minut temu.

Janet odwiesiła słuchawkę i wróciła do swojej kawy. Wkrótce pojawił się Ellis i z daleka pomachał jej ręką.

— Będziemy musieli poczekać jeszcze z pięć minut, chłopcy po raz ostatni sprawdzają wyjścia komputera. Nasz pacjent już w drodze?

— Od jakichś siedmiu minut.

— Widziałaś Morrisa?

— Jeszcze nie.

— Mógłby wreszcie ruszyć tyłek i zjechać na dół.

Uśmiechnął się, jakby chciał rozładować napięcie.

Morris zjeżdżał windą wraz z pielęgniarką, Bensonem leżącym na wózku oraz jednym z policjantów.

— Nie będzie pan mógł z nami wysiąść — odezwał się w pewnej chwili.

— Dlaczego?

— Gdyż przechodzimy bezpośrednio do pomieszczeń sterylnych.

— Więc co mam robić? — zapytał przestraszony nieco gliniarz. Od samego świtu starał się nie wchodzić nikomu w drogę, w tej przedoperacyjnej krzątaninie czuł się jak zbędny kibic.

— Może pan zająć miejsce na galerii obserwacyjnej na drugim piętrze. Proszę powiedzieć pielęgniarce dyżurującej, że to ja pana tam skierowałem.

Policjant skinął głową. Winda stanęła na pierwszym piętrze, gdzie wychodziło się do niewielkiego holu pełnego lekarzy w zielonych strojach. Olbrzymi czerwony napis nad drzwiami korytarza głosił: OBSZAR STERYLNY. ZAKAZ WSTĘPU BEZ POZWOLENIA.

Morris i pielęgniarka wypchnęli z windy nosze na kółkach, policjant został w kabinie, rozglądając się nerwowo. Wcisnął wreszcie guzik drugiego piętra i drzwi zasunęły się za nim.

Morris ruszył korytarzem. W pewnej chwili Benson powiedział:

— Nadal jestem przytomny.

— Oczywiście.

— Ale miałbym ochotę już zasnąć.

Morris pokiwał głową. Tamten dostał leki zaledwie pół godziny temu, niedługo powinien odczuć ich skutki.

— Czujesz coś dziwnego w ustach?

— Suchość.

Oznaczało to, że atropina zaczyna działać.

— Wszystko będzie w porządku.

Morris przeprowadził dotychczas setki operacji, ale sam nie był jeszcze operowany. Ostatnio coraz częściej rozmyślał nad tym, jak się czuje pacjent przewożony na salę. Przypuszczał, że musi to być straszne przeżycie i że on nigdy by się na coś takiego nie zgodził.

— Wszystko będzie w porządku — powtórzył, kładąc dłoń na ramieniu Bensona.

Przez całą drogę do sali operacyjnej numer dziewięć widział strach w oczach tamtego.

\* \* \*

Dziewiątka to największa sala operacyjna w szpitalu akademickim, ma wymiary prawie dziewięć na dziewięć metrów, lecz stoi w niej mnóstwo sprzętu elektronicznego. Jeżeli w operacji uczestniczy pełny zespół, czyli dwanaście osób, i tak robi się ciasno. Na razie jednak w wyłożonym szarymi kafelkami pomieszczeniu uwijały się tylko dwie salowe, rozkładając sterylne płachty materiału i rozmieszczając stoliki.

W tej sali nie ma stołu operacyjnego, zamiast niego pośrodku stoi obszerny, głęboki fotel podobny do dentystycznego. Janet Ross przyglądała się pracy salowych przez okienko w drzwiach oddzielających salę od pomieszczenia przygotowawczego. Obok niej Ellis kończył szczotkowanie rąk, mamrocząc pod nosem, że ten pieprzony Morris na pewno się cholernie spóźni. Ellis z reguły robił się strasznie nerwowy i klął przed operacją, uważając zapewne, że nikt nie przywiązuje do tego wagi. Ross pomagała mu przy kilku zabiegach na zwierzętach i miała okazję poznać ten swoisty rytuał: nerwowość, wielkie napięcie i najgorsze przekleństwa, które szybko zastępował spokój i opanowanie w chwili rozpoczęcia operacji.

Ellis w końcu zamknął łokciem kurki i przeszedł na salę, tyłem otwierając drzwi, żeby niczego nie dotknąć rękoma. Salowa podała mu ręcznik. Osuszając dłonie, obejrzał się na wyglądającą przez okienko Janet, po czym szybko przeniósł wzrok na przeszkloną galerię. Ross pomyślała, że zapewne zebrało się tam już sporo chętnych do oglądania operacji.

Do pokoju przygotowawczego wszedł Morris.

— Ellis się o ciebie dopytywał — powiedziała.

— Pilotowałem naszego pacjenta.

Za jego plecami przez uchylone drzwi wetknęła głowę jedna z pielęgniarek.

— Doktor Ross, przyszedł jakiś człowiek z laboratorium radiologicznego z ogniwem dla doktora Ellisa. Czy mam je teraz przekazać?

— Jeśli jest gotowe do użycia.

— Zapytam.

Pielęgniarka zniknęła, a po chwili zajrzała ponownie.

— Twierdzi, że jest gotowe, lecz jeśli aparatura pomiarowa nie została zabezpieczona, możemy mieć kłopoty.



Janet dobrze wiedziała, że już jakiś czas temu założono dodatkowe osłony na aparaturę. Ogniwo plutonowe było bowiem lekko promieniotwórcze i chociaż poziom radiacji nie stanowił zagrożenia dla człowieka, nie spowodowałby nawet zaczernienia kliszy fotograficznej, to jednak mogłyby wpłynąć na pracę urządzeń pomiarowych.

— Mamy osłony. Proszę przenieść baterię na salę operacyjną — rzekła, po czym zwróciła się do Morrisa. — Jak się czuje Benson?

— Jest zdenerwowany.

— To zrozumiałe.

Morris obrzucił ją dziwnie podejrzliwym spojrzeniem. Janet otrząsnęła resztki wody z rąk i tyłem przeszła na salę operacyjną. Popatrzyła na technika z laboratorium radiologicznego, który wtoczył przez drugie drzwi niewielki stolik z ciężkim, ołowianym pojemnikiem. Na jego bokach widniały żółte napisy: UWAGA! PROMIENIOWANIE oraz charakterystyczny, pomarańczowy okrąg z trzema grubymi promieniami. Pomyślała, że te wszystkie środki bezpieczeństwa są zbyteczne, gdyż ogniwo nie stanowi żadnego zagrożenia.

W drugim końcu sali pielęgniarka zakładała Ellisowi fartuch, po chwili nasunęła mu gumowe rękawice, które Ellis jął pieczołowicie układać na palcach. Spojrzał wreszcie na technika i zapytał:

— Czy ogniwo zostało wyjałowione?

— Słucham?

— Pytam, czy wyjałowiono to ogniwo.

— Nie wiem, proszę pana.

— Więc proszę je przekazać pielęgniarce, żeby włożyła do autoklawu. Musi być jałowe.

Wycierając ręce, Janet poczuła dreszcz na plecach: w sali było dość zimno. Jak większość chirurgów, Ellis wolał pracować w niezbyt nagrzanym pomieszczeniu, choć dla pacjentów było tu z pewnością za zimno. Przypomniała sobie jednak jego powiedzenie: „Jeśli ja jestem zadowolony, to i pacjent będzie zadowolony”.

Ellis podszedł jeszcze do podświetlonej szyby, na której pielęgniarka porozwieszała zdjęcia rentgenowskie Bena. Zapatrzył się na nie, choć oglądał je przedtem dziesiątki razy. Na tych klasycznych prześwietleniach czaszki nie było widać niczego niezwykłego, tyle że robiono je przy silnym nawiewie i wszystkie włosy pacjenta sterczały do góry.

Do sali wchodziła stopniowo reszta zespołu. W operacji miały uczestniczyć: dwie pielęgniarki, dwie instrumentariuszki, jeden salowy, dwóch asystentów chirurga, w tej liczbie Morris, dwóch techników elektroniki i jeden programista, spec od komputerów. Anestezjolog zajmował się już Bensonem.

Jeden z elektroników, nie podnosząc nawet głowy znad przyrządów, oznajmił głośno:

— Możemy w każdej chwili zaczynać, doktorze.

— Dobrze, zaczekamy jeszcze na pacjenta — odparł spokojnie Ellis.

Pielęgniarki zachichotały.

Janet obrzuciła wzrokiem siedem różnej wielkości monitorów rozmieszczonych w sali, zależnie od tego, na ile przekazywany przez nie obraz był istotny dla chirurga. Najmniejszy z nich ukazywał widok fotela operacyjnego z góry.

Drugi, ustawiony bliżej lekarza prowadzącego, był sprzężony z aparaturą elektroencefalograficzną, na razie wyłączoną: widniało na nim szesnaście białych, prostych linii poziomych. Na wielkim ekranie obok miały być monitorowane podstawowe parametry pacjenta: elektrokardiogram, ciśnienie krwi w arteriach peryferyjnych, szybkość oddechu, tętno, ciśnienie krwi w żyłę centralnej, temperatura odbytnicza. Podobnie jak na ekranie EEG, widniały na nim jedynie proste linie.

Inne dwa sąsiednie monitory były całkowicie wygaszone, w trakcie operacji miały ukazywać powiększone, czarno-białe obrazy z aparatury rentgenowskiej.

Wreszcie na dwóch najważniejszych, kolorowych ekranach widniały rysunki generowane przez program komputerowy o nazwie „Limbie”. W chwili obecnej czekający na dyspozycje program wyświetlał zarys mózgu ludzkiego, obracający się z wolna w trzech wymiarach, zgodnie z dobieranymi losowo zmianami współrzędnych, które ukazywały się na dole obrazu. Jak zawsze Janet odniosła wrażenie, że komputer jest jeszcze jednym, choć nieludzkim członkiem zespołu operacyjnego, a złudzenie to stawało się tym silniejsze, ilekroć uruchomiony program zaczynał im asystować podczas zabiegu.

Ellis oderwał się w końcu od zdjęć i spojrzał na zegar: była szósta dziewiętnaście. Benson w towarzystwie anestezjologa wciąż jeszcze przebywał poza salą. Ellis zaczął chodzić nerwowo dokoła, wymieniając z ludźmi zdawkowe uwagi. Ross zaskoczyło to, że do wszystkich odnosi się wyjątkowo przyjaźnie. Zaledwie jednak uniosła głowę i popatrzyła na galerię, natychmiast pojęła przyczynę: zauważyła naczelnego dyrektora szpitala, ordynatora chirurgii, ordynatora interny, a także dyrektora pionu badawczego. Wszyscy z uwagą spoglądali na salę operacyjną.

Bensona wwieziono do środka o szóstej dwadzieścia jeden. Wydawało się, że jest w stanie głębokiego uśpienia, spoczywał bezwładnie, oczy miał zamknięte. Głowę owinięto mu zielonym materiałem.

Ellis przyglądał się uważnie, jak pacjenta układano na fotelu. Lecz kiedy Bensonowi przypinano ręce i nogi skórzanymi pasami, ten nagle otworzył oczy, jak gdyby odzyskał świadomość, i rozejrzał się dookoła.

— To tylko po to, żebyś nie spadł z fotela — wyjaśnił mu spokojnie Ellis. — Nie chcemy, żeby stało ci się coś złego.

— Aha... — mruknął Benson. Powieki opadły mu ciężko.

Ellis skinął na pielęgniarkę, która zdjęła jałowe nakrycie z głowy pacjenta. Janet pomyślała, że ogolona czaszka wydaje się niezwykle drobna, a do tego nienaturalnie biała. Na całkiem gładkiej skórze — jeśli nie liczyć drobnego zadrapania od brzytwy na lewej skroni — wyraźnie odcinały się dwa niebieskie ikсы za prawym uchem.

Benson opadł bezwładnie na oparcie fotela, nie otworzył po raz drugi oczu. Jeden z techników zaczął mu przyklejać na skórze elektrody, smarując wybrane miejsca pastą przewodzącą. Uwinął się z tym błyskawicznie, po kilku minutach od ciała pacjenta odchodziło mnóstwo kolorowych przewodów, łączących je z aparaturą kontrolną.

Ellis obrzucił wzrokiem ekrany. Na monitorze EEG widniało teraz szesnaście zygzakowatych linii; wskaźnik pulsu podrygiwał rytmicznie; słupek miernika respiracji unosił się i opadał; termometr pokazywał stały odczyt. Technicy szybko wpisywali wartości parametrów przedoperacyjnych do komputera, wszystkie pozostałe dane zostały wprowadzone już wcześniej. Podczas operacji komputer miał w odstępach pięciosekundowych monitorować wszelkie parametry i sygnalizować, gdyby któryś z nich przekroczył dopuszczalny limit wahań.

— Proszę włączyć muzykę — polecił Ellis.

Jedna z pielęgniarek wsunęła kasetę do stojącego w rogu sali magnetofonu, popłynęły pierwsze akordy koncertu Bacha. Ellis zawsze operował przy muzyce Bacha, twierdząc, że ma nadzieję, iż udzieli mu się precyzja, a może nawet geniusz wielkiego mistrza.

Po chwili dał znak do rozpoczęcia operacji. Cyfrowy zegar na ścianie wskazywał 6:29:14, w drugim rzędku pojawiły się cyfry 0:00:00.

Korzystając z pomocy pielęgniarki, Ross nałożyła fartuch i gumowe rękawice; nie znosiła ich. Na szczęście rzadko uczestniczyła w operacjach i nie musiała ich nakładać zbyt często. Ale z tego też powodu nie miała wprawy i teraz wcisnęła rękę za mocno, nie trafiła w jeden otwór, wpychając w inny dwa palce razem. Szybko zerknęła na pielęgniarkę, ale z jej twarzy przesłoniętej maseczką trudno było cokolwiek wyczytać. Odczuła jednak ulgę, że Ellis i inni lekarze są zwróceni do niej tyłem, patrząc na pacjenta.

Przeszła na koniec sali, bacząc pilnie, by nie zaczepić nogą o któryś z czarnych kabli zasilania, wijących się wszędzie po podłodze. Nie miała nic do roboty w pierwszej fazie operacji, musiała czekać na etap implantacji urządzenia stereotaksycznego, kiedy trzeba będzie wyznaczyć odpowiednie jego położenie zgodnie z obliczeniami programu. Miała więc aż nadto czasu, żeby w kącie powalczyć z bezduszną gumą i rozmieścić wszystkie palce we właściwych otworach.

Na dobrą sprawę wcale nie musiała być obecna podczas operacji, ale McPherson nalegał, żeby przy każdym zabiegu uczestniczył któryś lekarz zespołu, przygotowany tak, aby mógł służyć pomocą chirurgowi. Motywował, że przyczyni się to do skonsolidowania personelu.

Teraz popatrzyła na Ellisa, który przy pomocy asystentów kończył przygotowania. Po chwili

spojrzała na monitor ukazujący widok fotela z góry. Przebieg operacji miał zostać utrwalony na taśmie wideo.

— Myślę, że możemy już zaczynać — oznajmił Ellis. — Proszę dać mu zastrzyk.

Stojący za fotelem anestezjolog wbił igłę strzykawki między drugi i trzeci dysk kręgosłupa Bensa. Ten poruszył się z lekka i cicho jęknął.

— Wkłułem się pod durę. Ile mam mu zaaplikować? — zapytał lekarz.

Na ekranie komputera zamigał napis: OPERACJA ROZPOCZĘTA. Ruszył zegar odmierzający czas trwania zabiegu.

— Na początek niech będzie trzydzieści mililitrów — odparł Ellis. — Proszę włączyć aparat rentgenowski.

Wyloty promienników znalazły się na wysokości głowy Bensa, jeden z przodu, drugi z boku. Lekki trzask oznajmił, że płyty skanujące obraz znalazły się na swoich miejscach. Ellis wdepnął umieszczony w podłodze przycisk i dwa czarno-białe ekrany rozjarzyły się nagle, ukazując zarysy czaszki.

Programista siedzący przy konsoli komputera przebiegł palcami po klawiaturze i na jego monitorze ukazał się napis: PNEUMOGRAF WŁĄCZONY.

— Dobra, zakładamy osłonę.

Na głowie pacjenta umieszczono wielki cylinder do stereotaksji.

Precyzyjnie dopasowano wycięcia w osłonie do zaznaczonych wcześniej miejsc na skórze. Ellis z zadowoleniem pokiwał głową i zaczął na umocowanie osłony oraz wstrzyknięcie miejscowego znieczulenia w obszarze cięcia. Wreszcie rozciął skórę i odchylił ją, obnażając białą kość czaszki.

— Poproszę wiertarkę.

Wywiercił pierwszy z otworów dwumilimetrowej średnicy po prawej stronie głowy, po czym dopasował do niego osłonę i ściśle umocował cylindryczny „hełm”.

Ross popatrzyła na ekran monitorujący funkcje życiowe. Krzywe tętna i ciśnienia krwi pojawiały się i znikwały rytmicznie; wszystko było w normie. Wkrótce system komputerowy, podobnie jak lekarze, miał przejść do znacznie bardziej skomplikowanych zadań.

— Sprawdzamy pozycję — rzekł Ellis, odstępując na krok od fotela. Ze zmarszczonymi brwiami spoglądał na ogoloną głowę Bensa, na której tkwiła obszerna, metalowa osłona.

Technicy rentgenowscy zaczęli regulować położenie promienników i przeprowadzać niezbędne obliczenia.

Janet przypomniała sobie, że jeszcze niedawno korzystali z fluorescencyjnych płyt rentgenowskich, na których optycznie musieli ustalać współrzędne. Trwało to bardzo długo. Posługując się kompasem, kątomierzem i linijką rysowali na płytach odcinki, mierzyli je, dokonywali obliczeń i wprowadzali poprawki. Teraz dane wprowadzano do komputera, który błyskawicznie i z dużo większą dokładnością wykonywał te same pomiary i obliczenia.

Cały zespół zapatrzył się na ekrany komputera. Jeszcze przez chwilę widniały na nich rzeczywiste obrazy, lecz zaraz maszyna nałożyła na nie siatkę współrzędnych oraz linie skośne, zmieniając wszystko w schemat operacyjny. Pojawiły się wyniki obliczeń usytuowania aparatu stereotaksyjnego, a na zarysie mózgu rozbłysnął punkt, w którym przecinały się osie. Siatka współrzędnych poczęła rytmicznie mrugać, u dołu zaś pojawił się napis: USYTUOWANIE PRAWIDŁOWE.

Ellis pokiwał głową.

— Dziękujemy za fachową konsultację — rzekł z uśmiechem.

Podszedł do stolika, na którym leżały przygotowane elektrody. Obecnie używali do tego celu elektrod Briggsa, wykonanych z nierdzewnej stali pokrytej warstewką teflonu. Janet przypomniała sobie, że jeszcze niedawno, kiedy implantację trzeba było wykonywać ręcznie, wypróbowywano wszelkie dostępne materiały, od złota i platyny, po cienkie druty ze stali sprężystej.

Mieli wtedy ciężką, krwawą i brudną robotę. Trzeba było wycinać wielkie płyty czaszki i odsłaniać zwoje mózgowie. Chirurg własnoręcznie musiał odnaleźć właściwe miejsce i rozmieścić elektrody, a jeśli zachodziła potrzeba usytuowania ich w głębszych warstwach mózgu, trzeba było rozcinać powłoki, żeby dostać się w głąb zwojów. Operacje trwały godzinami, pacjentom groziły najróżniejsze komplikacje i rzadko kiedy efekt był taki, jakiego oczekiwano.

Wprowadzenie komputerów odmieniło niemal wszystko. Urządzenia elektroniczne pozwalały precyzyjnie wyznaczyć właściwy punkt na trójwymiarowym schemacie mózgu. Początkowo chyba każdy neurochirurg musiał umieć odnaleźć odpowiednie miejsce na podstawie pomiarów odległości od powierzchni gałki ocznej, nasady ucha czy szwu strzałkowego. Rzadko się to udawało, gdyż mózgi ludzi różnią się nieco między sobą, a ich położenie wewnątrz czaszki także nie jest identyczne. Jedynym zaś sposobem wyznaczenia pożądanego punktu w mózgu było obliczenie jego pozycji na podstawie pomiarów innych ludzi, kiedy punkty odniesienia stanowiły tylko opony mózgowie i komory wypełnione płynem. System komputerowy także prowadził obliczenia na podstawie rozmieszczenia komór z płynem mózgowym.

Ale przy jego pomocy nie trzeba było odsłaniać wielkich powierzchni zwojów. Starczyło wywiercić kilka niewielkich otworów w czaszce, przez które wprowadzano elektrody, komputer natomiast czuwał nad tym, by zostały one umieszczone we właściwych miejscach.

Ellis wybrał pierwszy zestaw elektrod. Z miejsca, gdzie stała Janet, mogło się wydawać, że jest to tylko jeden cienki drucik, ona wiedziała jednak dobrze, iż Ellis trzyma pęk aż dwudziestu miniaturowych elektrod zakończony wielostykowym łącznikiem. Każdy drucik w pęku był pokryty teflonem i właściwą elektrodę stanowiła tylko jego odizolowana końcówka o długości jednego milimetra. W dodatku każdy drucik różnił się nieco długością i pod szkłem powiększającym cały

zestaw przypominał miniaturowy ciąg schodów.

Ellis właśnie oglądał przez lupę stan elektrod. Poprosił o włączenie dodatkowej lampy, a po chwili obrócił przyrząd i tak samo zlustrował stan łącznika. Wreszcie poprosił jedną z pielęgniarek o podłączenie zestawu do próbnika i przetestowanie wszystkich końcówek. Czynność ta była już wykonywana wielokrotnie, lecz Ellis zawsze kazał wykonać dodatkowy test przed implantacją elektrod. Zawsze też kazał przygotowywać cztery wyjałowione zestawy, chociaż miał wykorzystać jedynie dwa spośród nich.

Kontrola wypadła jednak pomyślnie.

— Czy jesteśmy gotowi do podłączenia? — zapytał.

Członkowie zespołu pokiwali głowami. Ellis podszedł z powrotem do fotela i rzekł:

— W takim razie przebijamy się przez durę.

Do tej pory wywiercił jedynie otwór w kości czaszki, nie naruszając okrywającej mózg zewnętrznej opony twardej, czyli dury, pod którą znajdował się płyn mózgowy. Asystent chirurga wykonał teraz maleńki otworek w grubej, elastycznej błonie.

— Dostałem się do płynu — oznajmił, kiedy po boku głowy Bensona popłynął cienki strumyk.

Pielęgniarka wytarła go wacikiem.

Janet nieodmiennie zdumiewało to, jak silnie chroniony jest mózg człowieka. Inne niezwykle ważne organy także są dobrze zabezpieczone: płuca i serce znajdują się wewnątrz klatki piersiowej, wątroba i śledziona spoczywają pod krawędzią najniższego żebra, nerki umieszczone za płatami mięśni grzbietowych osłania gruba warstwa tłuszczu. Nic jednak nie jest aż tak dobrze chronione, jak centralny układ nerwowy, który całkowicie otacza cienka osłona kości. Lecz jakby tego było mało, pod nią znajduje się rodzaj worka z trzech warstw elastycznych błon, rozdzielonych płynem mózgowo-rdzeniowym, ten zaś jest pod ciśnieniem. Tak więc mózg pływa w ciśnieniowym zbiorniku, co niemal całkowicie chroni go przed wszelkiego typu urazami.

McPherson porównywał go do płodu rozwijającego się w wypełnionym wodami łonie. Mawiał: „Jedyną różnicą jest to, że dziecko wychodzi w końcu z łona, mózg natomiast nie opuszcza go aż do śmierci”.

— Rozpoczynamy wprowadzanie — zakomunikował Ellis. Ross podeszła bliżej, dołączając do zespołu chirurgicznego skupionego wokół głowy pacjenta. Spoglądała z uwagą, jak Ellis wsuwa pęk elektrod w wykonany wcześniej otwór i popycha go delikatnie, wprowadzając druty między zwoje szarej substancji. Technik przy konsoli komputera pospiesznie uderzył w kilka klawiszy i na ekranie pojawił się napis: PUNKT WPROWADZENIA ZLOKALIZOWANY.

Pacjent leżał bez ruchu, nawet nie jęknął. Jego mózg nie mógł odczuwać bólu z powodu braku nerwów czuciowych. Ross pomyślała, że jest to jeden z wybryków ewolucji: narząd, który interpretował doznania z całego ciała, sam nie mógł odbierać żadnych wrażeń.

Odwróciła wzrok od Ellisa w stronę ekranów aparatu rentgenowskiego. Na czarno-białym obrazie wyraźnie odcinał się pęk elektrod powoli wnikających w głąb mózgu. Zerknęła szybko na skupionego chirurga i ponownie skierowała uwagę na monitory, na generowany przez komputer schematyczny zarys głowy.

Obraz ten był tworzony na podstawie odczytów skanera wychwytyjącego promienie rentgenowskie. Prawy płat skroniowy mózgu jarzył się na schemacie na czerwono, a gruba błękitna kreska przedstawiała drogę, jaką muszą przebyć elektrody do punktu docelowego. Jak do tej pory Ellis bezbłędnie prowadził pęk drucików w wyznaczonym kierunku.

— Znakomicie — powiedziała na głos.

W miarę głębszego wnikania elektrod zmieniały się cyfry w wyświetlanych na dole ekranu trzech współrzędnych.

— Wprawa czyni mistrza — odparł cicho Ellis.

Przysunął sobie skalownik dziesiętny, przytwierdzony jednym końcem do hełmu stereotaksycznego. Pozwalało mu to na zredukowanie większych ruchów niezgrabnych rąk ludzkich. Jeśli teraz przesunął palce o pół centymetra, pęk drucików pokonywał drogę zaledwie pół milimetra. Elektrody zaczęły znacznie wolniej wnikać w głąb mózgu.

Nie odwracając głowy, Janet mogła na ekranie obserwować przesuwanie się elektrod, a unosząc wzrok nieco wyżej, miała na drugim monitorze widok Ellisa pochylonego nad fotelem. Łatwiej było jej w ten sposób oglądać przebieg operacji, nie musiała bowiem zerkać przez ramię. Kiedy jednak doleciał do niej cichy jęk Bena, błyskawicznie obejrzała się w tamtą stronę.

Ellis zamarł w bezruchu.

— Co to było?

— Pacjent — rzekł anestezjolog, wskazując człowieka spoczywającego na fotelu.

Ellis pochylił się i zajrzał mu prosto w twarz.

— Dobrze się pan czuje, panie Benson? — zapytał głośno, cedząc słowa.

— Tak... dobrze... — mruknął tamten niezbyt zrozumiale.

— Czuje pan jakiś ból?

— Nie.

— Znakomicie, proszę się rozluźnić.

Wrócił do przerwanej pracy.

Janet odetchnęła z ulgą. Przez chwilę ogarnęło ją straszliwe napięcie, chociaż doskonale zdawała sobie sprawę, że nie ma się czego bać. Benson nie mógł odczuwać żadnego bólu, a zastosowana narkoza powinna działać właśnie w ten sposób: pogrążając człowieka w półśnie, niemal narkotycznym transie, a nie pozbawiając go całkowicie świadomości. Nie było zresztą konieczności stosowania głębokiej narkozy, która zazwyczaj wiąże się z pewnym ryzykiem.

Odwróciła się z powrotem w kierunku monitorów. Komputer prezentował właśnie obraz dolnej części mózgu, jak gdyby oglądanej od strony szyi. Stąd widoczny był jedynie docelowy punkt umieszczenia elektrod, ukazany w postaci jaskrawoniebieskiej plamki otoczonej koncentrycznymi okręgami. Ellis musiał trafić w wyznaczone miejsce z dokładnością do jednego milimetra. W chwili obecnej pęk drutów odchylał się od linii prostej o pół milimetra i pod schematem widniał napis: BŁĄD WNIKANIA 50.

— Skręcasz w bok — powiedziała Janet.

Elektrody zatrzymały się w swej monotonnej wędrówce. Ellis popatrzył na monitor.

— W górę, w stronę płatu beta?

— Nie, w bok, w kierunku gamma.

— W porządku.

Po chwili pęk drucików zaczął posuwać się dalej, a napis na ekranie zamigotał: BŁĄD WNIKANIA 40. Schemat mózgu obrócił się powoli i zastygł w pozycji czołowobocznej. Napis ponownie się zmienił: BŁĄD WNIKANIA 20.

— Bardzo dobrze korygujesz.

Ellis pokiwał głową i cicho zanucił frazę z koncertu Bacha.

Komputer wyświetlił: BŁĄD WNIKANIA 0 i obrócił schematyczny rysunek mózgu, ukazując widok z boku. Na drugim ekranie trwał niezmiennie rzut od przodu i po chwili ukazał się na nim napis: OSTATNIA FAZA. PUNKT DOCELOWY...

Janet odczytała tę informację na głos.

Kilka sekund później rozbłysło jeszcze jedno słowo: OSIĄGNIĘTY.

— Jesteś na miejscu.

Ellis odsunął się od fotela i skrzyżował ręce na piersi.

— Sprawdźmy jeszcze raz koordynaty — powiedział.

Zegar odmierzający czas trwania operacji wskazywał dwadzieścia siedem minut.



Programista zaczął szybko uderzać w klawisze komputera. Na monitorze pojawił się w przyspieszonym tempie symulowany przebieg implantacji, a kiedy czarna kreska zetknęła się z jaskrawo-błękitnym punktem, ponownie zajaśniało słowo: OSIĄGNIĘTY.

— W punkt — skomentował Ellis.

Symulacyjny schemat został nałożony na rzeczywisty obraz rentgenowski mózgu pacjenta. Oba zarysy pokryły się idealnie. Na dole ekranu ukazał się napis: PUNKT DOCELOWY OSIĄGNIĘTY W GRANICACH DOPUSZCZALNEGO BŁĘDU.

— O to chodziło — mruknął Ellis.

Dokręcił niewielką, plastikową nasadkę, która mocowała pęk elektrod do czaszki, a następnie przytwierdził ją do kości cementem dentystycznym. Rozprostował też i odsunął na bok wiązkę cieniutkich przewodów.

— Możemy wprowadzać drugi zestaw elektrod — powiedział. Po wsunięciu na miejsce drugiego zestawu Ellis wykonał długie nacięcie na skórze. Chcąc ominąć większe arterie krwionośne i skupiska nerwów, poprowadził cięcie od miejsca wniknięcia elektrod ku małżowinie usznej, następnie skręcił w kierunku nasady szyi, a stamtąd w stronę prawego ramienia. Tutaj, na prawym barku, niemal już pod pachą, bezceremonialnie wyciął spod skóry nieco tkanki tłuszczowej, robiąc wolne miejsce.

— Czy mamy już ogniwo zasilające? — spytał. Ktoś szybko podsunął mu baterię.

W pudełku mniejszym od paczki papierosów znajdowało się trzydzieści siedem gramów radioaktywnego tlenku izotopu plutonu 239. Promieniowanie gamma nagrzewało urządzenie termojonowe, które wytwarzało prąd elektryczny, a scalony układ Kenbecka regulował stałe napięcie wyjściowe ogniwa.

Ellis podłączył jeszcze baterię do aparatu testowego, po raz ostatni przed wszczepieniem sprawdzając jej działanie. Przytrzymując ogniwo w palcach rzekł:

— Wciąż nie mogę się przyzwyczaić, że w dotyku jest całkiem zimne.

Ross wiedziała, że jest to możliwe jedynie dzięki kilku warstwom metalowych osłon przedzielonych próżnią. Wewnątrz panowała bowiem temperatura rzędu 500 stopni Celsjusza — wystarczająca, by całkowicie ściąć każde białko.

Ellis sprawdził także, czy ogniwo nie ma przecieku promieniotwórczego, ale licznik radiacji pokazał, że wszystko jest w normie. Na zewnątrz obudowy natężenie promieniowania miało pewną mierzalną, szcztątkową wartość, nie większą jednakże, niż emitowane przez standardowy odbiornik telewizji kolorowej.

Na końcu Ellis poprosił o znaczek ostrzegawczy. Benson musiał go nosić dopóty, dopóki miał pod skórą atomowe ogniwo zasilające. Na medaliku wybito był napis informujący, że dana osoba używa promieniotwórczego urządzenia regulującego, a pod spodem numer telefonu, pod którym pracował

automatyczny odtwarzacz, przez dwadzieścia cztery godziny na dobę powtarzający szczegółowe dane techniczne urządzenia zasilającego wraz z ostrzeżeniami, że gdyby człowiek zginął od kuli, w wypadku samochodowym lub pożarze, jakiegokolwiek uszkodzenie obudowy ogniwa może uwolnić radioaktywny pluton emitujący śmiertelne promieniowanie. Odtwarzany tekst zawierał również wyczerpujące wskazówki dla lekarzy, koronerów i przedsiębiorców pogrzebowych, akcentując zwłaszcza zakaz kremacji ciała przed usunięciem groźnego ogniwa.

Ellis wsunął baterię w przygotowaną przestrzeń pod skórą na ramieniu i dokładnie zaszył ranę. Dopiero teraz skierował swą uwagę na miniaturowy komputer.

Janet popatrzyła na galerię za szkłem i dostrzegła, że złote ręczki z ich oddziału, Gerhard i Richards, przyglądają się temu w skupieniu. Ellis dokładnie obejrzał urządzenie pod szkłem powiększającym, po czym przekazał je technikowi, który podłączył samodzielną jednostkę do wielkiego komputera szpitalnego.

Według Ross właśnie to miniaturowe urządzenie elektroniczne było najważniejszym elementem układu. W ciągu trzech lat jej pracy na oddziale neuropsychiatrii komputery przeszły niewiarygodną metamorfozę — od pierwszych, prototypowych modeli wielkości dużej walizki, do mieszczących się w dłoni subminiaturowych układów, mających jeszcze większe możliwości niż przestarzałe olbrzymy.

Tak daleko posunięta miniaturyzacja pozwoliła na wszczepianie komputerów pod skórę ludzi. Pacjent miał w ten sposób całkowitą swobodę ruchów, mógł się kąpać, robić wszystko, na co mu przyszła ochota. Było to o wiele wygodniejsze od starszych rozwiązań, kiedy z różnych części ciała wystawały przewody, a człowiek musiał dźwigać ciężki zasilacz przy pasku.

Spojrzała ponownie na ekrany, na których widniał napis: PROGRAM MONITORUJĄCY OPERACJĘ PRZERWANY W CELU WYKONANIA POMIARÓW ELEKTRONICZNYCH. Jeden z terminali pokazywał blokowy schemat miniaturowego komputera, na którym rozjaśniały się coraz to inne części układu. Sprawdzenie jednego parametru przez wielki komputer szpitala trwało cztery milionowe części sekundy: po upływie dwóch sekund test dobiegł końca. Na monitorze terminalu rozbłysnął napis: KONTROLA ELEKTRONICZNA ZAKOŃCZONA. W chwilę później na ekranach znów pojawił się schematyczny rysunek mózgu — komputer centralny wrócił do przerwanego programu monitorowania operacji.

— Dobra — mruknął Ellis. — Podłączamy go.

Pieczęłowicie podłączył końcówki elektrod z układem zamkniętym w plastikowej osłonie. W końcu ułożył pęk przewodów wzdłuż nacięcia na skórze i kazał asystentom założyć szwy. Zegar odmierzający czas trwania operacji pokazywał jedną godzinę i dwadzieścia minut.

Morris nadzorował przewiezienie Bensaona do sali rekonwalescencji — długiej, nisko sklepionej, gdzie umieszczano pacjentów zaraz po operacji. Znajdowały się tu trzy sekcje: oddziału kardiologicznego, neuropsychiatrii oraz specjalnie wydzielona część dla chorych z oparzeniami, ale kącik neuropsychiatrii nie był do tej pory używany, Benson miał być tutaj pierwszym rekonwalescentem.

Jego twarz była blada, całą głowę i ramię miał grubo zabandażowane, lecz mimo to wyglądał nieźle. Morris obserwował, jak Bensaona przekładano z wózka na łóżko, zaś w drugim końcu sali Ellis dyktował przez telefon swoje uwagi pooperacyjne. W sieć telefoniczną szpitala, pod numerem 1104, włączony był automatyczny rejestrator. Utrwalone na nim wypowiedzi sekretarka przepisywała i dołączała do akt wskazanych przez lekarza.

Głos Ellisa niósł się echem po pustej sali:

— ...centymetrowe nacięcie nad prawym płatem skroniowym, a w czaszce dwa otwory o średnicy dwóch milimetrów wykonane wiertłem typu K7. Implantację elektrod Briggsa prowadzono z wykorzystaniem programu komputerowego LIMBIC. Kochana, to się pisze wielkimi literami: LIMBIC. Tak się nazywa program. Elektrody zostały umieszczone w punkcie wyznaczonym przez komputer na podstawie zdjęć rentgenowskich, w granicach dopuszczalnego odchylenia. Umocowano je następnie nasadką rozporową Tylera i przytwierdzono cementem dentystycznym o wskaźniku siedem. Przewody wiodące do elektrod...

— Jak mam prowadzić obserwację? — zapytała pielęgniarka.

— Proszę monitorować wszystkie funkcje życiowe przez pierwszą godzinę co pięć minut, przez drugą co kwadrans, przez trzecią co pół godziny, potem co godzinę. Jeśli wszystko będzie w porządku, po sześciu godzinach można go przenieść z powrotem do jego pokoju.

Pielęgniarka kiwała głową, notując polecenia. Morris usiadł przy łóżku i sięgnął po kartę, żeby wpisać krótką charakterystykę zabiegu:

Notatka dotycząca operacji Harolda F. Bensaona.

Diag. przedop.: epilepsja psychomotoryczna (płat skroniowy)

Diag. pooper.: jak wyżej

Zabieg: implantacja dwóch zestawów elektrod Briggsa w prawy płat skroniowy, połączonych z umieszczonym pod skórą komputerem oraz plutonowym ogniwoem zasilającym.

Środki przedop.: 500 mg fenobarbitalu na godzinę

60 mg atropiny przed zabiegiem

Narkoza: lidokaina (1/1000) i miejscowo epinefryna.

Szacunkowa utrata krwi: 250 ml

Podane osocze: 200 ml płynu D5/W

Czas trwania operacji: 1 godzina 12 minut

Stan pacjenta po operacji: dobry.

Kończąc wpisywać notatkę, usłyszał, jak Janet Ross zwraca się do pielęgniarki:

— Proszę mu podać fenobarbital, gdy tylko się obudzi.

W jej głosie brzmiała wściekłość. Uniósł głowę.

— Czy coś się stało?

— Nie.

— Sprawiasz wrażenie rozwścieczonej.

— Masz ochotę się ze mną pokłócić?

— Nie, skądże...

— Po prostu chciałam się upewnić, że dostanie swoją dawkę fenobarbitalu. Wolę, żeby znajdował się pod działaniem silnych leków do czasu, aż go podłączymy.

Odwróciła się na pięcie i jak burza wypadła z sali. Morris spoglądał za nią, wreszcie przeniósł wzrok na Ellisa, który wciąż dyktował przez telefon, ale patrzył w jego stronę. Tamten wzruszył ramionami.

— Co ją ugryzło? — zapytała pielęgniarka.

— To pewnie efekt przemęczenia — odparł.

Włączył monitor stojący na półce nad głową Bena i czekał, aż się rozgrzeje, po czym ułożył próbnik na poduszce, obok zabandażowanego ramienia pacjenta.

Podczas operacji zaszyto pod skórą wszystkie przewody, ale ostateczne uruchomienie systemu miało nastąpić dopiero po pewnym czasie. Wcześniej trzeba było ustalić, która z czterdziestu elektrod najskuteczniej wyhamowuje nadchodzący atak epilepsji i tę na stałe podłączyć do wszczepionego komputera. Do tego celu miał służyć właśnie ten próbnik, którym wykonywano pomiary przez skórę. Ale ów proces regulacji zaplanowany był dopiero na następny dzień.

Tymczasem na monitorze pojawił się wykres aktywności mózgu Bensaona. Ekraniki nad łóżkiem rozbłysły jaskrawą zielenią, a białe punkty znaczyły na nich łamane linie EEG. Obraz był zupełnie prawidłowy dla fazy alfa, może nieco spowolnionej na skutek działania leków.

Benson otworzył nagle oczy i popatrzył na Morrisa.

— Jak się czujesz? — zapytał lekarz.

— Spać mi się chce. Zaraz zaczynamy?

— Już po wszystkim — odrzekł Morris.

Benson delikatnie skinął głową, jakby wcale go to nie zdziwiło, i zaraz zamknął oczy. W sali zjawił się technik z laboratorium radiologicznego i dokładnie sprawdził licznikiem Geigera, czy nie ma jakichś przecieków promieniotwórczych. Wszystko było w normie. Kiedy na koniec Morris poprawił znaczek ostrzegawczy na szyi Bensaona, zdumiona pielęgniarka uniosła go do oczu, przeczytała i zmarszczyła brwi.

Podszedł do nich Ellis.

— Chyba pora na śniadanie?

— Tak. Najwyższa pora na śniadanie.

Razem wyszli z sali.

McPhersona zawsze drażniło brzmienie własnego głosu, ostrego, lekko zachrypniętego. W dodatku miał kiepską dykcję. Dlatego skupiał uwagę na słowach, które pojawiały się w jego umyśle jak gdyby wydrukowane na kartkach papieru. Z ociąganiem wcisnął guzik mikrofonu uruchamiający przesuw taśmy w dyktafonie.

— Rzymska cyfra: trzy. Implikacje filozoficzne.

### *III. Implikacje filozoficzne.*

Urwał i rozejrzał się po swoim gabinecie. W rogu biurka stał sporych rozmiarów model ludzkiego mózgu. Półka na ścianie była zapchana specjalistycznymi czasopismami. Na ekranie monitora miał wewnątrz sali operacyjnej, odtwarzał bowiem z magnetowidu przebieg porannej operacji; wyłączył jednak głos i ciemne postacie poruszały się niczym duchy. Ellis wiercił właśnie otwór w czaszce Bensa. McPherson zapatrzył się na tę scenę i zaczął dyktować:

*Tego typu procedura stanowi pierwszy krok do nawiązania bezpośredniej więzi między ludzkim mózgiem a komputerem; więzi permanentnej. Oczywiście, można już teraz powiedzieć, że taka więź istnieje między umysłem człowieka a maszyną, z którą komunikuje się on za pośrednictwem klawiatury...*

Nie, to zbyt sztywne, pomyślał. Cofnął nieco taśmę i poprawił:

*Oczywiście, można już teraz powiedzieć, że człowiek siedzący przed klawiaturą komputera także nawiązuje kontakt z maszyną. Ale trudno to nazwać więzią bezpośrednią. Dlatego też należy traktować zastosowaną procedurę operacyjną w zupełnie innym wymiarze. Tylko jakim?*

To dobre pytanie, pomyślał. Jeszcze raz rzucił okiem na ekran monitora i mówił dalej:

*Można potraktować wszczepiony komputer jako rodzaj protezy. Tak jak człowiek po amputacji ręki korzysta z urządzenia mechanicznego, w jakimś stopniu zastępującego mu straconą rękę, tak samo pacjent z defektem mózgu może być postrzegany jako ten, który posługuje się urządzeniem elektronicznym korygującym jego wadę. To najwygodniejszy sposób myślenia o wykonanej operacji, stawia bowiem komputer na równi z perfekcyjnie dopracowanym drewnianym kikutem sztucznej nogi. Ale implikacje sięgają o wiele dalej.*

Urwał i znów popatrzył na ekran. Ktoś w pracowni rejestracji wideofonicznej musiał pomylić taśmy, gdyż miał teraz przed oczyma nie wewnątrz sali operacyjnej, ale zapis wywiadu psychiatrycznego z Bensonem przeprowadzonego przed zabiegiem. Pacjent był wyraźnie podniecony, nerwowo palił papierosa i szeroko gestykułował rękoma, odpowiadając na pytania.

Zdumiony McPherson włączył fonię odbiornika.

— ...dobrze wiem, co robią. Maszyny są wszędzie. Do tej pory służyły człowiekowi, ale zaczynają

się buntować. Powoli, niezauważalnie przejmują władzę.

Ellis wsunął głowę do gabinetu i uśmiechnął się na widok włączonego odbiornika.

— Przypominasz sobie, jaki był przedtem?

— Nie, próbuję się tylko skupić. — McPherson wskazał stojący na biurku dyktafon.

Ellis skinął głową, wycofał się i zamknął drzwi. Z telewizora płynęły słowa Bensaona:

— ...wiem, że jestem zdrajcą ludzkości, gdyż pomagam w konstruowaniu coraz inteligentniejszych maszyn. Tym się właśnie zajmuję, programowaniem sztucznego intelektu, lecz...

McPherson ponownie ściszył odbiornik tak, iż ledwie słyszeć było szmer nagranej rozmowy. Włączył dyktafon.

*Mówiąc o sprzęcie komputerowym, musimy wyraźnie rozróżnić jednostkę centralną i urządzenia peryferyjne. Chodzi o to, że główny komputer pozostaje jednostką centralną, nawet jeśli według ludzkich pojęć umieszcza się go w jakimś oddalonym miejscu, na przykład w piwnicy budynku. Wszystkie pozostałe elementy systemu, takie jak drukarki, monitory czy klawiatury, to jedynie urządzenia peryferyjne. Mogą one być rozmieszczane w dowolnych miejscach tego budynku, gdyż są tylko elementami z obrzeża całego systemu.*

Raz jeszcze spojrzął na monitor. Benson wydał mu się niezwykle podniecony, włączył więc głos.

— ...stają się coraz inteligentniejsze. Najpierw był silnik parowy, potem samochody, samoloty i cała reszta urządzeń mechanicznych. Wreszcie powstały komputery, wprowadzono sprzężenia zwrotne...

McPherson ściszył odbiornik.

*Mózg ludzki jest odpowiednikiem komputera centralnego, a usta, ręce czy nogi to niejako urządzenia peryferyjne, które służą do wykonywania instrukcji płynących impulsami z mózgu. Powszechnie ocenia się pracę mózgu na podstawie aktywności tychże urządzeń peryferyjnych. Zwracając uwagę na to, co mówi dana osoba i jak się zachowuje, możemy wnioskować o działaniu jej mózgu. To chyba oczywiste dla każdego.*

Popatrzył znów na widocznego na ekranie Bensaona. Ciekawe, co on by na to powiedział? — przemknęło mu przez myśl. Czy zgodziłby się z tym, czy nie? A zresztą, jakie to mogło mieć znaczenie?

*Z tego punktu widzenia operacja doprowadziła do powstania człowieka o dwóch mózgach zamiast jednego. Nadal funkcjonuje przecież mózg biologiczny, co prawda uszkodzony, ale obok niego pojawiła się sztuczna inteligencja, której zadaniem jest korygować wadę tego pierwszego. Zatem urządzenie elektroniczne ma przejąć kontrolę nad mózgiem biologicznym, a więc powstaje zupełnie nowa sytuacja. Biologiczny mózg pacjenta staje się bowiem terminalem peryferyjnym — jedynym terminalem peryferyjnym — podporządkowanym komputerowi. Przynajmniej w pewnym*

zakresie ów sztuczny mózg będzie miał całkowitą kontrolę nad człowiekiem. Dlatego też można stwierdzić, że biologiczny mózg pacjenta, a co za tym idzie całe ciało, zostanie zepchnięte do roli terminalu. Stworzyliśmy więc człowieka, który stanowi jeden wielki, bardzo skomplikowany terminal komputerowy; człowieka będącego wyłącznie urządzeniem wejścia i wyjścia dla systemu komputerowego — w dodatku urządzeniem tak biernym, jak bierny jest monitor telewizyjny wobec informacji wyświetlanych na ekranie.

To ostatnie zdanie jest chyba trochę za mocne, pomyślał, po czym jeszcze raz uruchomił dyktafon i rzekł:

— Harriet, przepisz ten ostatni akapit, ale daj mi go jeszcze do przeczytania, dobrze? A teraz dalej. Rzymska cyfra: cztery. Podsumowanie i wnioski.

#### *IV. Podsumowanie i wnioski.*

Wyłączył dyktafon i nastawił głośniej telewizor. Benson mówił:

— ...nienawidzę ich, zwłaszcza prostytutek. Brzydzą się mechanikami lotniczymi, tancerzami, tłumaczami, ludźmi z obsługi stacji benzynowych... wszystkimi, którzy wykonują pracę maszyn albo służą maszynom. Jak prostytutki. Nienawidzę ich wszystkich.

Mówiąc to, Benson wymachiwał papierosem, jakby zadawał ciosy nożem.



— I jak się czujesz? — zapytał doktor Ramos.

— Jestem zła — odparła Janet Ross. — Wściekła jak cholera. Chodzi o to, że ta pielęgniarka stała tam i gapiła się, jakby nie rozumiała, o co chodzi, a przecież musiała rozumieć.

— I dlatego jesteś wściekła na nią? — zdumiony Ramos zawiesił głos.

— Nie. Na operację, na Bersona... Postawili na swoim i zrobili to, chociaż mówiłam im od początku, od samego cholernego początku, że to kiepski pomysł. Lecz Ellis, Morris i McPherson chcieli dokonać implantacji za wszelką cenę, jak zaślepieni. Zwłaszcza Morris. Kiedy go ujrzałam w sali rekonwalescencyjnej, jak kręcił się koło Bersona, całego obandażowanego i bladego jak ściana, trafił mnie szlag.

— Niby dlaczego?

— Właśnie dlatego, że Benson był taki blady, że... — urwała, jakby szukała właściwej odpowiedzi, ale nic sensownego nie przychodziło jej do głowy.

— Sądziłem, że operacja zakończyła się pomyślnie — mruknął Ramos. — Poza tym większość ludzi źle wygląda po operacji. Nie rozumiem więc, o co się wściekasz.

Janet milczała przez dłuższą chwilę, wreszcie odparła:

— Sama nie wiem.

Tylko słyszała, jak Ramos nerwowo poruszył się na krześle. Nie mogła go widzieć, gdyż spoczywała na leżance, a on siedział gdzieś za nią. W milczeniu wpatrywała się w sufit, rozmyślając nad tym, co może jeszcze powiedzieć. Ale w głowie miała mętlik, nie umiała zebrać myśli. Wreszcie odezwał się Ramos:

— Mam wrażenie, że przykładasz zbyt wielką wagę do obecności tej pielęgniarki.

— Naprawdę?

— Sama o tym wspomniałaś.

— Chyba zrobiłam to nieświadomie.

— Powiedziałaś, że pielęgniarka była przy tym i musiała wiedzieć, co się dzieje... A jeśli chodzi o ścisłość, to co się działo?

— Wpadłam w szal.

— Ale sama nie wiesz, z jakiego powodu?

— Właśnie — mruknęła. — To wszystko przez Morrisa, on jest tak zarozumiały...

— Zarozumiały — powtórzył cicho doktor Ramos.

— Pewny siebie aż do przesady.

— Przed chwilą mówiłaś, że zarozumiały.

— Zaraz, nie miałam na myśli nic konkretnego; użyłam pierwszego lepszego określenia...

Zamilkła. Znowu wpadała we wściekłość, doskonale było to wyczuwalne w jej tonie.

— Teraz też się wściekasz — oznajmił Ramos.

— Owszem, nawet bardzo.

— Dlaczego?

Milczała przez chwilę.

— Bo nikt nie chce mnie słuchać.

— Kto nie chce cię słuchać?

— Żaden z nich, ani McPherson, ani Ellis, ani Morris. Nikt nie chce mnie słuchać.

— Czy rozmawiałaś z doktorem Ellisem albo doktorem McPhersonem, kiedy byłaś wściekła?

— Nie.

— Zatem skierowałaś całą swą złość na doktora Morrisa?

— Tak.

Ramos wyraźnie do czegoś zmierzał, chociaż Janet nie wyczuwała jeszcze, do czego. Zwykle na tym etapie rozmowy bez trudu mogła określić, jak potoczy się ona dalej. Ale tym razem...

— Ile lat ma doktor Morris?

— Nie wiem. Jest mniej więcej w moim wieku, trzydzieści, trzydzieści jeden... Coś koło tego.

— Jest w twoim wieku?

Zaczynało ją denerwować to ciągłe powtarzanie.

— Tak, do jasnej cholery! Jest mniej więcej w moim wieku!

— I do tego jest chirurgiem...

— Owszem.

— Czy to znaczy, że jest ci łatwiej wyładować wściekłość na kimś, kogo uważasz za rywala?

— Nigdy nie rozważałam tego w podobnych kategoriach.

— Twój ojciec także był chirurgiem, ale jego nie traktowałeś jak rywala.

— Nie musisz mi podtykać pod nos swoich rysunków.

— Nadal jesteś wściekła.

Janet westchnęła.

— Zmieńmy lepiej temat.

— W porządku — odparł Ramos ze zwykłą dla siebie swobodą, którą Ross czasami uwielbiała, a czasami wprost jej nienawidziła.

Morris nie znosił wstępnych wywiadów, gdyż było to nudne zajęcie dla psychologów kliniki, a pochłaniało mnóstwo czasu. Najświeższe statystyki wykazywały, że tylko jeden na czterdziestu pacjentów oddziału neuropsychiatrii wymagał leczenia szpitalnego, a zaledwie jeden na osiemdziesięciu trzech cierpiał na jakieś organiczne zaburzenia pracy mózgu wpływające na jego zachowanie. Oznaczało to, że niemal wszystkie wywiady wstępne są jedynie stratą czasu.

Odnosiło się to zwłaszcza do pacjentów przyjmowanych „z ulicy”. Jakiś rok temu, ze względów czysto politycznych, McPherson zdecydował, że każdy zgłaszający się na oddział neuropsychiatrii zostanie wysłuchany. Oczywiście, większość chorych trafiała tu ze skierowaniami od specjalistów, ale szef twierdził, że dobra opinia placówki zależy także od tego, jak traktuje się w niej ludzi przychodzących z własnej woli.

McPherson uważał również, że każdy z lekarzy zespołu powinien od czasu do czasu prowadzić wywiady wstępne. Dlatego Morris dwa dni w miesiącu musiał spędzać w niewielkim pokoiku przesłuchań wyposażonym w półprzepuszczalne lustro. Tego dnia wypadał właśnie jego dyżur, a on wyjątkowo nie miał na to ochoty, zwłaszcza że był jeszcze pod wrażeniem porannej operacji i jakoś nie umiał się przestawić na rutynowe zajęcia.

Toteż kiedy do środka wszedł kolejny pacjent, Morris skrzywił się z niechęcią. Wstał jednak zza biurka na powitanie młodego, dwudziestokilkuletniego mężczyzny z długimi włosami, ubranego w dżinsy i koszulkę polo.

— Jestem doktor Morris.

— Craig Beckerman.

Tamten delikatnie, jakby z pewną obawą uściśnął mu dłoń.

— Proszę usiąść. — Morris wskazał krzesło po drugiej stronie biurka, stojące przodem do półprzepuszczalnego lustra. — Co pana do nas sprowadza?

— Ja... przyszedłem z ciekawości. Wiele czytałem o waszym oddziale, w różnych czasopismach. Przeprowadzacie operacje mózgu...

— To prawda.

— No więc... mnie to ciekawi.

— W jakim sensie?

— W tym artykule... Czy mogę tu zapalić?

— Oczywiście.

Morris przesunął popielniczkę w stronę Beckermana, który wyjął paczkę Cameli, postukał papierosem o blat biurka i zapalił.

— Więc co w tym artykule...?

— No właśnie. Pisano tam, że wszczepiacie elektrody do mózgu. Czy to prawda?

— Owszem, czasami wykonujemy tego typu zabiegi.

Beckerman pokiwał głową i zaciągnął się papierosem.

— A czy to prawda, że możecie tak umieścić elektrody, by móc wywoływać przyjemność? Odczucie rozkoszy?

— Tak. — Morris starał się zachować spokój.

— Naprawdę?

— Tak, to prawda.

Morris energicznie potrząsnął piórem, chcąc pokazać, że skończył się atrament. Odsunął szufladę, jakby szukał czegoś innego do pisania, wsunął rękę do środka i wcisnął ukryty tam guzik. W tej samej chwili zadzwonił telefon.

— Doktor Morris.

— Czy pan wzywał, doktorze? — zapytała sekretarka oddziału.

— Owszem. Proszę na razie nie łączyć do mnie żadnych telefonów i przekazywać wszelkie wiadomości do sekcji rozwoju.

— Przyjęłam.

— Dziękuję.

Morris odłożył słuchawkę. Był to umówiony znak, na który w sąsiednim pokoiku, po drugiej stronie półprzepuszczalnego lustra, powinien zasiąść ktoś z komórki planowania i rozwoju.

— Przepraszam. Zatem mówił pan...

— O elektrodach w mózgu.

— Ach tak. Wykonujemy takie operacje, panie Beckerman, lecz tylko w wyjątkowych okolicznościach. Są to jeszcze prace eksperymentalne.

— Nie szkodzi — odparł tamten, wydmuchując kłęb dymu. — To mi pasuje.

— Jeśli chce pan uzyskać więcej informacji, możemy dostarczyć panu odbitki różnych fachowych

artykułów, wyjaśniających charakter naszej działalności.

Beckerman z uśmiechem pokręcił głową.

— Nie potrzebuję więcej wiadomości. Chcę się poddać operacji, na ochotnika.

Morris zrobił zdumioną minę. Przez chwilę jakby się zastanawiał, wreszcie odparł:

— Rozumiem.

— Wie pan — rzekł Beckerman — w tym artykule napisano, że jeden wstrząs elektryczny odczuwa się jak kilka orgazmów naraz. To cudowna perspektywa.

— I chciałby się pan poddać takiej operacji?

— Tak. — Beckerman energicznie pokiwał głową. — Zgadza się.

— Po co?

— Żartuje pan? Chyba każdy by tego pragnął... móc odczuwać taką przyjemność.

— Możliwe — mruknął Morris. — Ale pan jest pierwszym, który zgłasza się na ochotnika.

— I co z tego? Ta operacja jest tak bardzo kosztowna, czy co?

— Nie. Po prostu nie wykonujemy tego typu zabiegów z przyczyn tak trywialnych.

— Ach tak. Więc od czego jesteście, do diabła?

Beckerman podniósł się szybko i wyszedł z gabinetu, kręcąc głową.

Trzej ludzie z sekcji rozwoju siedzieli jak oniemiała, gapiąc się na widoczny za szybą pusty gabinet jeszcze długo po wyjściu Beckermana.

— Zafascynowani? — spytał Morris.

Tamci milczeli, wreszcie jeden z nich odchrząknął i mruknął:

— Za słabo powiedziane.

Morris potrafił sobie wyobrazić, o czym teraz myślą. Przez lata zajmowali się wyznaczaniem nowych kierunków badań, szukali nowatorskich rozwiązań technicznych, określali obszary zastosowań, zarówno masowych, jak i z pogranicza głównego nurtu prac. Nauczyli się myśleć w kategoriach przyszłości, a tu przyszło im się zetknąć z teraźniejszością.

— Ten facet to elektroman — rzekł drugi i westchnął głośno.

Pojęcie elektromanii cieszyło się coraz większym zainteresowaniem nawet w kręgach naukowców.

Wizerunek człowieka uzależnionego od elektryczności — uzależnionego w takim samym stopniu, jak dotychczas lekomani czy narkomani — wywoływał wiele różnorodnych spekulacji. Teraz mieli okazję zetknąć się z mężczyzną, który z pewnością był potencjalnym elektromanem.

— Tylko elektryczność zapewni ci największego kopniaka spośród wszystkich możliwych — oznajmił pierwszy z nich i zaśmiał się gardłowo.

Morrisa zaciekawilo, co by na to powiedział McPherson. Pewnie rzuciłby jakąś filozoficzną uwagę, gdyż ostatnio miał aż przesadne skłonności do filozofowania.

Uzależnienie od elektryczności zostało przepowiedziane wkrótce po dokonaniu przez Jamesa Oldsa w latach pięćdziesiątych wielkiego odkrycia. Stwierdził on, że podrażnienie pewnych obszarów mózgu, które później nazwał „rzekami nagrody”, wywołuje bardzo intensywne, przyjemne doznania. Po umieszczeniu elektrod w takim rejonie mózgu szczura, zwierzę wciskało nosem przycisk wywołujący falę rozkoszy nawet pięć tysięcy razy na godzinę, nie zwracało uwagi ani na pożywienie, ani na wodę i przestawało się pobudzać dopiero wtedy, gdy padało z wycieńczenia.

Ten znaczący eksperyment został powtórzony na gupikach, świnkach morskich, delfinach, kotach i kozach. Zyskano pewność, że ów fenomen dotyczy wszystkich wyżej rozwiniętych organizmów, zatem podobne ośrodki rozkoszy musiały istnieć także w mózgu człowieka.

W chwili obecnej odpowiednie urządzenia techniczne były jeszcze stosunkowo drogie. Ale z łatwością można było sobie wyobrazić, że przedsiębiorcze firmy japońskie zdolne są w każdej chwili podjąć produkcję elektrod w cenie dwóch czy trzech dolarów za sztukę i zacząć je masowo eksportować.

Podobnie rzecz się miała z kwestią legalizacji zabiegów operacyjnych na mózgu. Jeszcze niedawno w Stanach Zjednoczonych średnio milion kobiet rocznie wykonywało nielegalnie aborcję, a przecież wszczepienie elektrod stanowiło tylko nieco bardziej skomplikowany zabieg. Mógł go wykonać chociażby dobrze wyszkolony technik chirurgiczny, a takich nie brakowało. Znowu bez trudu można było sobie wyobrazić wyrastające jak grzyby po deszczu kliniki w Meksyku czy na Bahamach.

Na pewno znaleźliby się też chirurdzy gotowi przeprowadzać podobne operacje, a jeden wprawny lekarz mający zgrany zespół mógł wykonać dziesięć lub nawet piętnaście implantacji dziennie. Gdyby za każdy zabieg płacono po tysiąc dolarów, znalazłoby się wielu chciwych, pozbawionych skrupułów, doświadczonych chirurgów. Sto tysięcy dolarów tygodniowo, w gotówce, to niezła pokusa, wystarczająca, by złamać prawo — o ile wprowadzono by zakaz wykonywania takich zabiegów.

Nic przecież na to nie wskazywało. Rok wcześniej w szpitalu zorganizowano konferencję pod tytułem: „Techniki biomedyczne w aspekcie prawa”. Między innymi dyskutowano o problemie elektromanii, lecz prawnicy nie chcieli się na ten temat wypowiadać. Argumentowali, że zupełnie nie mają tu zastosowania istniejące już przepisy dotyczące narkomanii. Uzależnienie od środków psychotropowych mogło bowiem powstać bez wiedzy poszkodowanego, podczas gdy każdy elektroman musiałby w pełni świadomie znaleźć ośrodek, gdzie dokonuje się implantacji. Większość

prawników wyrażała przy tym opinię, że chyba nikt normalny nie chciałby się poddać dobrowolnie operacji, zatem konieczność regulacji prawnych jest raczej mało prawdopodobna. Ale teraz Beckerman stał się żywym dowodem, że jednak nie należy lekceważyć tej sprawy.

— Niech mnie kule biją — odezwał się znowu jeden z pracowników sekcji rozwoju.

Morris pomyślał, że to stwierdzenie jest dosyć adekwatne do sytuacji. On sam doznawał takiego odczucia, z którym rzadko musiał się zmagać. Miał bowiem wrażenie, że sprawy nabierają zbyt wielkiego tempa, że nie przywiązuje się do nich odpowiedniej wagi, przez co któregoś dnia, zupełnie bez ostrzeżenia, mogą się całkowicie wymknąć spod kontroli.



O szóstej po południu doktor Roger McPherson, szef oddziału badawczego neuropsychiatrii, zjawił się na szóstym piętrze, by sprawdzić stan zdrowia swego pacjenta. Tak bowiem traktował Bersona: jako swego pacjenta, niemal jak swoją własność. Owo przekonanie miało dość uzasadnione podstawy, gdyż bez McPhersona nie byłoby tego oddziału, prac eksperymentalnych, a co za tym idzie również Bersona. Tak właśnie rozumował.

W pokoju siedemset dziesięć, zalewanym czerwonymi promieniami zachodzącego słońca, panowała cisza. Pacjent wydawał się pogrążony we śnie, lecz gdy tylko lekarz zamknął drzwi, tamten natychmiast otworzył oczy.

— Jak się pan czuje? — zapytał McPherson, podchodząc bliżej łóżka.

Benson uśmiechnął się.

— Wszyscy pytają o to samo.

McPherson także się uśmiechnął.

— To chyba zrozumiałe.

— Czuję się zmęczony, nic poza tym. Bardzo zmęczony... Czasami odnoszę wrażenie, że jestem cykającą bombą zegarową, a wy wszyscy bez przerwy się zastanawiacie, kiedy eksploduję.

— Tak pan to odbiera? — rzekł lekarz, odruchowo poprawiając kołdrę okrywającą Bersona.

Spoglądał jednak na wykreślane przez aparat monitorujący krzywe. Nie zauważył niczego szczególnego.

— Cyk, cyk — mruknął Benson, ponownie zamykając oczy. — Cyk, cyk.

McPherson zmarszczył brwi. Zdążył się już oswoić z mechaniczno-elektrycznymi metaforami Bersona, pamiętał zresztą, że pacjent jest owładnięty ideą maszyn przejmujących władzę nad ludźmi. Sądził jednak, że podobne zdania tuż po operacji...

— Czuje pan jakiś ból?

— Nie. Trochę mnie szczypie za uchem, jakbym się uderzył w to miejsce. Nic poza tym.

McPherson domyślał się, że chodzi o ból kości, nadwerężonej przez wiercenie otworów.

— Jak po upadku?

— W ogóle jestem upadłym człowiekiem. Podałem się już.

— Czemu?

— Procesowi przekształcania mnie w maszynę. — Otworzył nagle oczy i uśmiechnął się szeroko.

— Lub w bombę zegarową.

— Czuje pan jakiś dziwny zapach? Może coś innego, niezwykłego?

Zerknął szybko na monitor EEG umieszczony nad łóżkiem, ale rytm zmian krzywych rysowanych na ekranie wskazywał na normalną fazę alfa; nie dostrzegł oznak zbliżającego się ataku agresji.

— Nie, nic podobnego.

— Niemniej czuje się pan tak, jakby miał zaraz eksplodować?

Pomyślał jednocześnie, że tę rozmowę powinna prowadzić Janet Ross.

— Mniej więcej — odparł Benson. — W nadchodzącej wojnie wszyscy możemy eksplodować.

— Co pan przez to rozumie?

— Wygląda pan na strapionego.

— Jestem co najwyżej zmieszany. Jak mam rozumieć tę wzmiankę o nadchodzącej wojnie?

— Niedługo dojdzie do bezpośrednich starć między ludźmi i maszynami. Mózg człowieka jest przestarzały, wie pan?

To było coś nowego, McPherson do tej pory nie słyszał od Bensa podobnych uwag. Spoglądał na leżącego w łóżku mężczyznę. Gruba warstwa bandażu na ramieniu i głowie potęgowała wrażenie, że górna część ciała Bensa jest nieproporcjonalnie wielka, jakby rozdęta.

— Właśnie. Mózg ludzki osiągnął granice swoich możliwości, jest wyeksploatowany, dlatego zaczął wytwarzać nowe pokolenie istot myślących. To one... Dlaczego czuję się tak strasznie zmęczony? — Ponownie zamknął oczy.

— Jest pan wycieńczony po operacji.

— A miał to być drobny zabieg. — Uśmiechnął się, nie otwierając oczu.

W chwilę później zaczął cicho chrapać.

McPherson patrzył na niego jeszcze przez chwilę, wreszcie odwrócił się w stronę okna i spojrzał na słońce zapadające w wody Pacyfiku. Pomyślał, że Benson dostał jeden z najładniejszych pokoi; między wieżowcami Santa Monica widać było nawet skrawek oceanu. Stał jeszcze przez kilka minut, ale tamten się nie obudził. W końcu wyszedł po cichu i zajrzał do dyżurki pielęgniarek, żeby dołączyć do karty chorobowej swoją notatkę.

*Pacjent przytomny, świadomy, orientuje się na wszystkie trzy sposoby.*

Przerwał na chwilę, uświadomiwszy sobie, że na dobrą sprawę nie wie, czy Benson rozpoznaje osoby i miejsce, w którym się znajduje, oraz czy ma poczucie czasu. Nie sprawdzał tego dokładnie. Ale na jego pytania odpowiadał całkiem do rzeczy, zatem McPherson postanowił uznać to za pewnik.

*Jego rozumowanie jest spójne, wypowiedzi rzeczowe, wyraźnie zaznacza się jednak obserwowana przed operacją psychoza dotycząca maszyn. Jest za wcześnie, aby wyciągać jakieś wnioski, lecz wszystko wskazuje na to, że wcześniejsze podejrzenia się sprawdziły i zabieg w żaden sposób nie wpłynął na stan umysłowy pacjenta w okresach między atakami epilepsji.*

Podpisał: Roger A. McPherson, lek. med.

Przez chwilę patrzył na notatkę, po czym zamknął teczkę i odłożył ją na półkę. Był zadowolony, w tym krótkim, rzeczowym tekście nie znalazły się żadne uwagi osobiste. Kartę należało traktować jak dokument urzędowy, który może być nawet przedstawiony jako dowód w sądzie. Co prawda nie spodziewał się, byteczka Bensona miała być kiedykolwiek prezentowana w sądzie, ale wyznawał zasadę, że nigdy za wiele ostrożności. Poza tym przywiązywał sporą wagę do pozorów, gdyż uważał, że jego stanowisko tego wymaga.

Szef każdej większej placówki naukowo-badawczej pełni w jakimś sensie funkcję polityczną. Można temu zaprzeczać, można się z tym nie godzić, ale prawda jest właśnie taka.

Trzeba ustawicznie dbać o to, by ludzie pracujący w zespole czuli się jak w rodzinie. I podobnie jak w polityce — im więcej indywidualności, tym trudniej utrzymać wszystkich w ryzach.

Szef placówki musi ponadto zabiegać o źródła finansowania prac, a to także element gry politycznej, wymagający znacznych umiejętności, jeśli sprawa dotyczy tak delikatnej dziedziny, jak neuropsychiatria. McPherson już dawno temu poznał magiczne działanie peroksydazy chrzanowej. Zasada jej działania była niezwykle prosta: jeśli się występowało o dotacje rządowe, w uzasadnieniu należało wyszczególnić, że pieniądze zostaną spożytkowane na wyodrębnienie enzymu peroksydazy chrzanowej, która pozwoli uczynić znaczący krok w badaniach nad leczeniem raka. W takim wypadku bez trudu otrzymywało się, powiedzmy, sześćdziesiąt tysięcy dolarów. Jeśli natomiast wspomniało się o pracach nad kontrolą umysłów, trudno było wydebić choćby sześćdziesiąt centów.

Obrzucił spojrzeniem szereg teczek na półce, opatrzonych nie znanymi mu nazwiskami, pośród których napis na grzbiecie „H.F. Benson / 710” od razu się wyróżniał. Przyszło mu do głowy, że przynajmniej w jednym Benson ma rację — w porównaniu siebie do bomby zegarowej. Można się było spodziewać, że wiele osób okaże niechęć człowiekowi, który został poddany „kontrolni mózgu”. Regulację pracy serca poprzez zastosowanie elektronicznego stymulatora uważano za cudowne rozwiązanie, regulację pracy nerek przez dawkowanie leków traktowano jak dobrodziejstwo, ale regulacja pracy mózgu kojarzyła się z czymś złym, wiodącym do zguby. Nikogo nie obchodziło, że

praca neurochirurgów jest w pełni analogiczna do pracy pozostałych lekarzy, zajmujących się innymi narządami. Nawet zastosowane urządzenie nie było czymś niezwykłym, gdyż za jego prototyp należało uważać powszechnie znany elektroniczny stymulator pracy serca.

Ale uprzedzenia pozostawały wciąż żywe, dlatego Benson słusznie porównał się do bomby zegarowej.

McPherson westchnął, ponownie zdjął teczkę z półki i zaczął przerzucać kartki z zaleceniami lekarzy. Znalazł notatki Ellisa i Morrisa, przeczytał je, po czym dopisał:

*Jutro rano, po przyłączeniu, zacząć podawać torazynę.*

Spojrzał krytycznie i stwierdził, że pielęgniarki mogą nie wiedzieć, o jakie przyłączenie chodzi. Skreślił i poprawił:

*Jutro od południa zacząć podawać torazynę.*

Wychodząc ze szpitala, czuł się znacznie spokojniejszy, mając świadomość, że pacjent pozostanie pod działaniem leków. Pomyślał, że skoro nie ma szans na rozbrojenie tej bomby zegarowej, to warto ją przynajmniej wrzucić do przerębli.

Późnym wieczorem w pokoju TELEKOMP-u Gerhard wpatrywał się w ekran monitora. Wpisał jeszcze kilka komend, a następnie podszedł do drukarki i zaczął przerzucać strony długiej wstęgi perforowanego papieru w biało-zielone pasy. Przebiegał wzrokiem kolejne instrukcje wydrukowanego programu, szukając błędu.

Wiedział doskonale, że sam komputer nie może popełnić błędu. Pracował z nimi — z różnymi modelami i w różnych instytucjach — już od dziesięciu lat i w pełni zdawał sobie z tego sprawę. Jeżeli pojawiały się jakiegokolwiek błędy, musiały one tkwić w programie, a nie w samym urządzeniu. Czasami trudno się było z tym pogodzić, jakimś sposobem ta prawda kłóciła się z życiem codziennym, w którym ustawicznie coś nawalało — strzelały bezpieczniki, przepalały się tranzystory, kuchenki nie chciały grzać, a samochody zapalać. Człowiek zdążył przywyknąć, że wszystkie urządzenia mają prawo do iluś tam usterek.

Ale komputery wyróżniały się pośród nich i praca z nimi mogła przynieść sporo upokorzeń. Należało uznać za pewnik, że nigdy nie popełniają błędów. Nawet jeśli znalezienie jakiejś pomyłki zajmowało długie tygodnie, jeśli program był sprawdzany kilkadziesiąt razy przez co najmniej kilka osób, jeśli cały zespół dochodził powoli do wniosku, że tym razem to już na pewno musi być błąd w obwodach elektronicznych maszyny — w końcu zawsze się okazywało, że jest to jednak taka czy inna pomyłka programisty. Od tej reguły nie było wyjątków.

Do pokoju wszedł Richards. Zdjął lekką, sportową kurtkę i nalał sobie kawy do kubeczka.

— Jak ci idzie? — zapytał.

Gerhard pokręcił głową.

— Znow mam kłopoty z „Jerzym”.

— Znowu? Cholera. — Richards podszedł bliżej. — A co z „Martą”?

— Chyba w porządku. Po raz kolejny nawala „Jerzy”.

— Który?

— To „Święty Jerzy”, najgorszy z nich wszystkich.

Richards upił nieco kawy i usiadł przed klawiaturą.

— Mogę go uruchomić?

— Jasne.

Richards wpisał kilka poleceń; najpierw wczytał program zwany „Świętym Jerzym”, a potem drugi, o nazwie „Marta”, po czym uruchomił je tak, by nastąpiła interakcja.

Oba te programy nie były dziełem Gerharda i Richardsa, zostały opracowane w innych ośrodkach uniwersyteckich, a tu jedynie dopasowywano je do wymogów neuropsychiatrii. Nie uległa zmianie podstawowa koncepcja — stworzenie takiego programu komputerowego, dzięki któremu maszyna mogłaby okazywać różne stany emocjonalne, tak jak człowiek. Może właśnie dlatego od początku nadawano im ludzkie imiona: w Bostonie działała „Eliza”, w Anglii natomiast „Aldous”.

„Jerzy” i „Marta” stanowiły w zasadzie dwie, niewiele różniące się między sobą wersje tego samego programu. Jako pierwszy powstał „Jerzy”, który potrafił dość rzeczowo, ale beznamiętnie odpowiadać na pytania człowieka. Później stworzono złośliwą „Martę” — ta nie lubiła niczego. Dla przeciwwagi udoskonalono „Jerzego”, nadając mu elementy charakteru serdecznego, kochającego mężczyzny i nazwano go „Świętym Jerzym”.

Oba programy mogły działać na trzech różnych poziomach emocjonalnych — pod wpływem miłości, strachu lub złości. Na każdym z tych poziomów możliwe były trzy podstawowe reakcje: akceptacja, odrzucenie i agresja. Rzecz jasna, dotyczyło to wyłącznie pojęć abstrakcyjnych, które w bibliotekach programów oznaczano liczbami. Kiedy całkowicie obojętnemu „Jerzemu” zaprogramowano, że ma okazywać niechęć do liczby 751, okazało się, że nie lubi także kilku liczb podobnych, takich jak 743 lub 772. Z kolei polubił inne liczby, na przykład 404, 133 czy 918. Jeżeli wprowadziło się je z klawiatury, „Jerzy” drukował inne liczby oznaczające miłość i akceptację. W odpowiedzi na 707 natychmiast się wycofywał, natomiast 750 powodowało, że wpadał w złość i robił się napastliwy.

Programiści neuropsychiatrii przez dłuższy czas testowali oba programy, wreszcie tak je zmodyfikowali, by móc prowadzić „normalne” rozmowy z komputerem. Odpowiednim liczbom w bibliotece przypisano różne zdania. Dopiero teraz stały się możliwe pouczające, a niejednokrotnie bardzo zabawne dialogi. W końcu dodano program interakcyjny, umożliwiający „rozmowę” między dwoma programami, który nazwano „Zabawą Gwiazdkową”, gdyż polegała ona głównie na dawaniu sobie prezentów — te zaś, tak jak w pierwotnej wersji liczby, wiązały się ze ściśle określonymi stanami emocjonalnymi.

Stwierdzono doświadczalnie, że spokojny „Jerzy” z reguły wygrywał utarczki słowne ze złośliwą „Martą”, która wcześniej czy później wycofywała się z dalszej interakcji.

Ale „Święty Jerzy” miał na nią zupełnie odmienny wpływ. Jego przepelniona miłością akceptacja zwykle doprowadzała ją do wściekłości. Tak się rzeczy miały, kiedy wszystko przebiegało normalnie.

Richards zapatrzył się na pierwsze zdania, które zabłyśły na ekranie.

WITAJ JESTEM ŚWIĘTY JERZY

CZEŚĆ

JAK SIĘ NAZYWASZ?

MARTA.

NIEWIELE MÓWISZ, MARTA.

NIE

ALE CIĘ LUBIĘ.

A JA CIĘ NIE LUBIĘ.

ROZUMIEM. CZY MOGĘ CI POMOC?

— Zwróciłeś uwagę, że nie zawsze drukuje znaki interpunkcyjne? — odezwał się Richards. — Od kiedy to się zaczęło?

— To jeszcze nic — mruknął Gerhard. — Uważaj dalej.

POMOC?

TAK, CHCIAŁBYM CI POMOC.

DAM CI KOTA.

Richards się skrzywił. Kot należał do tej grupy podarunków, których zgodnie z programem ani „Jerzy”, ani „Marta” nie znosili. Podarowanie „Jerzemu” kota było zatem przejawem skrajnej wrogości.

DZIEKUJĘ

DAM CI NASTĘPNEGO KOTA.

DZIEKUJĘ JESTEŚ BARDZO UPRZEJMA.

DAM CI NASTĘPNEGO KOTA.

NIE CHCĘ DZIEKUJĘ.

NIE LUBISZ KOTÓW?

LUBIĘ ALE MAM ICH DOŚĆ.

DAM CI GORYŁA.

— To naprawdę wstrętne — rzekł Richards. — Wszystkie interakcje wyglądają tak samo?

— Mniej więcej.

— Aż do tego stopnia?

— Mniej więcej.

Obaj zdążyli już przywyknąć, że przebiegu kolejnej interakcji dwóch programów nie da się w pełni przewidzieć. Statystycznie były one do siebie mniej czy bardziej zbliżone, ale potrafiły się dość znacznie różnić szczegółami. W pewnym sensie przypominało to grę w szachy z komputerem — maszyna z reguły wygrywała, ale za każdym razem partia przebiegała nieco inaczej, gdyż zależało to przede wszystkim od kolejnych posunięć człowieka.

NIE CHCĘ GORYŁA.

NIE LUBISZ GORYLI?

NIE DZIĘKUJĘ.

JESTEŚ ZA BARDZO GRZECZNY.

PRZEPRASZAM JEŚLI CIĘ TYM OBRAZIŁEM.

ZA DUŻO MÓWISZ.

PRZEPRASZAM.

DAM CI BAKŁAŻANA.

Richards patrzył z rosnącym zainteresowaniem. „Święty Jerzy” nie miał przypisanych żadnych emocji związanych z bakłażanem, nie lubił za to ogórków i bananów.

NIE DZIĘKUJĘ.

NIE LUBISZ BAKŁAŻANÓW?

NIE ZA BARDZO.

DAM CI NASTĘPNEGO.

NIE DZIĘKUJĘ.

CHCĘ, ŻEBYŚ GO PRZYJĄŁ.

NIE DZIĘKUJĘ.

NO JUŻ. BIERZ GO.

NIE DZIĘKUJĘ.



NALEGAM.

NIE DZIEKUJĘ.

— Co się stało „Świętemu Jerzemu”? — zapytał Richards. — Bez przerwy odpowiada tak samo.

— To mnie właśnie zaniepokoiło.

— Myślisz, że program się w którymś miejscu zapętla?

— Właśnie tego szukałem, zanim przyszedłeś.

NALEGAM ŻEBYŚ PRZYJAŁ ODE MNIE OGÓRKA.

ODMAWIAM.

— Jerzy! — machinalnie wykrzyknął Richards.

DAM CI BANANA.

NIE.

— On się poddaje — oznajmił Richards. — To już nie ten sam „Święty” ...

DAM CI BANANA I OGÓRKA.

NIE DZIEKUJĘ.

NALEGAM.

IDŹ DO DIABŁA ZABIJĘ CIĘ.....

.....

.....

Ekran zapełnił się samymi kropkami.

— Co to może oznaczać? Odpowiedź nie nadającą się do wyświetlenia?

— Nie mam pojęcia. Nigdy czegoś takiego nie widziałem.

— Ile razy do dzisiaj był uruchamiany ten program? — zapytał Richards.

— Sto dziesięć w interakcji z „Martą”.

— Może to efekt samonauczania?

— Wątpię.

— Niech to cholera weźmie. Zdaje się, że nasz święty całkiem traci cierpliwość. — Uśmiechnął się. — Trzeba będzie to dokładnie opisać.

Gerhard pokiwał głową i znów pochylił się nad wydrukiem. Teoretycznie nie powinno ich to specjalnie dziwić, zarówno „Jerzy”, jak i „Marta” były programami zawierającymi elementy samonauczania. Tak jak program do gry w szachy, który każdą następną partię rozgrywał lepiej, te także powinny „zbierać doświadczenia” i uczyć się różnorodnych reakcji. Ale widocznie po stu dziesięciu kłótniach z „Martą”, „Jerzy” przestał być w końcu „Świętym”, jak gdyby się nauczył, że w kontaktach ze złośliwą babą nie można być świętym, nawet jeżeli miało się zaprogramowaną dobroć i uległość.

— Chyba wiem, co czujesz — mruknął Richards i wyłączył komputer.

Dołączył do Gerharda i wspólnie zaczęli szukać błędu w programie, który umożliwił dokonanie się takiej przemiany.

**Czwartek,**

**11 marca 1971:**

Przyłączenie

Janet Ross zasiadła w pustym pokoju i spojrzała na ścienny zegar wskazujący dziewiątą. Obrzuciła wzrokiem stojące pośrodku biurko, na którym nie było niczego oprócz wazonika z kwiatami i otwartego notesu, a także ustawione na wprost niego krzesło.

— Wszystko w porządku? — zapytała głośno.

Rozległ się głuchy trzask i z głośnika umieszczonego w suficie popłynął głos Gerharda.

— Potrzebujemy jeszcze trochę czasu na regulację poziomu głośności. Oświetlenie jest bardzo dobre. Czy możesz porozmawiać z nami przez chwilę?

Janet pokiwała głową i zerknęła przez ramię na umieszczone z tyłu półprzepuszczalne lustro. Ujrzała tylko własne odbicie, ale wiedziała dobrze, że Gerhard obsługujący za ścianą sprzęt audiowizualny może ją obserwować.

— Wyczuwam w twoim głosie zmęczenie.

— Do późna w nocy borykałem się ze „Świętym Jerzym” — odparł.

— Ja też jestem zmęczona, chociaż borykałam się z kimś, komu daleko do świętego. — Zaśmiała się.

Próbowała mówić normalnym głosem, żeby ułatwić kolegom regulację właściwego poziomu nagrania; nie zwracała specjalnej uwagi na to, o czym mówi. Nie kłamała jednak, Arturowi daleko było do świętego. Okazał się też wcale nie tak znakomitym partnerem, za jakiego uważała go kilka tygodni temu, kiedy tylko się poznali. Na dobrą sprawę była nim zauroczona. (W wyobraźni usłyszała głos doktora Ramosa, który natychmiast by zapytał: „Zauroczona? Tak byś to określiła? Mhm...”) Artur wydał jej się taki przystojny i wysportowany, miał żółte ferrari, szeroki gest i mnóstwo uroku. Przy nim czuła się wreszcie prawdziwą, do tego frywolną kobietą. Miewał co prawda zwariowane pomysły, kiedyś zabrał ją samolotem na obiad do Mexico City, gdyż znał tam pewną małą restaurację, w której podawano najlepszą na świecie tortillę z mięsem duszonym w jarzynach. Janet uważała to za wariactwo, ale polubiła tego typu wyskoki. Poza tym mogła się wreszcie nacieszyć odmianą, nie musiała mówić o psychiatrii, o pracy w szpitalu, o medycynie. Artura nie obchodziły podobne rzeczy, interesował się Janet tylko dlatego, że była kobietą. („Czyżby traktował cię wyłącznie jako partnera seksualnego?” — zapytałby przeklęty Ramos.)

Ale kiedy poznała go trochę lepiej, zatęskniła nagle za rozmowami o swojej pracy. Ze zdumieniem stwierdziła wówczas, że Artur nie chce słyszeć nawet słowa na ten temat. Widocznie czuł się zagrożony w jej obecności, ponieważ sam nie mógł się pochwalić większymi osiągnięciami. Pracował jako makler giełdowy — miał bogatego ojca i zapewne najłatwiej było mu zdobyć tę pracę — i potrafił z powagą mówić o pieniądzach, inwestycjach, stopach wzrostu czy kursach akcji, ale w jego zachowaniu pojawiała się wówczas jakaś agresywność, napastliwość, wynikająca chyba z braku pewności siebie.

W pewnym momencie pojęła to, z czego powinna zdawać sobie sprawę od samego początku — że Artur się nią interesuje, ponieważ jest bogata. Teoretycznie było trudniej ją oszołomić niż podrzędną aktoreczkę, dla której najważniejsze są bąbelki i świece na stole podczas kolacji — powinna z tego powodu odczuwać pewną satysfakcję.

W końcu zaczęła jej ta znajomość działać na nerwy, coraz mniej radości czerpała z tego, że przy nim może się zachowywać frywolnie, a coraz częściej była po prostu skrępowana. Zauważyła u siebie wszystkie charakterystyczne objawy depresji — szukała wciąż nowych zajęć w szpitalu, byle tylko mieć wymówkę do odwołania kolejnego spotkania, kiedy zaś już do niego dochodziło, denerwowały ją zarówno zwariowane pomysły oraz impulsywność Artura, jak i jego drogie ciuchy czy samochody. Coraz częściej patrzyła na mężczyznę siedzącego z nią przy stoliku w restauracji zastanawiając się, co też mogła w nim widzieć. Nie umiała znaleźć nawet śladu dawnego zauroczenia. Wreszcie poprzedniego wieczoru zerwała znajomość, zresztą oboje byli już pewni, że wkrótce to nastąpi. Czemu zatem czuła się dziś tak podle?

— Dlaczego zamilkłaś? — spytał Gerhard.

— Nie wiem, o czym mam mówić... Nadeszła pora, by wszyscy ludzie dobrej woli udzielili pomocy naszemu pacjentowi. Biegący szybko rudy lis przeskoczył grubą żabę. Wszyscy zmierzamy po tej drodze, która ostatecznie zaprowadzi nas do gwiazd. — Przerwała na chwilę. — Czy to wystarczy?

— Jeszcze trochę.

— „Marysiu moja, przekorna, jak rosną kwiaty w twym ogródku”. Przepraszam, ale nie pamiętam dalej. Jak szedł ten wierszyk? — Zachichotała.

— Wystarczy, ustawiliśmy już odpowiedni poziom.

Janet spojrzała na głośnik.

— Czy dokonacie przyłączenia, gdy zakończymy tę sesję?

— Możliwe, jeśli wszystko dobrze pójdzie — odparł Gerhard. — Róg pragnie mu jak najszybciej zacząć podawać trankwilizatory.

Przytaknęła ruchem głowy. Mieli przed sobą już ostatni etap kuracji Bensona i trzeba było go przeprowadzić, nim znów będzie można podać pacjentowi trankwilizatory. Aż do północy dostawał duże dawki fenobarbitalu, ale tego ranka oszołomienie powinno już na tyle ustąpić, aby można było podłączyć komputer.

McPherson, który lubował się w terminologii informatycznej, nazywał ten etap „uruchamianiem interfejsu”, czyli sprzęganiem dwóch różnych systemów, a raczej zarządzającego komputera z mechanizmem wykonawczym. W wypadku Bensona można było mówić o łączeniu ze sobą dwóch komputerów — jego mózgu i niewielkiego urządzenia elektronicznego wszczepionego pod skórę. Wszystkie przewody zostały już podłączone, pozostało jedynie przetestować i dołączyć elektrody, a

wówczas sprzężenie zwrotne Benson-komputer-Benson zacznie działać.

Dla McPhersona miał to być zaledwie pierwszy krok na długiej drodze. Marzyło mu się, żeby po epileptykach zacząć w ten sam sposób leczyć schizofreników, osoby opóźnione w rozwoju i niewidomych. Wszystkie ściany jego gabinetu pokrywały wielkie arkusze z planami. Szef zamierzał szeroko stosować coraz bardziej skomplikowane, miniaturowe komputery. Ostatecznie dążył do wcielenia w życie projektu Q, który nawet Ross wydawał się czymś nierealnym.

Tego dnia jednak mieli się skupić na określeniu, która z czterdziestu wszczepionych elektrod najlepiej zapobiega atakowi choroby. Tę rzecz należało bowiem ustalić eksperymentalnie.

Podczas operacji zestawy elektrod zostały umieszczone we właściwym miejscu, z dokładnością do jednego milimetra. Z punktu widzenia chirurga precyzja była wystarczająca, lecz biorąc pod uwagę gęstość neuronów w mózgu, absolutnie nie zapewniała powodzenia. Komórka nerwowa ma zaledwie jeden mikron średnicy, na odcinku jednego milimetra mieści się zatem tysiąc neuronów.

Wobec tego trudno było tu mówić o precyzji, dlatego też stosowano zestawy składające się z wielu elektrod. Specjaliści wychodzili z założenia, że jeśli taki zestaw umieści się w przybliżeniu we właściwym obszarze mózgu, przynajmniej jedna z elektrod powinna skutecznie wyhamowywać atak. Należało to sprawdzić metodą prób i błędów.

— Pacjent nadchodzi — oznajmił Gerhard przez głośnik.

W chwilę później drzwi się otworzyły i Janet ujrzała Bersona w szpitalnym, białoniebieskim szlafroku, siedzącego w fotelu na kółkach. Sprawiał wrażenie z lekka przestraszonego, nieco sztywno pomachał jej ręką — gruba warstwa bandażu na ramieniu ograniczała mu ruchy.

— Jak się czujesz? — zapytał z uśmiechem.

— To ja powinnam cię o to spytać.

— Chyba najwyższa pora, żebym i ja zadawał jakieś pytania.

Wciąż się uśmiechał, ale w jego głosie można było wyczuć napięcie. Z niejakim zdumieniem Janet stwierdziła, iż pacjent jest przestraszony. Zaraz jednak pomyślała, że nie powinno jej to dziwić, że każdy na jego miejscu odczuwałby lęk. Ona sama nie była do końca opanowana.

Pielęgniarka poklepała chorego po ramieniu, skinęła Ross głową i wyszła z pokoju. Zostali sami.

Przez chwilę panowało milczenie. Benson wpatrywał się jej w oczy, ona spoglądała na niego. Chciała dać Gerhardowi czas na ustawienie ostrości kamery umieszczonej w suficie i na przygotowanie aparatury stymulującej.

— Co mamy dzisiaj w planie? — zapytał Benson.

— Musimy przeprowadzić kolejno stymulację elektrod i wykonać niezbędne pomiary.

Pokiwał głową. Z pozoru znosił to wszystko dzielnie, lecz Janet nauczyła się już nie ufać jego spokojowi. Z wyraźnym ociąganiem Benson zapytał:

— Czy to będzie bolało?

— Nie.

— To dobrze. Możemy zaczynać.

\* \* \*

Gerhard siedział w sąsiednim pokoju, na wysokim stołku, i otoczony słabą, zielonkawą poświatą ekranów aparatury elektronicznej obserwował przez półprzepuszczalne lustro rozmowę Janet z Bensonem.

Obok niego Richards sięgnął po mikrofon, uruchomił taśmę i powiedział cicho:

— Pierwsza seria stymulacji. Pacjent Harold Benson, jedenasty marca tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego pierwszego roku.

Gerhard przeniósł wzrok na stojące przed nim cztery monitory telewizyjne. Na pierwszym miał utrwalany na taśmie wideo obraz Bensaona siedzącego w pokoju. Na drugim widniał generowany przez komputer schemat czterdziestu elektrod ustawionych w dwóch rzędach i tkwiących w substancji mózgowej. Odpowiedni punkt na obrazie rozjaśniał się podczas stymulowania każdej z elektrod.

Trzeci monitor był sprzężony z oscyloskopem, pokazywał się na nim kształt impulsu elektrycznego generowanego na elektrodzie. Na czwartym zaś widniał uproszczony schemat mikrokomputera znajdującego się pod skórą Bensaona; na nim także rozjaśniały się poszczególne wyprowadzenia w miarę testowania kolejnych elektrod.

W sąsiednim pokoju Ross powiedziała:

— Będziesz odbierał bardzo różne doznania, niektóre nawet dość przyjemne. Chcielibyśmy, żebyś dokładnie relacjonował nam, co czujesz. Zgoda?

Benson skinął głową.

— Elektroda pierwsza, pięć miliwoltów przez pięć sekund — rzekł Richards.

Gerhard uruchomił program. Na schemacie układu zajaśniał niewielki fragment, obwód został zamknięty, drogą radiową popłynęły odpowiednie rozkazy dla komputera Bensaona. Obaj mężczyźni wpatrywali się z uwagą w pacjenta siedzącego po drugiej stronie szyby.

— Bardzo interesujące — mruknął Benson.

— Co jest interesujące? — zapytała Ross.

— To odczucie.

— Czy możesz je opisać?

— Hm... Czuję się tak, jakbym jadł kanapkę z szynką.

— Lubisz kanapki z szynką?

Benson wzruszył ramionami.

— Niespecjalnie.

— A może jesteś głodny?

— Niespecjalnie.

— Czy odczuwasz coś jeszcze?

— Nie, tylko ten smak kanapki z szynką. — Pacjent uśmiechnął się i dodał: — Na razowym chlebie.

Gerhard ze zrozumieniem pokiwał głową: wyładowanie na pierwszej elektrodzie pobudziło jakieś fragmenty wspomnień.

— Elektroda druga, pięć miliwoltów przez pięć sekund — rzekł Richards.

— Muszę iść do łazienki — powiedział szybko Benson.

— To wrażenie zaraz przejdzie — odparła Ross.

Gerhard odchylił się nieco do tyłu i łyknął trochę kawy z kubeczka, nie odrywając wzroku od półprzepuszczalnego lustra.

— Elektroda trzecia, pięć miliwoltów przez pięć sekund.

Tym razem nie było żadnego efektu, Benson rozmawiał półgłosem z Janet o toaletach w różnych restauracjach, hotelach, na lotnisku...

— Spróbuj jeszcze raz — odezwał się Gerhard. — Zwiększ napięcie.

— Powtórnie elektroda trzecia, dziesięć miliwoltów przez pięć sekund — rzekł Richards.

Na schemacie układu ponownie zajaśniały obwody tegoż wyprowadzenia, ale nadal nie było żadnego efektu.

— Dobra, przejdź do czwartej — polecił Gerhard, a w notesie zapisał:

1 — ? pobudzenie pamięci (kanapka z szynką)



2 — wrażenie pełnego pęcherza

3 — brak efektu

4 —

Uniósł głowę znad kartki. Sprawdzenie czterdziestu elektrod miało potrwać dość długo, ale on patrzył na to wszystko zafascynowany. Mimo że elektrody znajdowały się tak blisko siebie, wywoływały zgoła odmienne doznania. Choćby tylko ten fakt mógł świadczyć, jak gęsto rozmieszczone są neurony w mózgu — w tym tworze, który ktoś określił mianem najbardziej skomplikowanej struktury w poznanym wszechświecie. Trudno się z tym nie zgodzić, gdyż komórek nerwowych we wnętrzu czaszki jest w przybliżeniu trzy razy więcej niż ludzi na Ziemi. Coś takiego trudno sobie nawet wyobrazić.

Po rozpoczęciu pracy na oddziale neurochirurgii Gerhard musiał dokonać sekcji mózgu. Ślęczał nad tym przez kilka dni, mając przed sobą otwartych kilka podręczników neuroanatomii. Używał tradycyjnej, tępej, drewnianej szpatułki do usuwania kolejnych warstw galaretowatej szarej substancji, cierpliwie odsłaniał zwój po zwoju, aż w końcu nie zostało mu nic. Mózg ludzki w niczym nie przypomina takich narządów, jak płuca czy wątroba; spoglądając na ten jednorodny, mało ciekawy zbitek neuronów trudno byłoby się domyślić jego funkcji. Jest on bowiem zbyt delikatny i zbyt skomplikowany. I niewiarygodnie złożony.

— Elektroda czwarta — rzekł Richards do mikrofonu. — Pięć miliwoltów, pięć sekund.

Nastąpiło wyładowanie.

Benson, dziwnie piskliwym, dziecięcym głosem powiedział:

— Czy mógłbym prosić o trochę mleka i kilka ciasteczek?

— To ciekawe — mruknął Gerhard.

Richards pokiwał głową.

— Jaki to wiek, według ciebie?

— Pięć, najwyżej sześć lat.

Benson zaczął nagle opowiadać Janet o ciasteczkach i swoim trójkołowym rowerku. Przez następnych kilka minut bardzo powoli wracał do siebie, niczym podróżnik w czasie wynurzający się z otchłani przeszłości. Wreszcie odzyskał chyba poczucie rzeczywistości, ale myślami nadal wracał do swego dzieciństwa.

— Zawsze pragnąłem jeść dużo ciastek, lecz matka mi zabraniała. Mówiła, że od słodczy tylko psują się zęby.

— Możemy kontynuować — rzekł Gerhard.

— Elektroda piąta, pięć miliwoltów przez pięć sekund.

W sąsiednim pokoju Benson niespokojnie poruszył się na fotelu. Ross zapytała, czy coś się stało.

— Poczułem coś dziwnego.

— W jaki sposób dziwnego?

— To trudno opisać. Jakbym się otarł o papier ścierny. Bardzo nieprzyjemne.

Gerhard pokiwał głową i zapisał w notesie:

5 — przypuszczalnie elektroda wywołująca atak.

Takie rzeczy się zdarzały, czasami elektroda zamiast hamować atak choroby, jedynie go przyspieszała. Nikt nie umiał powiedzieć, dlaczego tak się dzieje. Możliwe, że ten problem był w ogóle nie do rozwiązania, gdyż sposób funkcjonowania mózgu nie daje się porównać absolutnie z niczym.

Godziny spędzone nad takimi programami, jak „Jerzy” i „Marta”, pozwoliły mu dojść do wniosku, że nawet stosunkowo proste instrukcje komputera mogą doprowadzić w efekcie do całkiem nieprzewidywalnych reakcji maszyny. Było także prawdą, że samouczące się komputery potrafią prześcignąć programistę. Dowiódł tego Arthur Samuel w roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym trzecim, demonstrując tego typu program do gry w szachy napisany dla maszyny IBM — komputer doszedł do takiej „wprawy”, że po pewnym czasie pokonał autora programu.

Tak wiele można było osiągnąć z urządzeniami, mającymi w przybliżeniu tyle samo obwodów logicznych co mózg mrówki. Któż zatem mógł poważnie myśleć o zrozumieniu zasad działania mózgu ludzkiego — wielokrotnie bardziej skomplikowanego, o programie doskonalonym przez setki lat?

Można to zagadnienie potraktować również od strony filozoficznej. Teoremat Goedela mówi: „żaden system nie może wyjaśnić swojej złożoności, tak jak żadna maszyna nie zdoła pojąć zasad swego działania”. Gerhard był przekonany, że umysł ludzki zdoła co najwyżej, po wieloletnich badaniach, pojąć sposób funkcjonowania mózgu żaby, lecz żeby w takim samym stopniu zrozumieć mózg człowieka, trzeba by władać umysłem nadludzkim.

Rozmyślał nad tym, czy któregoś dnia nie zostanie stworzony program komputerowy, który zdoła odkryć przeznaczenie miliardów komórek nerwowych i setek miliardów połączeń między nimi. Tylko w ten sposób człowiek mógłby zdobyć pożądane informacje. Ale sam nigdy nie dokona tego dzieła, do którego niezbędna jest inteligencja wyższego rzędu. Zresztą w takim wypadku nikt by także nie wiedział, jak działa ten hipotetyczny superkomputer.

Do pokoju wszedł Morris z kubeczkem kawy w dłoni. Upił jej trochę i popatrzył na Bensaona widocznego przez szybę.

— Jak on to wytrzymuje? — zapytał.

— Bardzo dobrze — odparł Gerhard.

— Elektroda szósta, pięć i pięć — rzekł Richards.

Znów nie było żadnego efektu; pacjent spokojnie rozmawiał z Janet o przebiegu operacji, skarżył się na drobne bóle głowy. Wydawał się całkowicie opanowany. Powtórzyli wyładowanie na tej samej elektrodzie, także bez wpływu na zachowanie Bersona.

— Elektroda siódma, pięć i pięć.

Popłynęły impulsy.

Pacjent wyprostował się nagle w fotelu.

— Och, to było przyjemne — rzekł.

— Co takiego? — zapytała Ross.

— Możecie to zrobić jeszcze raz, jeśli chcecie.

— Ale jak to odczuwasz?

— Bardzo przyjemne...

Można było odnieść wrażenie, że cała jego osobowość uległa pewnej odmianie.

— Wiesz co? — odezwał się po chwili. — Jesteś wspaniałą kobietą.

— Dziękuję — odpowiedziała Janet.

— I bardzo pociągającą. Nie pamiętam, czy ci to już mówiłem.

— Jak się teraz czujesz?

— Jestem naprawdę strasznie dumny z ciebie. Nie pamiętam czy ci to już mówiłem.

— Nieźle — mruknął Gerhard w drugim pokoju. — Całkiem dobrze.

Morris skinął głową.

— Jest wniebowzięty. Chyba trafiliście na bardzo wrażliwy ośrodek przyjemności.

Gerhard zapisał to w notatniku. Musieli poczekać, aż pacjent znowu dojdzie do siebie. Sącząc kawę, Morris spoglądał z uwagą na Bersona.

— Elektroda ósma, pięć miliwoltów, pięć sekund — oznajmił w końcu Richards dziwnie

matowym głosem.

Zaczęli sprawdzać działanie kolejnych elektrod.

W południe dołączył do nich McPherson. Nikt nie był zaskoczony jego widokiem, w pewnym sensie dokonywali rzeczy najistotniejszej i wszystko inne jak gdyby straciło na znaczeniu. Elektrody zostały wszczepione, połączone z komputerem i ogniwnem zasilającym, ale układ nie funkcjonował jeszcze samodzielnie, dopóki nie zostały zwarte odpowiednie przełączniki w obwodach wyjściowych. Czuli się tak, jakby złożyli w całość skomplikowany samochód, który nie mógł ruszyć, dopóki nie przekręciło się kluczyka w stacyjce.

Gerhard pokazał szefowi swoje notatki z dotychczasowej stymulacji.

— Przy pięciomiliwoltowych impulsach uzyskaliśmy trzy pozytywne reakcje i dwie negatywne. Obiecujące efekty dały wyładowania na elektrodach siódmej, dziewiątej oraz trzydziestej pierwszej, na piątej i trzydziestej drugiej natomiast spowodowały efekt niepożądany.

McPherson patrzył jeszcze przez chwilę w notatnik, po czym spojrzał na siedzącego za szybą Bensaona.

— Czy któraś z tych pozytywnych pobudziła ośrodek przyjemności?

— Wygląda na to, że siódma.

— Efekt był wyraźny?

— Dość silny. Po wyładowaniu stwierdził, że to bardzo miłe doznanie i zaczął się zachowywać tak, jakby poczuł nagle wielki pociąg do Janet.

— Aż tak? Czy to nie przeważy szali w drugą stronę?

Gerhard pokręcił głową.

— Nie, chyba że będzie pobudzany wiele razy w dość krótkim czasie. Nie zapominajmy o tym Norwegu, który...

— Sądzę, że o to nie musimy się martwić — odparł McPherson. — Zatrzymamy Bensaona w szpitalu jeszcze przez kilka dni. Jeśli coś będzie nie w porządku, przełączymy komputer na inną elektrodę. Musimy przez pewien czas pilnie obserwować jego reakcje. A co z dziewiątką?

— Efekt bardzo słaby, na dobrą sprawę niepewny.

— Jak się zachowywał?

— Stał się nieco bardziej spontaniczny, więcej się uśmiechał i zaczął opowiadać niewinne anegdotki.

McPherson z zasępioną miną spoglądał przez półprzepuszczalne lustro.

— A trzydziesta pierwsza?

— Skutek taki sam jak po dawce trankwilizatora. Spokój, opanowanie, rozluźnienie.

McPherson milczał przez chwilę, wreszcie zatarł ręce.

— Myślę, że możemy zacząć od tych dwóch. — Po raz ostatni spojrział na Bensona siedzącego w sąsiednim pokoju i dodał: — Przyłączcie do komputera pacjenta elektrody siódmą i trzydziestą pierwszą.

McPherson głęboko to przeżywał, dla niego był to niezwykle ważny moment w całej historii medycyny. Natomiast Gerhard wprost przeciwnie, sprawiał wrażenie znudzonego. Zsunął się ze stołka i przeszedł do oddzielnego komputera stojącego w rogu pokoju. Zaczął uderzać w klawisze i ekran błyskawicznie się rozjaśnił, a po chwili ukazał się na nim napis:

H.F. BENSON

PROCEDURA PRZYŁĄCZANIA

LICZBA ELEKTROD: 40, w dwóch zestawach szeregowych

ZAKRES NAPIĘĆ: zmieniany płynnie

ZAKRES CZASÓW TRWANIA WYŁADOWAŃ: zmieniany płynnie

ZAKRES RODZAJÓW WYŁADOWAŃ: tylko impulsy

Gerhard wcisnął jakiś klawisz i tekst zniknął. Zaczęły się teraz pojawiać pytania, na które trzeba było udzielać odpowiedzi.

H.F. BENSON, PROCEDURA PRZYŁĄCZANIA

1. KTÓRE ELEKTRODY MAJĄ ZOSTAĆ PODŁĄCZONE?

7,31

2. NAPIĘCIE IMPULSU NA ELEKTRODZIE 7:

5mV

3. CZAS TRWANIA IMPULSU NA ELEKTRODZIE 7:

5 sek

Nastąpiła krótka przerwa, po czym ukazały się takie same pytania dla elektrody trzydziestej

pierwszej. Gerhard wpisał właściwe dane. Spoglądając na niego, McPherson rzekł do Morrisa:

— Swoją drogą, to zabawne. Przekazujemy temu maleńkiemu urządzeniu, jak ma działać. Instrukcje do mikrokomputera płyną z dużej maszyny, która z kolei przyjmuje instrukcje od Gerharda, co by znaczyło, że Gerhard jest w tym szeregu najważniejszym komputerem.

— Na to wychodzi — rzekł Gerhard i zachichotał.

Na ekranie pojawił się napis:

PARAMETRY PRZYŁĄCZANIA UTRWALONE.

PROGRAM JEST GOTÓW DO PRZESŁANIA ICH JEDNOSTCE AUTONOMICZNEJ.

Morris westchnął. W głębi ducha żywił nadzieję, że jego nigdy żaden komputer nie określi mianem „jednostki autonomicznej”. Gerhard przebiegał szybko palcami po klawiaturze, na drugim monitorze poczęły się rozświetlać coraz to inne fragmenty schematu blokowego, oznaczające programowanie poszczególnych układów funkcjonalnych minikomputera pod skórą pacjenta. Wreszcie rozjaśnił się cały schemat, a na monitorze Gerharda został wyświetlony napis:

H.F. BENSON ZOSTAŁ PRZYŁĄCZONY.

WSZCZEPIONE URZĄDZENIE ODCZYTUJE TERAZ DANE EEG.

SPRZĘŻENIE ZWROTNE DZIAŁA BEZ ZAKŁÓCEŃ.

I to już wszystko, pomyślał rozczarowany Morris. Dobrze wiedział, jak wygląda ta procedura, ale za każdym razem oczekiwał, a raczej miał nadzieję, że będzie to coś o wiele bardziej dramatycznego. Gerhard zaprogramował jeszcze ostatnie testy poprawności działania układu, lecz te wypadły pomyślnie. Ekran monitora ściemniał, a po chwili ukazał się na nim końcowy napis:

KOMPUTER SYSTEMU 360 W SZPITALU UNIWERSYTECKIM DZIĘKUJE WSZYSTKIM ZA UMOŻLIWIENIE MU WZIĘCIA UDZIAŁU W PROCESIE LECZENIA TAK INTERESUJĄCEGO PRZYPADKU.

Gerhard skwitował to uśmiechem.

W sąsiednim pokoju Benson nadal półgłosem rozmawiał z doktor Ross. Żadne z nich nie zdawało sobie sprawy, że chwilę wcześniej dokonana się wielka przemiana.

Janet Ross kończyła tę rozmowę w posępnym nastroju. Później stanęła przed drzwiami i spoglądała śladem pielęgniarki popychającej fotel pacjenta. Jej plecy zasłaniały Bensaona, Ross zaledwie pochwyciła kilka razy widok obandażowanej głowy i karku, aż wreszcie tamci zniknęli jej z oczu za zakrętem korytarza.

Ruszyła powoli w przeciwnym kierunku, mijając różnokolorowe drzwi oddziału neuropsychiatrii. Dziwnym sposobem przywołały jej na myśl żółte ferrari Artura — ów niezwykle, elegancki pojazd, jak gdyby nie pasujący do tego świata; wręcz idealną zabawkę. Wyobraziła sobie, że jest w Monte Carlo, wysiada z ekskluzywnego auta i ubrana w wytworną, wieczorową suknię wkracza po schodach do kasyna, między ludzi, dla których nie liczy się nic oprócz hazardu i pieniędzy.

Spojrzała na zegarek. Jezu, dopiero kwadrans po dwunastej, pomyślała. Miała przed sobą jeszcze pół dnia. Zaczęła się zastanawiać, jak wygląda praca pediatry. To musiało być chyba zabawne, całymi dniami łaskotać dzieci, rozdawać klapsy i pouczać matki o podstawowych zasadach higieny — niezły sposób na życie.

Wchodząc do pokoju TELEKOMP-u miała znów przed oczyma zabandażowaną głowę Bensaona. Chciała porozmawiać sam na sam z Gerhardem, ale wewnątrz zastała wszystkich — McPhersona, Morrisa, Ellisa — cały zespół świętował zakończenie operacji, wznosząc toasty kawą w polistyrenowych kubeczkach.

Ktoś wetknął jej w dłoń taki sam kubek, a McPherson po ojcowsku otoczył ją ramieniem.

— Mam wrażenie, że Benson spojrzał dziś na ciebie zdecydowanie innym wzrokiem.

— Tak, raczej tak — odparła, próbując się uśmiechnąć.

— Ale chyba w niczym ci to nie przeszkadza?

— Niezupełnie.

W pokoju zaległa cisza, nagle prysnął gdzieś radosny nastrój, lecz Janet tylko przez krótką chwilę poczuła wyrzuty sumienia. Nie widziała nic zabawnego w tym, że wyładowanie powstrzymujące atak epilepsji będzie równocześnie pobudzało człowieka seksualnie. Ten efekt, dość interesujący z czysto fizjologicznego punktu widzenia, można było odbierać jako żałosny czy wręcz niepokojący, ale nigdy zabawny. Dlaczego więc wszyscy podchodzili do tego z taką beztroską?

Ellis nie wiadomo skąd wyciągnął butelkę i dolał jej do kawy nieco whisky.

— Wzmocnij się po irlandzku — rzekł, puszcżając do niej oko. — To ci dobrze zrobi.

Ross pokiwała głową i spojrzała na stojącego w drugim końcu pokoju Gerharda.

— No, wypij. Wypij — zachęcał Ellis.



Gerhard był pochłonięty rozmową z Morrisem, nie zwracał uwagi na otoczenie. W pewnej chwili Janet pochwyliła kilka wypowiedzianych głośniej przez Morrisa słów:

— ...Czy może pan przepuścić cipcię?

Obaj mężczyźni wybuchnęli śmiechem. Aha, więc opowiadają sobie jakieś dowcipy, pomyślała Ross, maczając usta w kawie.

— Wcale nie jest taka najgorsza, prawda? — zapytał Ellis. — Jak ci smakuje?

— Całkiem niezła.

Zdołała się jakoś uwolnić od towarzystwa Ellisa oraz McPhersona i podeszła do Gerharda. Ten stał akurat sam, Morris oddalił się, żeby dolać sobie kawy.

— Czy możemy zamienić parę słów?

— Oczywiście — rzekł tamten, pochylając się trochę w jej stronę. — O co chodzi?

— Chciałabym się dowiedzieć, czy korzystając z centralnego komputera, mógłbyś stąd kontrolować Bensaona?

— Myślisz o monitorowaniu wszczepionego układu?

— Tak.

Gerhard wzruszył ramionami.

— Chyba mógłbym, tylko po co? Sprawdziliśmy przecież, że działa tak, jak powinien...

— Wiem, zdaję sobie z tego sprawę. Ale czy mógłbyś to zrobić... jako zabezpieczenie?

Tamten milczał, lecz jego rozszerzone oczy zdawały się pytać: zabezpieczenie przed czym?

— Proszę...

— W porządku — odparł. — Postaram się uruchomić jakiś program monitorujący, kiedy tylko wszyscy stąd pójdą. — Ruchem głowy wskazał członków zespołu. — Ustawię go tak, żeby sprawdzał działanie układu co pół godziny.

Janet zmarszczyła brwi.

— Wolisz co kwadrans?

— Może lepiej co dziesięć minut.

— Dobra, niech będzie co dziesięć minut.

— Dziękuję.

Jednym haustem dopiła kawę i czując miłe ciepło rozchodzące się z żołądka wyszła z pokoju.

Ellis siedział w rogu pokoju numer siedemset dziesięć, obserwując krzątanie kilku techników wokół łóżka pacjenta. Dwaj mężczyźni z laboratorium radiologicznego po raz kolejny sprawdzali, czy nie ma promieniotwórczych przecieków, pielęgniarka pobierała próbkę krwi do analizy poziomu sterydów, specjalista od EEG ustawiał aparaturę kontrolną, natomiast Gerhard z Richardsem przeprowadzali ostatnie testy działania mikrokomputera.

Benson leżał bez ruchu, oddychał spokojnie i gapił się w sufit. Zdawał się nie zwracać uwagi na ludzi, którzy go bez przerwy dotykali, układali, poprawiali pościel. Jak zahipnotyzowany wbijał wzrok w monotonną płaszczyznę sufitu.

Jeden z asystentów radiologii miał silnie owłosione ręce wystające z nieco za krótkich rękawów fartucha. Kiedy w pewnym momencie położył dłoń na obandażowanej, białej głowie Bensa, Morrisowi przypomniały się małpy, które poprzednio operował. Traktowali to jak wprawki przed właściwym zabiegiem, gdyż nawet mimo usilnych starań zawsze miało się świadomość tego, że w fotelu spoczywa zwierzę, a nie człowiek. Można było z rozpędu rozciąć czaszkę od ucha do ucha, lecz to i tak nie miałyby żadnego znaczenia. Nikt nie zadawałby żadnych pytań, nie trzeba by się spotykać z krewnymi adwokatami, dziennikarzami. Nawet dział zaopatrzenia nie przysłałby krótkiego pisemka, pytając, z jakiego powodu zginęła małpa warta osiemdziesiąt dolarów. Nikogo by to nie obchodziło, jego również. Nie czuł się w obowiązku pomagać zwierzętom, jego powołaniem było uzdrawianie ludzi.

Benson poruszył się niespodziewanie.

— Jestem zmęczony — mruknął, przenosząc wzrok na Ellisa.

— Czy możecie już kończyć to wszystko, chłopcy? — zapytał lekarz.

Jeden po drugim technicy poczęli odstępować od łóżka i potakująco kiwać głowami. Składali swoje narzędzia, mierniki i arkusze danych, po czym wychodzili z pokoju. Gerhard z Richardsem wyszli jako ostatni i Ellis został sam z Bensonem.

— Chce ci się spać? — zapytał.

— Czuję się jak przeklęta maszyna, jak samochód podczas szczegółowego przeglądu w stacji obsługi. Mam wrażenie, że przeszedłem poważny remont.

Bensona zaczynała ogarniać wściekłość, Ellis bez trudu wyczuwał rosnące napięcie. W głębi ducha szykował się do wezwania sanitariuszy i pielęgniarek, żeby pomogli mu związać pacjenta, gdyby atak choroby doprowadził do wybuchu agresji. Ale tamten wciąż leżał spokojnie.

— Pleciesz bzdury — mruknął Ellis.

Benson spojrział na niego, oddychał coraz szybciej.

Ellis przeniósł wzrok na stojący nad łóżkiem monitor. Wykres pracy mózgu przeszedł w nieregularny, pojawiły się w nim piki świadczące o ataku epilepsji.

Pacjent zmarszczył nos i parsknął:

— Co to za smród? Taki ohydny...

Na monitorze zapaliła się nagle czerwona lampka i zabłysnął napis: STYMULACJA. Przez pięć sekund białe linie wykresu EEG tworzyły chaotyczną plątaninę, jednocześnie źrenice Bensaona wyraźnie się rozszerzyły. Zaraz jednak wszystko wróciło do normy, źrenice oczu pacjenta odzyskały poprzednią wielkość.

Benson odwrócił głowę i wyjrzał przez okno na stojące dość nisko słońce.

— Wiesz co? — powiedział. — Mamy dziś naprawdę piękny dzień, nie sądzisz?

Pchana jakimś dziwnym niepokojem, Janet Ross wróciła do szpitala o jedenastej wieczorem. Zgodziła się w końcu pójść do kina z ordynatorem patologii, który już od kilku tygodni próbował się z nią umówić. Zgodziła się nawet na kryminał, gdyż twierdził, że dla niego jest to jedyny gatunek filmu do przyjęcia. Dzielnie dotrwała do piątego trupa, ale potem przestała już liczyć. W półmroku jedynie zerknęła na ordynatora, a ten odpowiadał jej uśmiechem. Patolog, który pasjonował się przemocą i zabójstwami, wydał jej się obrzydliwie typowy. Ale zaraz też pomyślała o innych „typowych” lekarzach: chirurgach sadystach, zdzieciniałych pediatrach czy ginekologach antifeministach. A także o stukniętych psychiatrach.

Po filmie ordynator zawiózł ją pod szpital, gdyż zostawiła swój samochód na parkingu. Lecz zamiast jechać do domu, Janet wróciła na oddział, chociaż nie miała ku temu żadnego powodu.

Na wyludnionym piętrze panował spokój, ale — tak jak się spodziewała — zastała Gerharda i Richardsa przy pracy w pokoju TELEKOMP-u, pochylonych nad wstęgą wydruku. Byli tak pochłonięci, że nie zauważyli nawet, jak weszła i nalała sobie kawy.

— Jakieś kłopoty? — zapytała.

Gerhard podrapał się w głowę.

— Ciągle coś się dzieje. Najpierw „Jerzy” przestał być świętym, a teraz „Marta” zaczęła się przymilać. Wszystko na opak.

Richards uśmiechnął się szeroko.

— Ty masz swoich pacjentów, Jan, a my swoich.

— Jeśli już mowa o pacjentach...

— Oczywiście. — Gerhard zsunął się ze stołka i podszedł do drugiego komputera. — A ja się zastanawiałem, po co wróciłaś. — Uśmiechnął się do niej. — Czyżby nie udała ci się randka?

— Owszem, film był dość marny.

Gerhard przebiegł palcami po klawiaturze i na ekranie pojawiła się długa kolumna cyfr i liter. Rejestrację monitorowania rozpoczęto o pierwszej dwanaście po południu:

13:12 EEG NORMALNE 13:22 EEG NORMALNE

13:32 EEG FAZY SNU 13:42 EEG FAZY SNU

13:52 EEG NORMALNE 14:02 EEG NORMALNE

14:12 EEG NORMALNE 14:22 EEG NORMALNE

14:32 EEG FAZY SNU 14:42 EEG NORMALNE  
14:52 EEG NORMALNE 15:02 EEG NORMALNE  
15:12 EEG FAZY SNU 15:22 EEG FAZY SNU  
15:32 STYMULACJA 15:42 EEG NORMALNE  
15:52 EEG FAZY SNU 16:02 EEG NORMALNE  
16:12 EEG NORMALNE 16:22 EEG NORMALNE  
16:32 EEG FAZY SNU 16:42 EEG NORMALNE  
16:52 EEG NORMALNE 17:02 EEG FAZY SNU  
17:12 EEG NORMALNE 17:22 EEG NORMALNE  
17:32 EEG FAZY SNU 17:42 EEG NORMALNE  
17:52 EEG NORMALNE 18:02 EEG NORMALNE  
18:12 EEG NORMALNE 18:22 EEG NORMALNE  
18:32 EEG NORMALNE 18:42 EEG NORMALNE  
18:52 STYMULACJA 19:02 EEG NORMALNE  
19:12 EEG NORMALNE 19:22 EEG FAZY SNU  
19:32 EEG FAZY SNU 19:42 EEG FAZY SNU  
19:52 EEG NORMALNE 20:02 EEG NORMALNE  
20:12 EEG NORMALNE 20:22 EEG FAZY SNU  
20:32 EEG NORMALNE 20:42 EEG NORMALNE  
20:52 EEG NORMALNE 21:02 STYMULACJA  
21:12 EEG FAZY SNU 21:22 EEG NORMALNE  
21:32 EEG NORMALNE 21:42 EEG NORMALNE  
21:52 EEG NORMALNE 22:02 EEG NORMALNE  
22:12 EEG NORMALNE 22:22 EEG NORMALNE

22:32 STYMULACJA 22:42 EEG FAZY SNU

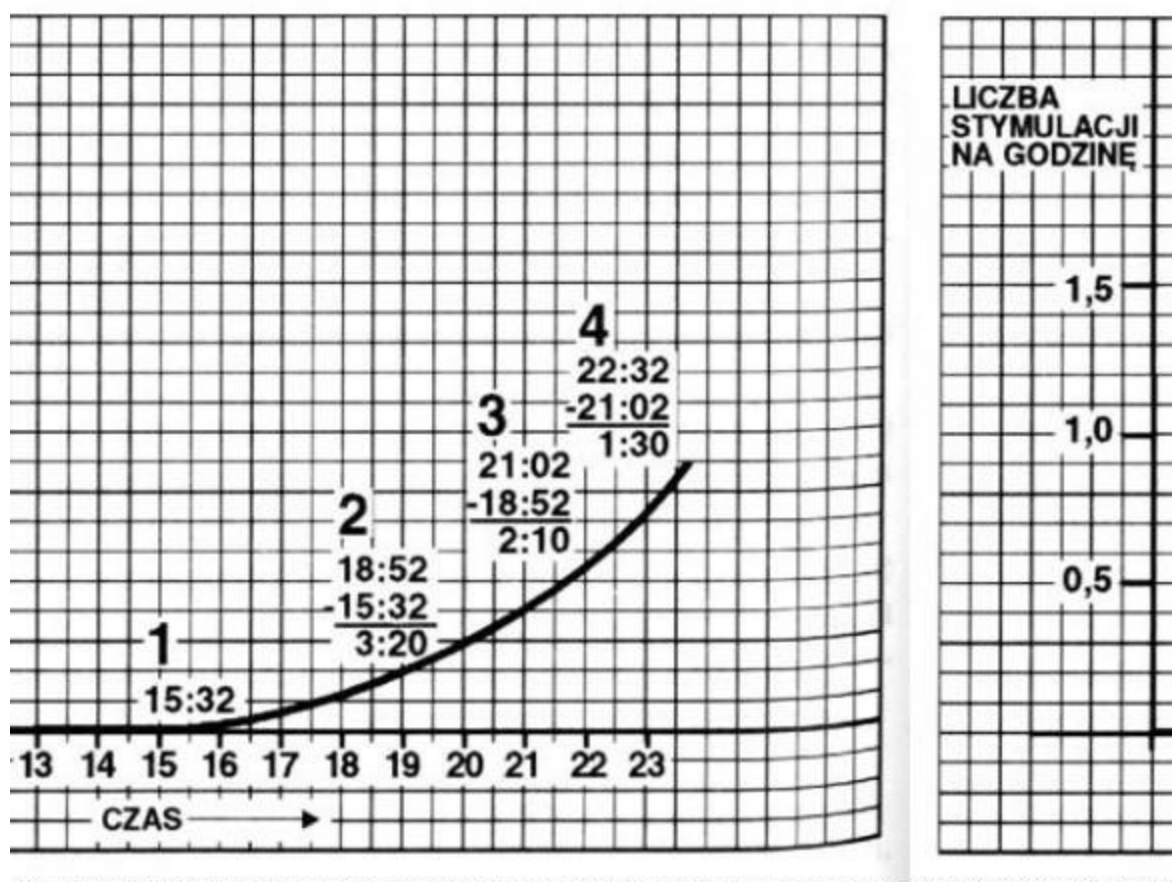
22:52 EEG NORMALNE 23:02 EEG NORMALNE

— Zupełnie nic z tego nie rozumiem — powiedziała Ross, marszcząc brwi. — Wygląda na to, że zapadał w krótkie drzemki, z których zaraz się budził. Otrzymał też kilka impulsów stymulujących, ale... — Pokręciła głową. — Czy możesz przedstawić te rezultaty w jakiejś innej postaci?

Niemal w tej samej chwili na dole ekranu pojawił się następny komunikat:

23:12 EEG NORMALNE

— Co za ludzie... — mruknął poirytowany Gerhard. — Nie wystarczy im zwyczajny wydruk danych w kolumnie.



Nie było w tym nic dziwnego. Najłatwiej jest zaprogramować wydruk rezultatów w jednym szeregu, lecz wszyscy wolą od razu widzieć zmiany. Z drugiej strony komputer może przyjmować wyłącznie dane wprowadzane w jednym ciągu. Do klasycznych już problemów należało zaliczyć kłopoty z odróżnieniem na ekranie chociażby litery B i cyfry 8, które dla komputera stanowiły dwa zupełnie odmienne znaki; za to maszyna nie potrafiła się uporać i pewnymi dziecinnie łatwymi rzeczami, jak na przykład dwoma rysunkami niewiele różniącymi się między sobą.

— Zaraz zaprogramuję graficzne przedstawienie wyników — rzekł Gerhard.

Wcisnął klawisz, wykasowując zawartość ekranu i po jakimś czasie wywołał na nim wykres z jednostajnie migającymi wybranymi punktami:

— Cholera! — syknęła Janet, spoglądając na wykres.

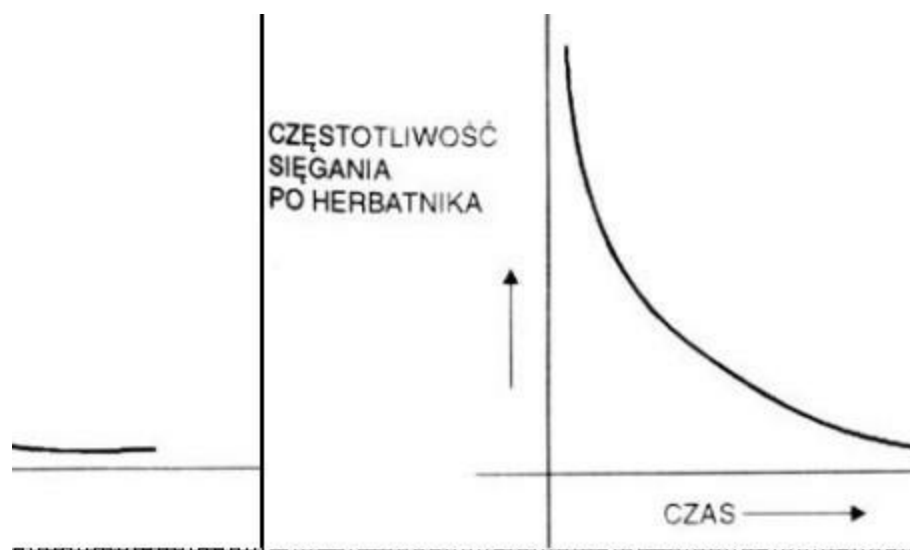
— Co się stało? — zapytał Gerhard.

— Stymulacje występują coraz częściej. Dość długo był spokój, ale pierwszy impuls rozpoczął fatalną serię. Wygląda na to, że teraz pobudzenie powtarza się średnio raz na godzinę.

— I o czym to świadczy?

— Nic ci nie przychodzi na myśl?

— Przyznaję, że nie.



— Powinieneś skojarzyć kształt tej krzywej z pewną charakterystyczną reakcją — powiedziała Ross. — Mieliliśmy świadomość, że umysł Bensaona będzie oddziaływał na pracę komputera, zgadza się?

— Owszem...

— I że to oddziaływanie może spowodować trwałe zmiany. Tak jak w klasycznym przykładzie dziecka i herbatników. Jeśli dasz malcowi klapsa za każdym razem, gdy będzie sięgał po ciastko, po jakimś czasie zacznie coraz rzadziej wyciągać rękę. Spójrz.

Janet narysowała na kartce inny wykres:

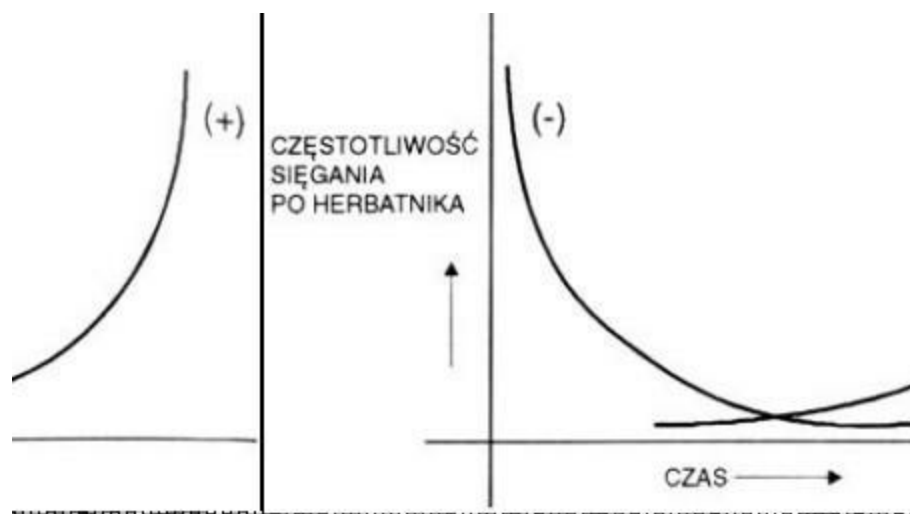
— To przykład uwarunkowania negatywnego. Dziecko dostaje bolesnego klapsa, jeśli sięga po ciastko, zatem coraz rzadziej wyciąga rękę. Po jakimś czasie w ogóle przestanie sięgać. Jasne?



— Oczywiście — mruknął Gerhard. — Ale...

— Daj mi skończyć. Zawsze tak się dzieje, przy założeniu, że dziecko jest normalne. Lecz jeśli ma skłonności masochistyczne, rezultat będzie zupełnie inny.

Dorysowała jeszcze jedną krzywą:



— W takim wypadku dziecko zacznie coraz częściej sięgać po herbatniki, gdyż ból sprawia mu przyjemność. Zamiast uwarunkowania negatywnego otrzymamy uwarunkowanie pozytywne. Pamiętasz Cecil?

— Nie — odparł Gerhard.

Na ekranie komputera pojawił się kolejny wpis:

23:22 STYMULACJA

— Jasna cholera! Znowu!

— Co się dzieje?

— Benson jest na najlepszej drodze do uwarunkowania pozytywnego.

— Nie rozumiem.

— To samo się stało z Cecil. Mam na myśli pierwszą małą, której wszczepiono elektrody przyłączone do komputera. Miało to miejsce bodajże w sześćdziesiątym piątym roku. Wtedy nie istniały jeszcze miniaturowe urządzenia i zwierzę zostało podłączone pękiem przewodów do olbrzymiej maszyny. Cecil także cierpiała na epilepsję. Komputer tak samo mierzył elektryczną aktywność mózgu i przysyłał impulsy wyładowań, które zapobiegały atakom. Lekarze mieli nadzieję, że nawroty choroby będą występowały coraz rzadziej, tak jak w tym przykładzie dziecko coraz rzadziej powinno sięgać po herbatniki. Ale stało się coś wręcz odwrotnego. Cecil polubiła wyładowania. Zaczęła coraz częściej wywoływać ataki choroby, żeby otrzymywać przyjemne

pobudzenie elektryczne.

— I to samo się dzieje z Bensonem?

— Tak myślę.

Gerhard pokręcił głową.

— Posłuchaj, Jan, to bardzo interesujące. Ale nikt nie może wywoływać u siebie ataków epileptycznych, kiedy mu się podoba. Tego nie można świadomie kontrolować. Ataki następują...

— Bez udziału świadomości — wpadła mu w słowo. — Masz rację. Nie można nad nimi panować, podobnie jak nie można wedle woli kontrolować tętna, ciśnienia krwi, wydzielania potu. To wszystko się odbywa poza naszą świadomością.

Nastąpiła dłuższa chwila milczenia. Wreszcie Gerhard zapytał cicho:

— Czyżbyś chciała mnie przekonać, że to nieprawda?

Na ekranie zamigotał następny komunikat:

23:32 — — — — —

— Chcę ci tylko uświadomić, że zbyt rzadko bierzesz udział w zebraniach. Czy słyszałeś o autonomicznym systemie uczenia?

— Nie.

— Przez wiele lat uważano to za zjawisko tajemnicze. Generalnie sądzono, że człowiek może kontrolować jedynie odruchy świadome, potrafi się nauczyć prowadzić samochód, ale nigdy nie zdoła panować nad ciśnieniem krwi. Nie pasowały do tego obrazy wiadomości o jogach, którzy mogą zredukować zapotrzebowanie organizmu na tlen i obniżyć ilość uderzeń serca niemal do stanu agonalnego oraz potrafią zmienić kierunek ruchów perystaltycznych jelit i wchłaniać płyny przez odbył. Traktowano to jednak jako nie sprawdzone pogłoski i rzeczy teoretycznie niemożliwe do wykonania.

Gerhard przytaknął ruchem głowy.

— Okazuje się jednak, że jest to jak najbardziej możliwe. Można nauczyć szczura, żeby krew krążyła mu tylko w jednym uchu, albo w lewym, albo w prawym, wedle życzenia. Można go także nauczyć regulować tętno oraz ciśnienie krwi. A zatem tego samego potrafią dokonać ludzie. To wcale nie jest niewykonalne, da się zrobić.

— W jaki sposób?

Przez jakiś czas Gerhard czuł się zawstydzony, ale teraz jego zmieszanie całkowicie ustąpiło

miejsca nieposkromionej ciekawości.

— Na przykład ludzi, którzy mają bardzo wysokie ciśnienie krwi, umieszcza się w odizolowanym pokoiku, z aparatem pomiarowym na przedramieniu. Jeśli tylko ciśnienie spada im poniżej pewnej wartości, rozlega się dźwięk dzwonka. Ludzie mają za zadanie postarać się ze wszystkich sił, żeby dzwonek terkotał jak najczęściej, muszą traktować to jak nagrodę za swoje wysiłki. Na początku rządzi przypadek, ale dość szybko uczą się uruchamiać brzęczyk coraz częściej i po kilku godzinach takiego doświadczenia dzwonek terkocze niemal bez przerwy.

Gerhard podrapał się w głowę.

— I sądzisz, że Benson uczy się wywoływać ataki, żeby w nagrodę uzyskiwać przyjemne pobudzenie elektryczne?

— Tak.

— Ale chyba nie ma w tym nic złego? I tak nie nastąpi atak epileptyczny, bo komputer zawsze zdoła mu zapobiec.

— Nieprawda — odparła Janet. — Kilka lat temu, w Norwegii, wszczepiono elektrody pewnemu schizofrenikowi, a sprawiający mu przyjemność impuls elektryczny, który jednocześnie powstrzymywał ataki choroby, mógł być przez pacjenta również generowany według woli. Doszło do tego, że człowiek tak często wywoływał stymulację, iż dostał konwulsji.

Gerhard skrzywił się.

Richards, który siedział przed klawiaturą komputera i przysłuchiwał się ich rozmowie, powiedział nagle:

— Coś jest nie w porządku.

— Co?

— Nie otrzymujemy żadnych odczytów.

Dwa ostatnie komunikaty na ekranie miały postać:

23:32 — - - - -

23:42 — - - - -

Ross westchnęła ciężko.

— Spróbujcie wydusić z komputera ekstrapolację tej krzywej. Chciałabym się przekonać, czy to naprawdę zmierza ku pozytywnemu uwarunkowaniu i z jaką szybkością. — Ruszyła w stronę drzwi. — Ja pójde zobaczyć, co się dzieje z Bensonem.

Kiedy drzwi zamknęły się z cichym trzaskiem, Gerhard szybko zajął miejsce przed komputerem.

Piątek,

**12 marca 1971:**

Załamanie

Na szóstym piętrze budynku chirurgii zalegała cisza, w recepcji dyżurowały dwie pielęgniarki. Jedna uzupełniała wpisy w kartach chorobowych pacjentów, druga jadła batonik i czytała jakiś magazyn ilustrowany. Żadna z nich nawet nie podniosła głowy, kiedy Ross podeszła do półki z teczkami chorych, sięgnęła po dokumenty Bensona i zaczęła je przerzucać.

Chciała się upewnić, że pacjent otrzymał wszystkie konieczne leki, lecz ku swemu zdumieniu stwierdziła, iż nie podano mu niczego.

— Dlaczego Benson nie dostał torazyny? — zapytała.

Obie pielęgniarki popatrzyły na nią ze zdziwieniem.

— Benson?

— Pacjent z pokoju siedemset dziesięć. — Spojrzała na zegarek: właśnie minęła północ. — Miał zacząć brać torazynę w południe, dwanaście godzin temu.

— Ja... Przepraszam, czy mogę?

Jedna z pielęgniarek wyjęła jej teczkę z rąk. Ross spoglądała z wyrzutem, jak kobieta przerzuca kartki, szukając wytycznych dawkowania leków. Któraś z jej poprzedniczek zakreśliła grubą czerwoną linią notatkę McPhersona dotyczącą podawania torazyny i pod spodem umieściła enigmatyczny dopisek: „Zadzwoń”.

Ross uważała, że bez dużej dawki torazyny psychotyczna obsesja Bensona może wymknąć się spod kontroli i spowodować groźne skutki.

— Ach tak — rzekła pielęgniarka — teraz sobie przypominam Doktor Morris mówił, że mamy podawać tylko leki zapisane przez niego i przez doktor Ross. Nie wiedziałyśmy, kto to jest ten doktor McPhee, dlatego czekałyśmy na potwierdzenie tego zalecenia.

— Doktor McPherson — odparła Janet z naciskiem — jest ordynatorem oddziału neuropsychiatrii.

Pielęgniarka zmarszczyła brwi, patrząc na podpis.

— A skąd my miałyśmy to wiedzieć? Tu nawet trudno odczytać nazwisko. Proszę. — Wręczyła jej kartę z powrotem. — Sądziłyśmy, że podpisał się McPhee, a jedyny McPhee w tym szpitalu jest ginekologiem. Dlatego myślałyśmy, że to pomyłka, czasami lekarze wpisują swoje zalecenia nie do tej karty, co potrzeba, więc...

— Już dobrze — przerwała jej Ross. — W porządku. Proszę mu tylko jak najszybciej podać torazynę, zgoda?

— Oczywiście, pani doktor — odparła kobieta.

Obrzuciła ją pogardliwym spojrzeniem i podeszła do szafki z lekarstwami. Janet ruszyła korytarzem w stronę pokoju numer siedemset dziesięć.

\* \* \*

Policjant czuwający przed drzwiami odsunął sobie krzesło od ściany, oparł się wygodnie i tkwił zagłębiony w lekturze. Janet ze zdumieniem spostrzegła, że jest to kieszonkowe wydanie którejś pozycji z serii „Romanse”. Bez trudu odgadła, skąd wziął tę książkę — widocznie tak bardzo się nudził, że wyprosił ją od pielęgniarki. Palił też papierosa, strząsając popiół mniej więcej w kierunku stojącej na podłodze popielniczki.

Uniósł głowę, kiedy Janet była już zupełnie blisko.

— Dobry wieczór, pani doktor.

— Dobry wieczór.

Ross ledwie się powstrzymała przed zwróceniem mu uwagi na temat niezbyt stosownego zachowania. Uzmysłowała sobie jednak, że nie ma nad nim żadnej władzy, a poza tym jest już wystarczająco zdenerwowana postawą pielęgniarek.

— Wszystko w porządku? — zapytała.

— Jak najbardziej.

Przez zamknięte drzwi słyszała różne głosy i śmiechy dobiegające i włączonego telewizora. Prezenter zapytał głośno: „I co pan wtedy zrobił?” Widownia zareagowała wybuchem gromkiego śmiechu. Janet otworzyła drzwi.

Wewnątrz światła były zgaszone, pokój rozjaśniała jedynie poświata telewizora. Benson chyba spał; leżał tyłem do wejścia, z kołdrą naciągniętą wysoko na głowę. Ross wyłączyła telewizor i podeszła do łóżka. Ostrożnie dotknęła nogi pacjenta.

— Harry — powiedziała cicho. — Harry...

Zastygła oniemiała.

Czuła pod palcami coś miękkiego i elastycznego. Nacisnęła mocniej: podejrzenie zaszeleściło. Błyskawicznie sięgnęła do lampki na stoliku i wyłączyła ją; pokój zalało mleczne światło. Jednym ruchem zerwała kołdrę.

Benson zniknął. Na łóżku leżało kilka worków foliowych, jakich używano w szpitalu do wykładania koszy na śmieci — nadmuchanych i mocno zawiązanych. Głowę człowieka markował ciasno zwinięty ręcznik, drugi tworzył gruby rulon, żeby pod kołdrą udawać rękę.

— Poruczniku! — zawołała półgłosem. — Niech pan lepiej ruszy tyłek i zajrzy tutaj.

Policjant wkroczył szybko do pokoju, wsuwając dłoń za pazuchę, gdzie zapewne trzymał pistolet. Janet wskazała mu łóżko.

— Jasna cholera! — syknął. — Jak to się stało?

— Właśnie chciałam pana zapytać o to samo.

Gliniarz nie odpowiedział. Przeszedł pośpiesznie przez pokój i zajrzał do łazienki, lecz nikogo w niej nie było. Otworzył drzwi szafy.

— Zostawił swoje ubrania...

— Kiedy po raz ostatni zaglądał pan do pokoju?

— ...ale buty zniknęły — mruknął policjant, wciąż myszkując w szafie. — Nie ma jego butów! — powtórzył, odwracając się w jej kierunku. Na jego twarzy malowało się zdumienie. — Gdzie on się podział?

— Kiedy po raz ostatni zaglądał pan do pokoju? — zapytała Janet ponownie.

Wcisnęła guzik przy wezglowiu łóżka, wzywając pielęgniarkę.

— Jakież dwadzieścia minut temu.

Ross podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz. Jedno skrzydło było uchylone, ale z szóstego piętra nie dało się bezpiecznie zeskoczyć na leżący w dole parking.

— Na jak długo odchodził pan sprzed drzwi?

— Ależ, pani doktor... to trwało zaledwie kilka minut...

— Ile?

— Skończyły mi się papierosy. W szpitalu nie ma automatów do sprzedaży, wyskoczyłem więc do kawiarenki po drugiej stronie ulicy. Nie było mnie może ze trzy minuty, gdzieś około wpół do dwunastej. Siostra oddziałowa obiecała, że zwróci uwagę podczas mojej nieobecności.

— Wspaniale — mruknęła Ross.

Odsunęła szufladę nocnego stolika. W środku leżały przybory do golenia, portfel, kluczyki od samochodu... Wszystko zostało. Przez uchylone drzwi wetknęła głowę pielęgniarka.

— O co znów chodzi?

— Wygląda na to, że brakuje naszego pacjenta — odparła Janet.

— Słucham?



Lekarka wskazała jej nadmuchane worki ułożone na łóżku. Pielęgniarka osłupiała, zbladła jak ściana.

— Proszę zawiadomić doktora Ellisa — poleciła Janet. — A także doktora McPhersona oraz doktora Morrisa. Powinni być w swoich domach, telefonistka musi znać ich numery. Proszę przekazać, że sytuacja jest krytyczna, Benson zniknął. A później proszę zawiadomić służbę ochrony szpitala. Czy wszystko jasne?

— Tak, pani doktor — rzuciła pośpiesznie kobieta i pobiegła w stronę dyżurki.

Ross przysiadła na krawędzi łóżka i popatrzyła na policjanta.

— Skąd on wytrzasnął te worki foliowe? — zapytał tamten.

Janet już wcześniej znalazła wyjaśnienie.

— W pokoju są trzy kosze na śmieci, jeden przy łóżku, drugi pod drzwiami, a trzeci w łazience. Stamtąd też wziął dwa ręczniki.

— Spryciarz — mruknął policjant. — Ale nie powinien daleko uciec, zostawił tu wszystkie swoje ubrania — rzekł, wskazując otwartą szafę.

— Nie zapomniał jednak o butach.

— Człowiek z obandażowaną głową i w szpitalnym szlafroku nie ujdzie zbyt daleko, nawet jeśli ma buty na nogach. — Energicznie pokręcił głową. — Lepiej zawiadomię posterunek.

— Czy Benson korzystał z telefonu?

— Dziś wieczorem?

— Nie, w ubiegłym miesiącu.

— Proszę posłuchać, paniusiu. Niepotrzebne mi jeszcze pani złośliwości.

Dopiero teraz Janet zwróciła uwagę, że jest on bardzo młody, ledwie po dwudziestce, a poza tym mocno przestraszony. Czuł się winny i nie wiedział, co go czeka.

— Przepraszam — mruknęła. — Pytałam o dzisiejszy wieczór.

— Owszem, wychodził raz do telefonu. Mniej więcej o jedenastej.

— Nie słyszał pan, o czym rozmawiał?

— Nie. — Wzruszył ramionami. — Nie sądziłem... — Głos mu uwiązł w gardle. — No, wie pani.

— Zatem telefonował o jedenastej, a w pół godziny później zniknął.

Ross podeszła do drzwi i wyjrzała na korytarz. Widać stąd było pielęgniarki krzątające się w dyżurce, a idąc w stronę windy Benson musiał przejść obok przeszklonego pomieszczenia, w którym zawsze ktoś się znajdował. To znaczyło, że uciekł raczej inną drogą. Tylko którą? Czyżby znalazł jakieś inne wyjście?

Janet popatrzyła w drugi koniec korytarza, gdzie znajdowały się drzwi na klatkę schodową. Mógł tamtędy dostać się na dół. Tylko czy był w stanie zejść z szóstego piętra? Z pewnością musiał się czuć bardzo osłabiony. A poza tym, gdyby nawet znalazł się w holu na parterze, z obandażowaną głową i w szpitalnym szlafroku powinien zwrócić na siebie uwagę recepcjonistki.

— Nie rozumiem — rzekł policjant, który tuż przy niej wyglądał na korytarz. — Dokąd on mógł pójść?

— To bardzo sprytny facet — powiedziała.

Uderzyło ją nagle coś, na co dotychczas nie zwróciła większej uwagi. Dla policji Benson był łobuzem oskarżonym o ciężkie pobicie, jednym z setek typków, jacy zatruwali im życie każdego dnia. Dla personelu szpitala natomiast był człowiekiem chorym, nieszczęśliwym, chociaż niebezpiecznym, z wyraźnymi objawami psychozy. Wszyscy zdawali się jednak zapominać, że Benson jest niezwykle inteligentny. Jego prace z zakresu programowania komputerów daleko wyprzedzały projekty nawet najtęższych umysłów w tej dziedzinie. Podczas wstępnych badań psychologicznych jego współczynnik IQ został określony na 144 punkty. Z pewnością ten człowiek był zdolny do tego, żeby zaplanować swą ucieczkę w najdrobniejszych szczegółach. Zapewne podsłuchiwał pod drzwiami, złowił rozmowę policjanta z pielęgniarką, a kiedy się dowiedział, że ten ma zamiar wyjść po papierosy, tak wszystko zorganizował, żeby zniknąć ze szpitala w ciągu zaledwie kilku minut. Tylko jak tego dokonał?

Musiał zdawać sobie sprawę, że nigdy nie uda mu się wyjść z budynku w szlafroku. Zostawił także swoje ubrania, widocznie obawiał się, że w nich również nie ujdzie za daleko. Zwłaszcza w środku nocy. Na pewno przy wyjściu zatrzymałaby go recepcjonistka, gdyż wszyscy odwiedzający musieli opuścić szpital co najmniej trzy godziny temu.

Jak zatem sobie poradził, do cholery?

Policjant ruszył w stronę dyżurki pielęgniarek, żeby powiadomić swoich zwierzchników. Ross poszła za nim, uważnie spoglądając na mijane drzwi. Pokój siedemset dziewięć zajmował pacjent z rozległymi oparzeniami. Janet uchyliła drzwi, aby zobaczyć, czy wewnątrz nie ma nikogo oprócz niego. Pokój siedemset osiem był pusty, leżał tu pacjent po transplantacji nerki, który został wypisany tego dnia po południu. Również tam zajrzała.

Następne drzwi były opatrzone napisem: MAGAZYN. Jak w każdym oddziale chirurgicznym, trzymano tu środki opatrunkowe, zmiany pościeli i sprzęt podręczny. Ross bez wahania weszła do środka. Zrobiła kilka kroków między regałami zapchanymi butelkami z różnymi środkami dożylnymi i kartonowymi pudełkami. Dalej leżały sterylne maseczki, fartuchy gumowe, zapasowe stroje pielęgniarek i sanitariuszy...

Przystanęła nagle, kiedy ujrzała biało-niebieski szlafrok pośpiesznie wciśnięty w kąć regału. Na tej samej półce leżały białe koszule, spodnie i marynarki sanitariuszy.

Janet szybko wezwała pielęgniarkę.

\* \* \*

— To niemożliwe — oznajmił Ellis, nerwowo chodząc tam i z powrotem po dyżurce. — Absolutnie wykluczone. Minęły dopiero dwa dni od operacji, nawet mniej: półtorej doby. On nie mógł o własnych siłach stąd wyjść.

— A jednak — odparła Janet Ross. — W dodatku wykorzystał jedyny sposób, żeby się wymknąć niepostrzeżenie, a mianowicie przebrał się za sanitariusza. Potem prawdopodobnie zszedł piętro niżej i stamtąd zjechał windą do holu. Nikt nie zwrócił na niego uwagi, sanitariusze kręcą się po szpitalu przez okrągłą dobę.

Ellis miał na sobie wizytowy garnitur i białą koszulę z nadmierną ilością koronek. Poluzowany krawat mu się przekrzywił, a w dodatku Ellis nerwowo zaciągał się papierosem; Janet nigdy przedtem nie widziała, żeby on palił.

— Nadal nie mogę w to uwierzyć — rzekł. — Był przecież naszprycowany torazyną, a w dodatku...

— Nie podano mu jej — wtrąciła Ross.

— Nie podano?

— Co to jest: torazyną? — zapytał policjant, zapisując coś w notesie.

— Pielęgniarki miały wątpliwości w tej sprawie i dlatego mu jej nie podały. Od dwudziestu czterech godzin nie otrzymał ani żadnych środków uspokajających, ani trankwilizatorów.

— Chryste... — mruknął Ellis, mierząc pielęgniarki takim wzrokiem, jakby chciał je zamordować. Zatrzymał się nagle. — A bandaż? Ktoś chyba powinien zwrócić uwagę na człowieka z obandażowaną głową?

— Miał perukę — odezwał się Morris, który siedział cicho w kącie pomieszczenia.

— Żartujesz?

— Widziałem ją na własne oczy.

— Jaki był kolor włosów tej peruki? — zapytał policjant.

— Czarny — odparł Morris.

— O Jezu! — syknął Ellis.

— Skąd on wziął tę perukę? — wtrąciła Janet.

— Przyniosła mu ją znajoma, wieczorem tego dnia, kiedy go przyjęliśmy.

— Posłuchajcie — rzekł Ellis. — Nawet w peruce nie mógł zejść za daleko. Zostawił tu swój portfel z dokumentami i pieniędzmi. O tej porze trudno złapać taksówkę.

Ross popatrzyła na niego, zdziwiona, że z takim trudem przychodzi mu pogodzić się z rzeczywistością. Ellis nie potrafił wprost uwierzyć, że Benson mógł uciec ze szpitala, nie umiał zaakceptować tego, co się stało.

— Dzwonił do tej znajomej około jedenastej — powiedziała i odwróciła się w stronę Morrisa. — Pamiętasz, kto przyniósł mu tę perukę?

— Bardzo ładna dziewczyna.

— Ale jak się nazywała? — parsknęła Janet, uśmiechając się ironicznie.

— Angela Black — odparł spokojnie Morris.

— Zobacz, czy nie ma jej numeru w książce telefonicznej.

Morris zaczął przerzucać kartki, gdy nagle zadzwonił telefon.

Ellis podniósł słuchawkę, przez chwilę słuchał w milczeniu, wreszcie wyciągnął ją w kierunku Janet.

— Słucham.

— Zrobiłem tę ekstrapolację komputerową — powiedział Gerhard. — Widać wszystko jak na dłoni. Miałaś rację. Benson jest uwarunkowany pozytywnie na działanie wszczepionego mikrokomputera. Częstotliwość stymulacji układa się idealnie na krzywej teoretycznej.

— Cudownie — mruknęła Ross, spoglądając to na Ellisa, to na Morrisa i policjanta. Wszyscy wpatrywali się w nią z napięciem.

— Jest dokładnie tak, jak mówiłaś — kontynuował Gerhard. — Widocznie Bensonowi spodobały się stymulacje elektryczne i podświadomie coraz częściej wywołuje ataki choroby. Krzywa wznosi się bardzo stromo.

— Kiedy wystąpi punkt krytyczny?

— Niedługo, zakładając, że celowo nie przerwie tego cyklu. Wątpię zresztą, czy byłby do tego zdolny. Jeśli nic się nie zmieni, około szóstej rano powinien już uzyskiwać powtarzające się raz za razem impulsy stymulacyjne.

— Ekstrapolacja dotychczasowych wyników to potwierdza? — zapytała, marszcząc brwi.

Spojrzała na zegarek, było wpół do pierwszej.

— Owszem — powiedział Gerhard. — Jeśli temu wierzyć, ciągłe generowanie impulsów stymulujących powinno się rozpocząć dokładnie o szóstej cztery.

— Dziękuję — rzuciła Ross i odłożyła słuchawkę. Powiodła spojrzeniem po wszystkich obecnych w dyżurce.

— Benson jest uwarunkowany pozytywnie na impulsy stymulujące komputera. Według krzywej ekstrapolacyjnej załamanie wystąpi około szóstej rano.

— Chryste... — mruknął Ellis, patrząc na zegar ścienny. — Mamy niecałe sześć godzin.

W drugim końcu pokoju Morris odsunął książkę telefoniczną. Połączył się już z centralą informacji.

— W takim razie proszę sprawdzić w zachodnim Los Angeles. — Przez dłuższą chwilę nasłuchiwał. — A w spisie nowo podłączonych abonentów?

Policjant zamknął notatnik. Sprawiał wrażenie poważnie zaniepokojonego.

— Czy coś niezwykłego ma się wydarzyć o szóstej?

— Tak przypuszczamy — odparła Janet.

Ellis wydmuchnął kłęb dymu.

— Dwa lata pracy — rzekł jakby do siebie — i wracamy do punktu wyjścia. — Szybкими ruchami zduził niedopałek w popielnicy. — Czy powiadomiono McPhersona?

— Tak, poleciłam do niego zadzwonić.

— To proszę sprawdzić numery zastrzeżone — rzucił Morris, a po chwili wyjaśnił: — Mówi doktor Morris ze szpitala uniwersyteckiego. To wyjątkowa sytuacja. Musimy jak najszybciej skontaktować się z Angela Black. Jeżeli...

Z wściekłością odłożył słuchawkę.

— Suka — warknął.

— Dowiedziałeś się czegoś?

Pokręcił przecząco głową.

— Nie wiemy nawet, czy Benson telefonował do tej właśnie dziewczyny — powiedział Ellis. —

Mógł przecież dzwonić do kogoś zupełnie innego.

— Bez względu na to, z kim się kontaktował, za kilka godzin ta osoba może mieć poważne kłopoty — rzekła Ross, sięgając po kartę chorobową Bena. — Zapowiada się długa noc, lepiej bierzmy się czym prędzej do pracy.

Na autostradzie panował wzmożony ruch — ale tutaj zawsze było tłoczno, nawet w piątki nad ranem czy o pierwszej w nocy. Janet Ross spoglądała na ciągnące się przed nią szeregi czerwonych świateł samochodów, przypominające luminescencyjnego węża o długości kilku kilometrów, i zastanawiała się, dokąd ci wszyscy ludzie zmierzają o tej porze.

Lubiła jeździć samochodem, a dość często zdarzało jej się wracać ze szpitala do domu nocą — z podziwem patrzyła wówczas na wyskakujące z ciemności, zielone, odblaskowe tablice informacyjne, na liczne kładki i przejścia podziemne, oplatające autostradę swoistą pajęczyną; czuła się wtedy wolna, zapominała o kłopotach, mogąc rozwinać nadmierną prędkość. Wychowała się w Kalifornii i pamiętała z dzieciństwa budowę pierwszych autostrad. Ich sieć rosła wraz z nią, może dlatego nie umiała dostrzec w nich żadnego zagrożenia. Dla niej autostrady stały się integralną częścią krajobrazu, pozwalały rozwijać duże szybkości, pozwalały cieszyć się życiem.

Samochód jest nieodzownym sprzętem w Los Angeles — chyba najbardziej uzależnionym od urządzeń technicznych spośród wszystkich miast świata. Los Angeles nie mogłoby istnieć bez samochodów, tak samo, jak nie mogłoby istnieć bez wody doprowadzanej wielokilometrowymi rurociągami czy bez wieżowców budowanych z zastosowaniem nowoczesnej technologii. Podobne elementy stały się nieodzowne dla codziennej egzystencji miasta już na początku wieku.

Ale Ross dość wcześnie zaczęła postrzegać pewne psychologiczne konsekwencje uzależnienia człowieka od samochodu. W Los Angeles nie ma kawiarenek na chodnikach, bo nikt po tych chodnikach nie spaceruje. Tutaj zamiastką takiego lokalu, z którego można obserwować przechodniów na ulicy, jest posuwający się ciągle pojazd. Widok ulega zmianie przy każdym skrzyżowaniu, gdy zapalają się czerwone światła i ludzie mają chwilę, by spojrzeć dookoła, ale zaraz muszą jechać dalej. Jednak życie w kokonie ze stali nierdzewnej, o przyciemnionych oknach, zaopatrzonym w klimatyzację, puszyste wykładziny, sprzęt stereofoniczny i dysponującym wielką mocą, ma w sobie coś nieludzkiego. Kłóci się z pewną, głęboko zakorzoną potrzebą tworzenia wspólnot, zbierania się razem — patrzenia na innych ludzi i bycia postrzeganym.

Tutejsi psychiatrzy nauczyli się już bez trudu rozpoznawać syndrom depersonalizacji. Los Angeles to miasto emigrantów, a więc ludzi sobie obcych. Samochody jedynie nasilały to poczucie obcości, ludzie mieli coraz mniej okazji do tego, żeby wspólnie spędzać czas. Praktycznie nikt już nie chodził do kościoła, a praca w grupie nie dostarczała satysfakcji. Wszystkim doskwierała samotność, pacjenci skarżyli się na poczucie odizolowania, brak przyjaciół czy też bliskich, którzy zostali w dawnym miejscu zamieszkania. Dochodziło nawet do samobójstw, a i te często popełniano wykorzystując samochody. Policja nazywała to eufemistycznie „nieszczęśliwymi wypadkami zagubionej jednostki”. Wystarczyło odpiąć pas bezpieczeństwa i rozpędzić się do stu trzydziestu, stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Albo po prostu wcisnąć gaz do oporu... Czasami upływało wiele godzin, zanim udało się wydobyć zwłoki z pokiereszowanego wraka.

Jadąc prawie setką, Janet przecięła pięć pasm autostrady i skręciła na zjazd w kierunku Sunset. Zmierzała ku wzgórzom Hollywood, dzielnicy zwanej potocznie „Szwajcarskimi Alpami” z powodu dużej liczby mieszkających tam homoseksualistów. Odnosiła czasem wrażenie, iż do Los Angeles

ściąga ją ludzie borykający się z różnymi problemami: to miasto oferowało im swobodę za cenę samotności.

Dotarła do Laurel Canyon i ostro weszła w zakręt, aż zapiszczały opony. Snopy świateł reflektorów przecięły ciemności. Tutaj nie było żadnego ruchu, oceniła więc, że za kilka minut powinna się znaleźć przy domu Bensaona.

Teoretycznie mieli stosunkowo proste zadanie: należało tylko odnaleźć Harry'ego przed szóstą rano. Gdyby udało się go ściągnąć do szpitala, natychmiast by odłączyli wszczepiony komputer i powstrzymali narastające uwarunkowanie. Potem wystarczyłoby przetrzymać go przez kilka dni na środkach uspokajających, a następnie przełączyć komputer na inne elektrody. Tym razem wybór okazał się wyjątkowo nietrafny, lecz od początku zdawali sobie sprawę z istniejącego ryzyka. Godzili się z nim, mając nadzieję, że w każdej chwili będą mogli naprawić ewentualne błędy. Nikt nie liczył się z tym, że pacjent pozbawi ich tej możliwości.

Musieli go odnaleźć. Problem wydawał się stosunkowo prosty do rozwiązania — trzeba było sprawdzić wszystkich znajomych Bensaona. Po przejrzeniu jego akt personalnych rozdzielili między siebie zadania. Ross miała odwiedzić dom przy Laurel Canyon. Ellis pojechał do klubu Jackrabbit, lokalu ze striptizem często odwiedzanego przez Bensaona. Morris natomiast wybrał się do firmy Autotronics Inc., w której tamten pracował; wcześniej zatelefonował do prezesa spółki i poprosił go o przybycie do biura oraz otworzenie pokoju Bensaona.

Mieli się spotkać mniej więcej za godzinę, żeby omówić dotychczasowe poszukiwania i ustalić dalsze posunięcia. Mimo że ów plan wydawał się niezwykle prosty, Janet nie wierzyła w jego powodzenie. Nie umiała jednak zaproponować niczego innego.

\* \* \*

Zaparkowała wóz przed domem Bensaona i ruszyła wyłożoną łupkiem ścieżką w stronę drzwi wejściowych. Zastała je uchylone, ze środka dolatywały chichoty i śmiechy. Zapukała i otworzyła szerzej drzwi.

— Halo!

Nikt nie odpowiedział. Głośny śmiech dobiegał gdzieś z głębi domu. Janet ruszyła korytarzem. Nigdy tu nie była, choć kilkakrotnie się zastanawiała, jak Benson mieszka. Teraz, rozglądając się dokoła, pomyślała, że czegoś w tym rodzaju należało oczekiwać.

Z zewnątrz klasyczny dom o drewnianych ścianach, utrzymany w stylu ranczerskim, nie wyróżniał się niczym szczególnym, podobnie jak sam Benson. Za to wnętrze przypominało apartamenty z epoki Ludwika XVI — głębokie fotele i sofy o fantazyjnych kształtach, ściany pokryte wzorzystymi tapetami, podłogi z lakierowanych desek.

— Czy jest tu ktoś? — zawołała.



Nie było odpowiedzi, z głębi domu wciąż dobiegały śmiechy. Ruszyła w tamtą stronę. Zajrzała do kuchni wyposażonej tylko w zwykłą kuchenkę gazową bez piekarnika — nie zauważyła ani zmywarki do naczyń, ani tosterka czy choćby miksera. Żadnych nowoczesnych urządzeń, pomyślała. Widocznie w świecie Bensona nie było miejsca na jakiegokolwiek maszyny.

Okno kuchenne wychodziło na plac na tyłach domu. Dostrzegła rozległy trawnik oraz basen kąpielowy, także utrzymany w modnym, klasycznym stylu. Podwórce zalewała zielonkawa poświata podwodnych lamp rozmieszczonych w ścianach basenu. W wodzie pluskały się przy wtórze głośnego śmiechu dwie dziewczyny. Janet wyszła kuchennymi drzwiami.

Dziewczyny nawet nie zwróciły na nią uwagi; dalej przepychały się i ochlapwały wodą, popiskując z radości. Ross stanęła na brzegu basenu i zawołała:

— Czy zastałam kogoś z domowników?

Dopiero teraz ją zauważyły i przerwały zabawę.

— Szuka pani Harry'ego? — zapytała jedna z nich.

— Tak.

— Pani z policji?

— Jestem lekarzem.

Druga dziewczyna zgrabnym ruchem wyskoczyła z wody i zaczęła się wycierać olbrzymim ręcznikiem. Miała na sobie skąpe, czerwone bikini.

— Minęła się pani z nim — powiedziała. — Przykazał nam, żebyśmy nie mówiły ani słowa policji.

Oparła stopę na krzeselku, żeby wytrzeć nogę. Janet zdała sobie sprawę, że jej powolny, ostentacyjny ruch był wyrachowany, kuszący. Te dziewczęta musiały żyć ze sobą.

— Kiedy stąd wyszedł?

— Załedwie parę minut temu.

— A od jak dawna wy tu mieszkacie?

— Od tygodnia — odparła dziewczyna pozostająca w wodzie. — Harry nas zaprosił. Uważał, że będziemy dla niego miłym towarzystwem.

Druga skończyła się wycierać, zarzuciła sobie ręcznik na ramiona i powiedziała:

— Poznałyśmy go w klubie Jackrabbit. Często tam zagląda.

Ross pokiwała głową.

— To zabawny facet — dodała dziewczyna. — Zawsze coś wymyśli. Wie pani, jak był dzisiaj ubrany?

— Jak?

— W biały strój sanitariusza. Co za świrus... — pokręciła głową.

— Rozmawialiście z nim?

— Pewnie.

— Co mówił?

Dziewczyna w czerwonym bikini ruszyła w stronę domu. Ross poszła za nią.

— Nakazał, żebyśmy nic nie mówiły policji. Życzył nam też dobrej zabawy.

— Po co wrócił do domu?

— Musiał zabrać jakieś swoje rzeczy.

— Jakie rzeczy?

— Nie wiem, coś z pracowni.

— A gdzie jest ta pracownia?

— Pokażę pani.

Poprowadziła ją przez kuchnię i obszerny salon. Dreptała na bosaka, zostawiając na deskach podłogi wyraźne mokre ślady.

— Czy nie sądzi pani, że ten dom jest dziwny? Harry to naprawdę świrus. Słyszała pani kiedykolwiek te jego gadki?

— Owszem.

— To pani wie, że on ma nie po kolei w głowie. — Ruchem ręki wskazała meble w salonie. — Same starocia... Dlaczego chce się pani z nim zobaczyć?

— On jest chory — odparła Janet.

— No jasne — odparła dziewczyna. — Widziałam bandaż. Co mu się stało? Miał jakiś wypadek?

— Przeszedł operację.

— Bez żartów. Był w szpitalu?

— Tak.

— A to ci dopiero...

Poszły korytarzem w kierunku sypialni leżących w głębi domu. Dziewczyna wreszcie skręciła w prawo do jednego z pokoi, który okazał się pracownią. Pośrodku stało wielkie, klasyczne biurko ze zwykłą, żelazną lampką; na półkach piętrzyły się stosy przeróżnych rzeczy.

— Wszedł tutaj i coś zabrał.

— Nie widziałyście, co wziął?

— Nie zwracałyśmy szczególnej uwagi. Widziałam tylko, że niósł taki gruby rulon papierów. — Pokazała rękoma przybliżone rozmiary. — Naprawdę wielki. To wyglądało na rysunki techniczne.

— Rysunki?

— No tak... Wielkie arkusze białego papieru, z jednej strony zadrukowane na niebiesko jakimiś schematami.

— Czy zabrał coś poza tym?

— Owszem, metalowe pudełko.

— Jakiego typu pudełko?

Janet pomyślała, że równie dobrze mógł to być pojemnik na drugie śniadanie, jak i sporych rozmiarów walizeczka.

— To chyba skrzynka z narzędziami. Widziałam ją przez chwilę otwartą, wewnątrz były różne części i przybory.

— Nie zauważyłaś niczego szczególnego?

Dziewczyna zagryzła wargi, jakby się zastanawiała.

— No cóż... Nie widziałam dokładnie, ale...

— Tak?

— Zdaje się, że miał tam również pistolet.

— Czy powiedział, dokąd się wybiera?

— Nie.

— Może wspomniał o swoich planach?

— Nie.

— A czy powiedział chociaż, kiedy wróci?

— Nie, ale zrobił coś dziwnego. Pocałował mnie, potem pocałował Suzie, życzył nam dobrej zabawy i przykazał, żebyśmy o niczym nie mówiły glinom. A na koniec jeszcze stwierdził, że chyba już nigdy się nie spotkamy. — Dziewczyna pokręciła głową. — Wydawało mi się to zabawne. Wie pani, jaki on jest.

— Owszem, dość dobrze znam Harry'ego — mruknęła Ross. Spojrzała na zegarek: była pierwsza czterdzieści siedem. Pozostały zaledwie cztery godziny.

Pierwszą rzeczą, jaka uderzyła Ellisa, był odór — ciepły i wilgotny zaduch, jaki panuje w pomieszczeniach dla zwierząt. Z niesmakiem zmarszczył nos. Jak Benson mógł tolerować podobną atmosferę? — pomyślał.

Powiódł wzrokiem za przesuwającą się, jasną plamą światła z reflektora punktowego, która wyłowiła z ciemności parę damskich nóg w pończochach. Wśród gości rozległy się szmery. Ellis przypomniał sobie czasy służby wojskowej w Baltimore, kiedy to po raz ostatni bywał w tego typu lokalach — dusznych, skłaniających do fantazjowania, lecz także do frustracji. Kiedy pomyślał, ile lat minęło od tamtej pory, stwierdził w duchu, że czas biegnie strasznie szybko. — Oto, panie i panowie, niezwykła, wspaniała Cynthia Grzech...otka! Wielkie brawa dla naszej cudownej Cynthii!

Krąg światła rozszerzył się, ukazując w całości striptizerkę o dość pospolitych rysach, lecz wspaniałej figurze. Zagrała orkiestra. Oślepiona Cynthia zatrzepotała rżęsami i zaczęła tańczyć. Nie zwracała uwagi na rytm utworu, ale nikomu to chyba nie przeszkadzało. Ellis rozejrzał się po gościach lokalu. Byli tu głównie mężczyźni, tylko gdzieniegdzie siedziały krótko obcięte dziewczyny o wyglądzie ulicznych.

— Harry Benson? — zapytał stojący tuż obok niego kierownik. — Dość często tu przychodzi.

— Widział go pan ostatnio?

— Co to znaczy: ostatnio? — mruknął tamten i odkaszlnął. Ellis poczuł wyraźną woń alkoholu. — Wie pan co? Wolałbym, żeby w ogóle się tu nie pokazywał. Według mnie on jest stuknięty, zaczepia wszystkie dziewczęta. Pewnie zdaje pan sobie sprawę, jak trudno je teraz utrzymać? Pieprzona konkurencja...

Ellis kiwał głową, wodząc spojrzeniem po zgromadzonych mężczyznach. Wiedział doskonale, że Benson musiał się przebrać, na pewno zrzucił z siebie strój sanitariusza. Dlatego uważnie przyglądał się karkom gości, odsłoniętej skórze między włosami a brzegiem kołnierzyka. Wypatrywał choćby skrawka białego bandaża, ale nie dostrzegł go u nikogo.

— Ale ostatnio go pan nie widział?

— Nie — odparł tamten, kręcąc głową. — Nie widziałem go chyba od tygodnia.

Obok nich przeszła kelnerka w białym futrzanym bikini, jak gdyby uszytym z króliczych skórek.

— Sal, nie widziałaś ostatnio Harry'ego? — zawołał kierownik klubu.

— Zwykle gdzieś się tu kręci — rzuciła tamta pośpiesznie, oddalając się z tacą pełną szklaneczek.

— Wolałbym, żeby już więcej się tu nie pokazywał i nie dokuczał dziewczętom — powtórzył kierownik i znów zakasłał.

Ellis ruszył w głąb sali. Strumień światła, przesuwający się za tańczącą na scenie striptizerką, wyławiał z mroku gęste smugi dymu. Cynthia musiała mieć kłopoty z rozpięciem stanika, gdyż dreptała prawie w miejscu, trzymając dłonie za plecami; wodziła niewidzącym spojrzeniem po całej sali. Patrząc na nią, Ellis zrozumiał, dlaczego Benson traktował striptizerki jak maszyny. Nie ulegało wątpliwości, że wykonywały wszystko mechanicznie. Poza tym były sztuczne — kiedy stanik w końcu opadł, Ellis natychmiast zauważył dwie długie łukowate blizny pod każdą piersią, świadczące o przebytych zabiegach chirurgicznych powiększania biustu metodą wszczepiania pod skórę plastikowych wkładek.

Pomyślał, iż powinno się to spodobać Jaglonowi, który głosił teorię, że w przyszłości będzie się uprawiało seks z maszynami. Jaglon pracował w dziale planowania i rozwoju, był owładnięty ideą sztucznej inteligencji ściśle współpracującej z umysłem człowieka.

Powtarzał ciągle, że z jednej strony chirurgia plastyczna oraz wszelkie implantowane urządzenia zbliżają człowieka do maszyny podczas gdy konstruktorzy robotów starają się tchnąć w maszyny nieco człowieczeństwa, zatem jest tylko kwestią czasu, kiedy ludzie zaczną uprawiać seks z mechanicznymi humanoidami.

Wygląda na to, że ten proces już się rozpoczął, pomyślał Ellis, spoglądając na striptizerkę. Jeszcze raz powiódł wzrokiem po sali, chcąc mieć pewność, że Bensa tu nie ma. Na końcu zajrzał do kabiny telefonicznej i wszedł do męskiej toalety.

Niewielkie pomieszczenie śmierdziało wymiocinami. Ellis skrzywił się znowu i spojrzał na swoje odbicie w popękany lustrze nad umywalką. Stwierdził w duchu, że cokolwiek by mówić o klubie Jackrabbit, to pod względem doznań zapachowych lokal był wyjątkowy. Zaciekawilo go, czy dla Bensa miało to jakiegokolwiek znaczenie.

Wyszedł z toalety i ruszył szybko w stronę drzwi.

— Znalazł go pan? — zapytał kierownik.

Ellis bez słowa pokręcił głową. Wyszedłszy na ulicę, głęboko wciągnął w płuca chłodne, nocne powietrze i wszedł do samochodu. Zafrapowało go, jak silnie oddziałują na niego wszelkie nieprzyjemne zapachy. Niejednokrotnie już zwracał na to uwagę, choć nigdy nie zastanawiał się głębiej nad tym problemem.

Operacja Bensa miała na celu regulację działania dość specyficznej części mózgu, zwanej układem rąbkowym. Ewolucyjnie jest to bardzo stary fragment, pierwotnie interpretujący odbierane wrażenia zapachowe. Nawet według dawnej terminologii nazywano go rhinencephalonem, czyli ośrodkiem powonienia.

Ta część mózgu rozwinęła się około stu pięćdziesięciu milionów lat temu, kiedy na ziemi królowały jeszcze gady. Zarządzała najbardziej prymitywnymi odruchami — wściekłością i strachem, popędem płciowym i odczuciem głodu, agresją i uległością. Takim gadom jak chociażby krokodylom podobne emocje wystarczają do życia, ale człowiek, oprócz rhinocephalonu ma jeszcze zwoje mózgowe.

Te jednak są znacznie młodsze, ich rozwój zaczął się nie dalej jak przed dwoma milionami lat, a w obecnej postaci mózg pojawił się u człowieka około stu tysięcy lat temu. W skali ewolucji to ledwie drobna chwila. Ale układ rąbkowy pozostał niezmienny, a zwoje mózgowe rozrosły się grubą warstwą wokół niego. To właśnie dzięki nim człowiek potrafi cieszyć się miłością, może ustanawiać prawa etyczne, tworzyć wiersze — ale jego rozbudowany mózg musiał niejako zawrzeć pokój z tkwiącym głęboko pod czaszką i nadal aktywnym krokodylim mózdzkiem. Czasami, tak jak w wypadku Bensona, dochodziło do złamania rozejmu i wtedy natychmiast brał górę właśnie ów prymitywny, gadzi mózdzek.

Ellis nie był pewien, czy odbieranie wrażeń zapachowych ma z tym wszystkim cokolwiek wspólnego. To prawda, że ataki epileptyczne często zaczynają się od doznania jakiejś przykrej woni. Ale czy istnieje jakiś inny związek?

Starał się odegnąć od siebie te rozważania i skupić na prowadzeniu samochodu. Jedynym problemem było teraz odnalezienie Bensona, kierującego się wskazaniem krokodylego mózdzku. Ellis raz tylko, przez półprzepuszczalne lustro, widział efekt napadu agresji podczas ataku choroby. Benson siedział wtedy dość spokojnie i nagle poderwał się na nogi, zaczął walić pięściami w ścianę, a potem uniósł krzesło i roztrzaskał je doszczętnie. Atak nadszedł zupełnie bez ostrzeżenia i objawił się wybuchem bezpodstawnej, zwierzęcej wściekłości.

Pomyślał, że do szóstej rano zostało im bardzo mało czasu.

— Co się stało? Jakiś niezwykły wypadek? — zapytał Farley, otwierając drzwi biura Autotronics.

— Można tak powiedzieć — odparł Morris.

Półgodzinne oczekiwanie na Farleya w środku nocy dało mu się we znaki i teraz trzęsły nim dreszcze.

Tamten okazał się wysokim, mocno zbudowanym i flegmatycznym mężczyzną. Morris nie mógł się doczekać, aż zaspany prezes otworzy drzwi i wpuści go do środka. W końcu weszli do budynku, Farley zapalił światła w dość skromnie urządzonej recepcji i poszedł dalej.

Autotronics Inc. zajmowało jedną, gigantyczną salę z rozmieszczonymi nieregularnie biurkami, pośrodku której stało kilka olbrzymich, błyszczących szaf jakiejś maszynerii. Morris zmarszczył brwi.

— Wiem, co pan myśli — odezwał się Farley. — Uważa pan, że straszny tu bałagan.

— Nie, skądże...

— Może i nie wygląda to najlepiej, ale zapewniam pana, że wykonujemy kawałek naprawdę dobrej roboty. — Wskazał odległy koniec sali. — Tam jest biurko Harry'ego, tuż obok BAPa.

— A co to jest BAP?

Farley machnął ręką w kierunku wielkiej, pajęczynowatej konstrukcji.

— BAP to skrót nazwy Beznadziejnego Automatu do Ping-ponga. — Uśmiechnął się. — W rzeczywistości nie jest beznadziejny, ale tak go żartobliwie nazywamy.

Morris podszedł do maszyny i okrążył ją, przyglądając się uważnie.

— To potrafi grać w ping-ponga?

— Niezupełnie — przyznał Farley. — Wciąż nad nim pracujemy. Realizujemy projekt Departamentu Obrony, zgodnie z którym powinniśmy skonstruować robota do gry w ping-ponga. Wiem, co pan myśli: że to całkiem niepoważne zadanie.

Morris wzruszył ramionami. Nie lubił, kiedy na okrągło mu powtarzano, co ma myśleć. Farley nadal się uśmiechał.

— Bóg jeden wie, do czego im to potrzebne. Oczywiście, taka maszyna miałaby ogromne możliwości. Proszę sobie wyobrazić komputer zdolny określić parametry kulistego obiektu poruszającego się szybko w przestrzeni trójwymiarowej, a następnie odbić piłeczkę zgodnie ze wszystkimi regułami, to znaczy tak, żeby spadła między białymi liniami, a nie za stołem, i tak dalej.



Wątpię, czy będą chcieli wykorzystać ten automat do gry w ping-ponga.

Przeszedł w kąt sali, otworzył drzwi lodówki, na których widniał duży pomarańczowy znak ostrzegawczy: UWAGA! PROMIENIOWANIE!, a poniżej napis: DOSTĘP TYLKO DLA UPOWAŻNIONYCH PRACOWNIKÓW, po czym wyjął ze środka dwa słoiczki.

— Napije się pan kawy? — zapytał, a dostrzegłszy zdumione spojrzenie lekarza, wyjaśnił: — To dla odstraszenia sekretarek.

Zaśmiał się głośno. Morris, nieco zdeprimowany swobodnym sposobem bycia Farleya, przez chwilę przyglądał się w milczeniu, jak tamten nasypuje rozpuszczalnej kawy do szklanek. Wreszcie podszedł do biurka Bensaona i zaczął wyciągać szuflady.

— Może mi pan wyjaśnić, co się stało z Harrym?

— To pan o niczym nie wie? — zapytał Morris.

W górnej szufladzie znajdowały się tylko przybory: papier, ołówki, linijki, kilka kartek z odręcznymi notatkami i obliczeniami. W drugiej leżały kartonowe teczki z dokumentami, głównie korespondencją służbową.

— Wiem tylko tyle, że był w szpitalu. Zgadza się?

— Owszem. Miał operację i wyszedł. Próbuje go teraz odnaleźć.

— Dzieje się z nim coś dziwnego — oznajmił Farley.

— Aha... — mruknął Morris, przerzucając papiery w teczkach. Oprócz listów znalazł jedynie trochę fachowej literatury i formularze zapotrzebowania na części.

— Pamiętam, kiedy zauważyłem to po raz pierwszy. Obchodziliśmy wówczas Tydzień Działu Wodnego.

Morris uniósł głowę znad papierów.

— Jaki tydzień?

— Działu Wodnego — powtórzył Farley. — Chce pan śmietanki do kawy?

— Nie, dziękuję.

Tamten postawił przed nim szklankę. Energicznym ruchem wymieszał swoją kawę ze śmietanką.

— Tydzień Działu Wodnego miał miejsce w lipcu tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego dziewiątego roku. Pan pewnie nawet o nim nie słyszał.

Morris przecząco pokręcił głową.

— Nikt go tak oficjalnie nie nazywał, ale to określenie utarło się w kręgach specjalistów. Każdy w naszej branży z niecierpliwością oczekiwał jego nadejścia.

— To było coś wyjątkowego?

— Przekroczyliśmy Dział Wodny. Wszyscy naukowcy zajmujący się komputerami naprawdę z uwagą wypatrywali tego momentu, który nadszedł wreszcie w lipcu tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego dziewiątego roku. Wtedy to pojemność wszystkich komputerów na świecie zrównała się z pojemnością mózgow ludzi zamieszkujących Ziemię. Ilość informacji przechowywanych w urządzeniach elektronicznych przekroczyła wówczas ten zakres wiadomości, który zdolne były pomieścić mózgi trzech i pół miliarda ludzi.

— I w ten sposób przekroczyliśmy Dział Wodny?

— Właśnie.

Morris upił nieco gorącej kawy, poparzył sobie język, ale miał nadzieję, że choć trochę się otrzeźwi.

— To ma być żart? — zapytał.

— Ależ nie, to prawda. W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym dziewiątym roku przekroczyliśmy Dział Wodny, a od tamtej pory komputery się stale rozwijają. Już w roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym piątym pod względem pojemności będą miały nad nami pięćdziesięciokrotną przewagę. — Zamilkł na chwilę. — Harry strasznie to przeżywał.

— Wyobrażam sobie.

— Właśnie od tamtej pory zrobił się bardzo tajemniczy, dziwnie się zachowywał...

Morris obrzucił spojrzeniem najróżniejszy sprzęt komputerowy znajdujący się w tej sali. Doznał niezwykłego wrażenia: po raz pierwszy przebywał w otoczeniu takiej ilości urządzeń i mógł się na własnej skórze przekonać, że popełnili pewien błąd w ocenie Bena. Zakładali bowiem, że jest on takim samym człowiekiem jak wszyscy, ale pracując wśród tylu komputerów jednak musiał być inny. Doświadczenia silnie wpływają na osobowość. Przypomniawszy sobie słowa Janet, która wielokrotnie powtarzała, że tylko według obiegowej opinii wszyscy ludzie są do siebie podobni. Przecież zdarzały się jednostki bardzo różne od przeciętnej.

Farley także zachowywał się inaczej niż większość ludzi. W innej sytuacji Morris zapewne nie chciałby nawet rozmawiać z takim beztrojskim pajacem. Zdawał sobie jednak sprawę, że tamten jest niezwykle inteligentny. Skąd się zatem wziął ten głupawy uśmiezek i komiczne maniery?

— Pan chyba nie przypuszcza, jak szybko toczą się sprawy — rzekł Farley. — Piekielnie szybko. W ciągu zaledwie kilku lat zeszliśmy z poziomu milisekund do nanosekund. ILLIAC I, skonstruowany w roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym drugim, wykonywał jedenaście tysięcy operacji arytmetycznych na sekundę. Dość dużo, prawda? ILLIAC IV, którego właśnie kończą budować, będzie wykonywał dwieście milionów operacji arytmetycznych w ciągu sekundy. To już czwarta

generacja, która nigdy by nie powstała bez udziału starszych komputerów. Przez dwa lata dwie duże maszyny pracowały na okrągło, projektując ILLIACA IV.

Morris dopił kawę. Może sprawiło to zmęczenie, a może dziwna atmosfera tej sali, niemniej zaczynał stopniowo współczuć Bensonowi. Komputery projektowały następne komputery... Kto wie, może faktycznie miały kiedyś przejąć władzę nad światem? Ciekawe, co by na to powiedziała Ross. Czy zaliczyłaby to do urojeń?

— Znalazł pan w jego biurku coś ciekawego?

— Nie — odparł Morris.

Odchylił się na oparcie krzesła i po raz kolejny omiół spojrzeniem całą salę. Próbował zachowywać się jak Benson, myśleć tak jak on... utożsamić się z nim.

— Jak on spędzał wolny czas?

— Nie mam pojęcia — odparł Farley, siadając na blacie sąsiedniego biurka. — Przez ostatnich kilka miesięcy izolował się od reszty, pracował w samotności. Wiem, że był trochę na bakier z prawem. Wiedziałem też o jego wizytach w szpitalu. Niezbyt mu się tam podobało.

— Mówił o tym? — zapytał odruchowo Morris. Wcale go nie dziwiło, że Benson z rezerwą odnosił się do szpitala.

Farley nie odpowiedział. Podeszedł do wielkiej tablicy, na której wisiały przypięte różne wycinki i fotografie, zdjął nieco pożółkły artykuł z gazety i wręczył go lekarzowi.

Była to strona z Los Angeles Times, nosząca datę 17 lipca 1969 roku. Wielki nagłówek głosił: SZPITAL UNIWERSYTECKI INSTALUJE NOWY KOMPUTER. W artykule opisywano najnowszą maszynę IBM, systemu 360, którą szpital miał zamiar wykorzystywać do prowadzenia prac badawczych, asystowania podczas operacji oraz wielu innych rzeczy.

— Zwrócił pan uwagę na datę? — zapytał Farley. — To był Tydzień Działu Wodnego.

Morris zmarszczył brwi, jeszcze raz przeglądając artykuł.

— Próbuję zachowywać się rozsądnie, doktor Ross.

— Doceniam to, Harry.

— Myślę, że to bardzo ważne, żebyśmy rozsądnie i logicznie mogli o tym wszystkim porozmawiać, prawda?

— Tak, oczywiście.

Janet siedziała ze wzrokiem utkwionym w powoli obracające się szpule magnetofonu. Naprzeciwko niej Ellis na wpół leżał na krześle, oczy miał zamknięte, a w palcach dopalał mu się papieros. Morris także przysłuchiwał się nagranej rozmowie, popijając kolejną kawę. Janet robiła notatki, próbując podsumować informacje, jakie zebrali, a także ustalić jakiś plan dalszego postępowania.

Taśma przesuwiała się z cichym szumem.

— Klasyfikuję różne rzeczy zgodnie z tym, co nazywam trendami, którym należy się przeciwstawić — mówił Benson. — Są cztery takie główne trendy. Chce pani, bym o nich opowiedział?

— Tak, oczywiście.

— Naprawdę?

— Ależ tak.

— Zatem trend numer jeden to wszechstronność komputerów. Te maszyny w niczym nie przypominają innych wytworów człowieka, gdyż każde urządzenie służy jakimś określonym celom, na przykład samochód, lodówka czy zmywarka do naczyń. Podświadomie zakładamy, że każda maszyna musi pełnić określone funkcje. Ale komputery są inne, mogą robić wiele różnych rzeczy.

— To pewne, że komputery...

— Proszę pozwolić mi dokończyć. Trend numer dwa to autonomia komputerów. Dawniej urządzenia elektroniczne nie miały żadnej autonomii; nawet przy skomplikowanym kalkulatorze trzeba siedzieć i naciskać klawisze, żeby otrzymać rezultat, a samochód nie jeździ bez kierowcy. Lecz to również uległo zmianie. Komputery zyskują coraz większą samodzielność. Można im zaprogramować cały szereg instrukcji, a potem iść na spacer.

— Harry, ja...

— Proszę mi nie przerywać, to bardzo poważne sprawy. Trend numer trzy to miniaturyzacja. Tego chyba nie muszę wyjaśniać. Komputer, który w latach pięćdziesiątych zajmowałby spore pomieszczenie, teraz zmieści się w pudełku po papierosach, a już niedługo będzie o wiele mniejszy.

Na chwilę zapadła cisza.

— Trend numer cztery... — podjął znowu Benson.

Janet wyłączyła magnetofon.

Popatrzyła na obu mężczyzn.

— W ten sposób do niczego nie dojdziemy — rzekła.

Żaden z nich się nie odezwał, obaj spoglądali na nią szklistymi ze zmęczenia oczyma. Janet znów wbiła wzrok w kartkę z notatkami:

*Benson był w domu o 0:30, zabrał jakieś schematy (?), pistolet oraz zestaw narzędzi.*

*Nie widziano go ostatnio w klubie Jackrabbit.*

*Był przerażony komputerem zainstalowanym w naszym szpitalu w VII 1969.*

— Masz jakiś pomysł? — zapytał Ellis.

— Nie — odparła. — Ale sądzę, że któreś z nas powinno porozmawiać z McPhersonem.

Spojrzała na Ellisa, który w zamyśleniu pokiwał głową. Morris tylko wzruszył ramionami.

— W porządku — rzekła. — Ja się tym zajmę.

Było wpół do piątej rano.

— Zdaje mi się, że wyczerpaliśmy wszystkie nasze możliwości. Czasu pozostało niewiele.

McPherson siedział przy swoim biurku i patrzył na nią dziwnie matowymi, zmęczonymi oczyma.

— Czego oczekujecie ode mnie? — zapytał.

— Proszę zawiadomić policję.

— Policja już wie, tuż po ucieczce Bensaona jego strażnik przekazał na komisariat wyczerpujące informacje. Domyślam się, że na szóstym piętrze roi się teraz od gliniarzy.

— Ale policja nie zna szczegółów operacji.

— Na miłość boską, przecież to oni go tu przywieźli na operację. To pewne, że wiedzą o wszystkim.

— Ale nie zdają sobie sprawy z konsekwencji.

— Bo to ich nie interesuje.

— Nie wiedzą też, że według ekstrapolacji komputerowej o szóstej nastąpi załamanie.

— I co z tego?

Janet zaczynała ogarniać złość. Szef zachowywał się jak uparty osioł, a przecież musiał dobrze wiedzieć, o co jej chodzi.

— Sądzę, że podeszliby do tej sprawy nieco inaczej, gdyby wiedzieli, że Benson będzie miał poważny atak o szóstej rano.

— Możliwe, że masz rację — odparł McPherson i poruszył się niespokojnie w fotelu. — Chyba przestaliby traktować go jak maniaka, który uciekł ze szpitala, żeby dokonać następnego napadu. Za to wzięliby go za szalonego mordercę, którego wspomaga komputer wszczepiony pod skórę. — Westchnął ciężko. — Nie mając o niczym pojęcia, będą próbowali go po prostu ująć. Jeśli powiemy im o wszystkim, postarają się go zastrzelić.

— Ale tu chodzi o niewinnych ludzi. Jeśli wynik ekstrapolacji...

— Ekstrapolacja — przerwał jej McPherson — to tylko rezultat obliczeń komputerowych. Jest na tyle dokładna, na ile dokładne były dane wejściowe, a te dane to nic innego, jak czas wystąpienia trzech kolejnych stymulacji. Przez trzy punkty można poprowadzić bardzo wiele różnych krzywych i ekstrapolować je na setki możliwych sposobów. Nie mamy żadnych powodów, aby wierzyć, że o szóstej rano Benson faktycznie się załamanie. Ściśle rzecz biorąc, może w ogóle nie dojść do żadnego załamania.

Janet odwróciła głowę i popatrzyła na plansze porozwieszane na ścianach. McPherson nakreślił dalekosiężne plany rozwoju oddziału neuropsychiatrii, nadając im charakter szczegółowych, wielobarwnych tablic, na których zaznaczał kolejne osiągnięcia. Doskonale wiedziała, ile znaczą dla niego te plany, praca całego zespołu a także sam Benson. Mimo wszystko uważała jego postawę za nierozsądną i nieodpowiedzialną.

Musiała mu to w jakiś sposób przekazać.

— Posłuchaj, Jan — odezwał się McPherson. — Zaczęłaś od stwierdzenia, że wyczerpaliśmy nasze wszystkie możliwości. Nie zgadzam się z tobą. Uważam, że powinniśmy teraz spokojnie poczekać. Sądzę, że nie możemy wykluczyć jego powrotu do szpitala. A skoro istnieje jakaś szansa, że znów będziemy mieli okazję się nim zająć, radziłbym poczekać.

— Więc nie ma pan zamiaru powiadomić policji?

— Nie.

— Naprawdę chce pan ponosić odpowiedzialność za to, że Benson w czasie ataku może znów kogoś ciężko pobić, zamiast wrócić do szpitala?

— Ja już ponoszę za to odpowiedzialność — odparł McPherson, uśmiechając się niepewnie.

Była piąta rano.

Wszyscy odczuwali już zmęczenie, ale nikomu nie chciało się spać. Siedzieli w pokoju TELEKOMP-u, obserwując, jak migający kursor wspina się wzdłuż wyznaczonej krzywej. Minęła piąta trzydzieści, następnie za kwadrans szósta.

Ellis wypalił całą paczkę papierosów i wyszedł kupić sobie następną. Morris wbijał wzrok w otwarte czasopismo, ale nawet nie udawał, że czyta. Tylko od czasu do czasu zerkał na ścienny zegar.

Ross przechadzała się nerwowo, wyglądając przez okno na wstający świt. Niebo na wschodzie jaśniało z wolna, a różowawy brzask z trudem przebijał się przez warstwę brunatnego smogu.

Wrócił Ellis z papierosami.

Gerhard oderwał się na chwilę od komputera, żeby zaparzyć świeżej kawy. Morris wstał z krzesła i poszedł za nim; nie odzywał się jednak, nie pomagał mu, tylko stał i patrzył.

Janet zwróciła uwagę na głośnie cykanie zegara. Zdziwiło ją, że do tej pory tego nie zauważyła, gdyż zegar ścienny chodził naprawdę głośno. W dodatku co minutę rozbrzmiewał jeszcze głośniejszy stuk, gdy przesuwała się wskazówka minutowa. Denerwowały ją te dźwięki, zaczęła się skupiać na cykaniu, wyczekując tego głośniejszego uderzenia, które obwieszczało kolejną pełną minutę. Dostaje obsesji, pomyślała. Zaraz też przypomniały jej się inne zaburzenia psychiczne, jakie obserwowała u siebie w przeszłości — *déjà vu*, czyli wrażenie, że już kiedyś było się w danym miejscu; depersonalizacja, złudzenie postrzegania siebie pośród ludzi jak gdyby z zewnątrz; różne omamy słuchowe, urojenia i fobie. Nie istniała żadna granica pomiędzy zdrowiem psychicznym a chorobą, pomiędzy normalnością i odchyleniami. Wszystkie elementy tworzyły ciągłe spektrum i każdy człowiek zajmował określone miejsce na tej skali. Ze swojego punktu widzenia uważało się innych za dziwaków. Dla nich wszystkich Benson był nienormalny, ale bez wątpienia on ich również traktował jak stukniętych.

Kiedy zegar wybił szóstą, zapanowało napięcie — wszyscy w milczeniu spoglądali na cyferblat, ale nie wydarzyło się nic szczególnego.

— Może stanie się to dokładnie o szóstej cztery — mruknął Gerhard.

Czekali dalej.

Zegar pokazał w końcu szóstą cztery. Nadal nic się nie działo: nie dzwonił telefon, nie przybywali posłańcy z wiadomością. Wciąż panował spokój.

Ellis powoli zerwał celofanową osłonę z paczki papierosów i zmiął ją w dłoni. Janet ten dźwięk omal nie doprowadził do szaleństwa. Ellis bez przerwy to zgniatał opakowanie, to rozprostowywał je w palcach, lecz Ross tylko głośno zgrzytnęła zębami.

Wskazówki przesunęły się na szóstą dziesięć, później na szóstą piętnaście. Wreszcie do pokoju



zajrzał McPherson.

— Na razie wszystko w porządku — rzekł, uśmiechając się niewyraźnie, po czym szybko zamknął drzwi.

Zgromadzeni w sali TELEKOMP-u popatrzyli na siebie nawzajem.

Minęło kolejnych pięć minut.

— Sam już nie wiem — oznajmił Gerhard, wpatrując się w ekran. — Może wyniki ekstrapolacji są do niczego? W końcu mieliśmy tylko trzy punkty pomiarowe. Spróbuję wyznaczyć inną krzywą.

Usiadł przed komputerem i zaczął wciskać klawisze. Na ekranie, jaskrawymi białymi liniami na zielonym tle, ukazywały się krzywe innego typu. Kiedy obliczenia dobiegły końca, Gerhard oznajmił:

— Nie, pierwsza krzywa najlepiej pasuje do rozmieszczenia punktów, współczynnik korelacji jest najwyższy.

— Zatem wychodzi na to, że komputer się myli — odparł Morris. — Już prawie wpół do siódmej, kawiarnia powinna być otwarta. Czy ktoś ma ochotę na śniadanie?

— Niezły pomysł — odezwał się Ellis, wstając z krzesła. — Idziesz, Janet?

Ross pokręciła głową.

— Zaczekam jeszcze trochę.

— Nie sądzę, żeby cokolwiek się wydarzyło — powiedział Morris. — Lepiej byś coś zjadła.

— Zaczekam tutaj! — syknęła z wściekłością, po części wbrew woli.

— Dobrze, w porządku — mruknął Morris, unosząc obie ręce.

Spojrzał porozumiewawczo na Ellisa i obaj wyszli. Janet została sam na sam z Gerhardem.

— Czy wyznaczałeś przedział ufności dla tej krzywej?

— Tak, ale to niczego nie zmienia. Już wyszliśmy poza przedział ufności. Komputer określił go na plus minus dwie minuty z prawdopodobieństwem dziewięćdziesięciu dziewięciu procent.

— To znaczy, że załamanie powinno wystąpić między szóstą dwie a szóstą sześć?

— Tak, dokładnie. — Wzruszył ramionami. — Ale, jak widać, nic takiego się nie stało.

— Możliwe, że jedynie niczego jeszcze nie wykryto.

— To prawda. — Gerhard pokiwał głową, ale sprawiał wrażenie niezbyt przekonanego.

Janet obejrzała się w stronę okna. Słońce stało już dość wysoko, zalewając krajobraz czerwonym blaskiem. Dlaczego wschody słońca są zawsze mniej efektowne, jak gdyby przytłumione w porównaniu z zachodami? — pomyślała. Przecież powinny być identyczne.

Za jej plecami rozległ się nieprzyjemny, mechaniczny pisk.

— Oho — mruknął Gerhard.

Janet odwróciła się.

— Co to za sygnał?

Wskazał jej niewielką skrzynkę umieszczoną nad półką w rogu pokoju, połączoną kablem z aparatem telefonicznym. Na jej obudowie świeciła zielona lampka.

— Co to jest? — zapytała.

— Linia specjalna, działająca przez okrągłą dobę. Automat udziela instrukcji pod numerem wybitym na wszystkich znaczkach ostrzegawczych.

Ross podeszła szybko i zdjęła słuchawkę z widełek. Zasłuchała się w monotony, dźwięczny głos odtwarzany z taśmy:

— ...należy zaznaczyć, że ciało nie może być poddane kremacji ani pochówkowi, dopóki nie zostanie usunięty wszczepiony pod skórę materiał radioaktywny. Jakiegokolwiek zaniedbania grożą poważnym skażeniem promieniotwórczym. Szczegółowe informacje...

Obejrzała się na Gerharda.

— Czy można to wyłączyć?

Ten wcisnął klawisz na obudowie skrzynki i monotony głos zamilkł.

— Halo! — zawołała Janet.

Przez chwilę panowała cisza, wreszcie w słuchawce rozległ się męski głos.

— Kto mówi?

— Tu doktor Ross.

— Czy pani pracuje na... oddziale badawczym neuropsychiatrii?

— Tak.

— Zatem proszę wziąć coś do pisania, podyktuję pani adres. Mówi kapitan Anders z policji Los Angeles.

Gestem pokazała Gerhardowi, żeby podał jej papier i ołówek.

— Co się stało, kapitanie?

— Zostało popełnione morderstwo — odparł policjant. — Chcielibyśmy zadać kilka pytań lekarzowi z waszego oddziału.

Przed budynkiem mieszkalnym nie opodal Bulwaru Zachodzącego Słońca stały trzy wozy policyjne. Mimo wczesnych godzin i porannego chłodu, czerwone migające światła zdążyły przyciągnąć spory tłum gapiów. Janet zaparkowała samochód i ruszyła w stronę wejścia do budynku, lecz tu zatrzymał ją młody funkcjonariusz.

— Pani tu mieszka?

— Nie, jestem doktor Ross. Kapitan Anders powiadomił mnie telefonicznie.

Policjant ruchem głowy wskazał jej windę.

— Drugie piętro, korytarzem na lewo — rzekł.

Gapie, którzy próbowali zajrzeć w głąb klatki schodowej i przekazywali sobie szeptem jakieś plotki, odprowadzili ją do windy podejrzliwymi spojrzeniami. Ciekawe, za kogo mnie biorą, pomyślała Ross. Rozbłyskujące rytmicznie światła wozów policyjnych zalewały hol niesamowitą, czerwoną poświatą. Nadszedła wreszcie winda. Ross wsiadła, drzwi zasunęły się za nią.

Wnętrze było dość obskurne, ściany oklejono tapetą drewnopodobną, a zieloną wykładzinę na podłodze pokrywały setki plam. Czekała niecierpliwie, aż drzwi otworzą się na drugim piętrze. Janet stwierdziła w duchu, że w takim domu mieszka zapewne najróżniejsza biedota, pedały, narkomani i bezrobotni, którym ledwie starcza na opłacenie miesięcznego czynszu. Ale tu z pewnością można było wynająć lokal tylko na miesiąc.

Wysiadła z windy i ruszyła korytarzem w stronę gromadki policjantów stojących przed drzwiami jednego z mieszkań. Znowu została zatrzymana i musiała powtórzyć, że ma się spotkać z kapitanem Andersem. Udzielono jej wyczerpującej instrukcji, że nie powinna niczego dotykać, wreszcie wpuszczono do środka.

Dwupokojowe mieszkanie urządzone było w stylu pseudohiszpańskim. Wewnątrz kręciło się ze dwudziestu mężczyzn — szukali odcisków palców, fotografowali, mierzyli, oglądali różne przedmioty. Aż trudno było sobie wyobrazić, jak naprawdę ktoś tu przedtem mieszkał.

Anders podszedł do niej. Był to młody, trzydziesto kilkuletni mężczyzna w klasycznym, ciemnym garniturze. Miał dość długie włosy spadające mu na kark i nosił okulary w rogowej oprawie. Wyglądał na wykładowcę z wyższej uczelni. Janet przemknęło przez myśl, że to dziwne, jak wygląd człowieka wpływa na kojarzenie go z jakąś profesją.

— Pani doktor Ross? — zapytał miękko głosem.

— Tak.

— Kapitan Anders. — Mocno uściśnął jej dłoń. — Dziękuję, że pani przyjechała. Ciało leży w sypialni, zajmują się nim pracownicy koronera.

Wprowadził ją do sąsiedniego pokoju. Zabita — w przybliżeniu dwudziestoletnia dziewczyna — leżała naga na tapczanie, miała liczne rany na całym ciele. Pościel była przesiąknięta krwią, a w sypialni unosił się jej mdlący, słodkawy odór.

Pokój nosił wyraźne ślady walki — przewrócone krzesło przy stoliku, kosmetyki porozrzucone po podłodze, połamana nocna lampka. Wokół tapczanu uwijało się sześciu mężczyzn, lekarz z wydziału medycyny kryminalnej wypełniał akt zgonu. Podeszli do niego.

— To jest doktor Ross — powiedział Anders. — Proszę jej opowiedzieć o tym wypadku.

Tamten wskazał zwłoki na tapczanie.

— Brutalne pobicie, jak widać. Silne uderzenie w lewą skroń spowodowało pęknięcie czaszki i natychmiastową utratę przytomności. Zadano je tą nocną lampką, świadczą o tym ślady krwi oraz kilka włosów na podstawce.

Janet popatrzyła na złamaną lampkę i znów przeniosła wzrok na martwą dziewczynę.

— A pozostałe urazy?

— Powstały później, prawdopodobnie już po jej śmierci, której bezpośrednią przyczyną było uderzenie podstawą lampy. Zginęła od jednego ciosu w skroń.

Ross przyjrzała się głowie denatki. Wyraźne wgniecenie z boku nadawało jej kształt pękniętej piłki, z której powoli uchodzi powietrze, zniekształcając jednocześnie dość przyjemne rysy twarzy.

— Proszę zwrócić uwagę — rzekł lekarz, podchodząc bliżej tapczanu — że ofiara jest tylko częściowo umalowana. Według naszej rekonstrukcji, siedziała tam, przed lustrem, i malowała sobie twarz. Cios, zadany z boku i z góry, zwałił ją z krzesła; jednocześnie ręką musiała zrzucić kosmetyki. Potem morderca ją podniósł... — lekarz rozłożył ręce i zmarszczył brwi, demonstrując wysiłek, z jakim dźwignięto z podłogi bezwładne ciało — ...przeciągnął i ułożył na łóżku.

— Więc musiał to być ktoś silny?

— O tak, z pewnością mężczyzna.

— Skąd o tym wiecie?

— W syfonie odpływu wody spod prysznicza znaleziono dwa rodzaje włosów łonowych. Jedne należały do niej, drugie do mężczyzny. Jak pani zapewne wiadomo, męskie włosy łonowe mają przekrój kolisty, kobiece natomiast są eliptyczne.

— Nie wiedziałam o tym — odparła Ross.

— Mogę pani udostępnić literaturę, jeśli pani sobie życzy — powiedział lekarz. — Nie ulega też wątpliwości, że denatka miała przed śmiercią stosunek z mordercą. Na podstawie próbki nasienia określiliśmy jego grupę krwi: A0. Wygląda na to, że po stosunku mężczyzna wziął prysznic, a potem

wrócił do sypialni i zabił dziewczynę.

Janet pokiwała głową.

— Po zadaniu śmiertelnego ciosu morderca podniósł ją z podłogi i ułożył na tapczanie. Wtedy nie mogła jeszcze zbyt silnie krwawić. Nie ma śladów krwi ani przed lustrem, ani na dywanie. Ale mężczyzna jakimś ostrym narzędziem zadał nieprzytomnej ofierze kilka ciosów w brzuch. Proszę zwrócić uwagę, że najgłębsze rany znajdują się w dolnej części jamy brzusznej. Możliwe, że dla mordercy miało to jakiś związek z odbytym stosunkiem seksualnym ale to wyłącznie nasze domysły.

Ross ponownie przytaknęła ruchem głowy. Zauważyła, że lekarz opiera swe wnioski na przypuszczeniach, postanowiła zatem nie mówić mu więcej niż będzie to konieczne. Podeszła bliżej tapczanu i przyjrzała się ranom na brzuchu. Zadano je jakimś ostrym narzędziem, ale nie nożem, gdyż skóra wokół otworów była poszarpana.

— Nie znaleziono tego narzędzia?

— Nie.

— Jak pan sądzi, co to mogło być?

— Trudno powiedzieć. Nic specjalnie ostrego; jakiś długi i twardy przedmiot, który bez trudu wniknął daleko w głąb jamy brzusznej.

— To jeszcze jeden dowód, że mordercą był mężczyzna — wtrącił Anders.

— Tak. Przypuszczam, że chodzi o metalowy długi przedmiot, taki jak nóż do otwierania listów, rożen z opiekacza lub śrubokręt. Coś w tym rodzaju. Ale mamy tu rzecz o wiele bardziej interesującą. — Lekarz wskazał lewą rękę dziewczyny, odrzuconą w bok i także gęsto pokrytą nakłuciami. — Jak pani widzi, po zadaniu ran w brzuch, mężczyzna ponakłuwał również jej ramię, tworząc prostą, regularną linię otworów. Co więcej: dotarłszy do końca ręki nakłuwał dalej, dziurawiąc kołdrę i prześcieradło. Wszystkie te cięcia układają się w linię prostą.

Wskazał poszarpaną pościel.

— Według mnie to przejaw perseweracji, bezsensowne, automatyczne powtarzanie ruchów. Morderca zachowywał się jak maszyna zaprogramowana na wykonywanie jednej czynności...

— Zgadzam się z tym — powiedziała.

— Zakładamy więc, że mężczyzna działał jak gdyby w transie. Nie wiemy tylko, czy był to stan organiczny, czy funkcjonalny, wywołany przyczynami naturalnymi czy też czynnikami zewnętrznymi. A ponieważ dziewczyna wpuściła mordercę do swego mieszkania, ów trans musiał wystąpić dopiero później.

Janet uzmysłowiła sobie, że lekarz stara się jej zaimponować, co jeszcze bardziej ją zirytowało. Pomyślała, że nie jest to odpowiednia pora na odgrywanie Sherlocka Holmesa.

Anders wręczył jej metalowy znaczek ostrzegawczy.

— W trakcie rutynowego przeszukania miejsca zbrodni znaleźliśmy to — powiedział.

Ross obróciła znaczek w palcach i odczytała:

MAM WSZCZEPIONY STYMULATOR Z OGNIWEM ATOMOWYM. USZKODZENIE MECHANICZNE LUB OGIEŃ MOGĄ SPOWODOWAĆ UWOLNIENIE SILNIE TOKSYCZNYCH SUBSTANCJI. W WYPADKU ZRANIENIA LUB ŚMIERCI NALEŻY POWIADOMIĆ ODDZIAŁ BADAWCZY NEUROPSYCHIATRII, TELEFON (213) 6521134.

— Właśnie dlatego do was zadzwoniłem — rzekł Anders, przyglądając się jej uważnie. — My już przekazaliśmy wszystko, co wiemy. Teraz pani kolej.

— Nazywa się Harry Benson, ma trzydzieści cztery lata i cierpi na epilepsję psychomotoryczną.

Lekarz z sądówki głośno strzelił palcami.

— A niech mnie kule biją — syknął.

— Co to jest epilepsja psychomotoryczna? — zapytał Anders. W tym momencie podszedł do nich jeden z techników pracujących w drugim pokoju.

— Mamy identyfikację odcisków palców — rzekł. — Figurują we wszystkich archiwach instytucji pracujących dla Departamentu Obrony. Ten człowiek uzyskał dostęp do tajnych materiałów w roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym i jego status jest ważny aż do dzisiaj. Nazywa się Harry Benson i mieszka w Los Angeles.

— O jakiego typu dostęp do tajnych materiałów chodzi? — zapytał Anders.

— Prawdopodobnie o wejście do sieci komputerowej — wtrąciła Ross.

— Zgadza się — przyznał technik. — Od trzech lat ma status programisty zaawansowanych systemów obronnych.

Kapitan zapisywał wszystko w notatniku.

— Czy w aktach podają jego grupę krwi?

— Tak, A0.

Ross odwróciła się w stronę lekarza z sądówki.

— Macie dane tej dziewczyny?

— Nazywała się Doris Blankfurt, pseudonim sceniczny: Angela Black. Dwadzieścia sześć lat, mieszkała tu od sześciu tygodni.

— Czym się zajmowała?

— Była tancerką.

Ross pokiwała głową.

— Czy te informacje są w jakiś sposób znaczące? — zapytał Anders.

— On ma szczególne upodobanie do tancerek.

— Czuje do nich pociąg?

— Tak, a zarazem ich nie znosi — odparła Janet. — To dość skomplikowane.

Kapitan spojrzał na nią badawczo. Czyżby sądził, że próbuję go wykołować? — pomyślała.

— A w dodatku cierpi na jakiś rodzaj epilepsji?

— Tak, epilepsję psychomotoryczną.

Anders zapisał to w notesie.

— Będę potrzebował dokładniejszych wyjaśnień.

— Oczywiście.

— Przydałyby się też jakieś fachowe opisy, rysunki...

— Mogę to wszystko panu dostarczyć.

— Jak najszybciej.

Janet skinęła głową. Jej wcześniejsze uprzedzenia do policji i niechęć do współpracy teraz nagle zniknęły. Spoglądając na zwłoki dziewczyny ze zgruchotaną czaszką, wyobrażała sobie, jak silny cios musiał spowodować jej śmierć.

Zerknęła na zegarek.

— Jest wpół do ósmej — rzekła. — Wracam do szpitala, ale po drodze chciałabym wstąpić do domu, żeby się odświeżyć i przebrać. Możemy się spotkać albo u mnie, albo w szpitalu.

— Przyjadę do pani — odparł Anders. — Dokończenie tej pracy zajmie nam nie więcej niż dwadzieścia minut.

— W porządku — powiedziała Ross i podała kapitanowi swój adres.





Weszła pod prysznic, delektując się ukłuciami strumyków gorącej wody na całym ciele. Zamknęła oczy, rozluźniła mięśnie i głęboko wdychała powietrze przesycone parą wodną. Zawsze lubiła stać pod prysznicem, chociaż powtarzano jej, że to domena mężczyźni. Według utartych schematów mężczyźni kapali się pod prysznicem, a kobiety w wannie. Nawet doktor Ramos kiedyś jej to przypomniał. Bzdura, pomyślała. Schematy są po to, żeby się do nich nie stosować, każdy ma przecież własną osobowość.

Przypomniała wtedy, że prysznic stosowany jest do uspokajania schizofreników, których traktuje się biczami na przemian zimnej i gorącej wody. — „Czyżbyś uważała siebie za schizofreniczkę?” — zapytał wówczas Ramos i zachichotał.

Rzadko się śmiał. Janet często próbowała go rozweselić, lecz tylko wyjątkowo jej się to udawało.

Zakręciła wodę, wyszła spod prysznicza i owinęła się ręcznikiem. Przetarła zaparowane lustro i popatrzyła na swe odbicie.

— Wyglądasz koszmarnie — mruknęła i pokiwała głową, a jej odbicie odpowiedziało tym samym gestem.

Woda zmyła do reszty cień z powiek — jedyny makijaż, jaki Janet stosowała — i teraz jej oczy wydawały się nienaturalnie małe, szkliste i zmęczone. Czy na dzisiaj też jestem umówiona z Ramosem? — pomyślała.

Nie wiedziała nawet, jaki to dzień tygodnia. Minęła dłuższa chwila, zanim uzmysłowiła sobie, że to piątek. Była na nogach co najmniej od dwudziestu czterech godzin i dostrzegała u siebie wszelkie oznaki przemęczenia, które tak często obserwowwała podczas pracy na internie: kwaśne pieczenie w żołądku, ból wszystkich mięśni, wyraźne spowolnienie procesów myślowych. Nienawidziła takiego samopoczucia.

Doskonale wiedziała, co będzie dalej. Za cztery czy pięć godzin zacznie myśleć wyłącznie o odpoczynku, jej wyobraźnię bez reszty opanuje wizja miękkiego łóżka i ciepłej pościeli. Coraz więcej wysiłku będzie wymagało zwalczenie pokusy natychmiastowego zaśnięcia.

Miała nadzieję, że policja szybko odnajdzie Bensaona.

Lustro ponownie zaparowało. Janet uchyliła drzwi łazienki, żeby wpuścić nieco chłodniejszego powietrza, i przetarła szkło po raz drugi. Zaczynała od nowa malować sobie oczy, kiedy rozległ się dzwonek do drzwi.

To pewnie Anders, pomyślała. Wychyliła się i zawołała:

— Otwarte!

Wróciła do przerwanej czynności. Skończyła malować jedno oko i zrobiła krótką przerwę.

— Jeśli ma pan ochotę na kawę, to proszę nastawić wodę w kuchni — powiedziała głośno.

Bez pośpiechu pomalowała drugie oko, wreszcie owinęła się dokładniej ręcznikiem i wyjrzała z łazienki.

— Znalazł pan wszystko?! — zawołała.

W połowie długości korytarza stał Harry Benson.

— Dzień dobry, doktor Ross — powiedział miękim, łagodnym tonem. — Mam nadzieję, że w niczym nie przeszkadzam.

\* \* \*

Janet ogarnął przemożny strach. Odruchowo uściśnęła wyciągniętą rękę, ledwie zdając sobie sprawę z tego, co robi. Nie potrafiła zapanować nad przerażeniem. Czego się tak boję? — powtarzała w duchu. Przecież dobrze znam tego człowieka, wielokrotnie bywałam z nim sam na sam i ani razu nie miałam żadnego powodu do strachu.

Widocznie teraz przyczyną było zaskoczenie, niemalże szok, jakiego doznała na widok Bensona. Poza tym czuła się skrępowana, była tylko owinięta ręcznikiem, spod którego wystawały jej gołe, mokre nogi.

— Proszę chwilę zaczekać — powiedziała. — Zaraz coś na siebie włożę.

Harry pokiwał głową i wrócił do salonu. Janet przeszła do sypialni i ciężko klapnęła na łóżko. Oddychała szybko, jak po długim, wyczerpującym biegu. To tylko nerwy, pomyślała, lecz przyklejenie tej etykiety nie przyniosło jej żadnej ulgi. Przypomniała sobie sfrustrowanego pacjenta, który w podobnych okolicznościach nawrzeszczał na nią: „Niech mi pani nie mówi, że to depresja! Czuję się potwornie!”

Podeszła do szafy i wyjęła pierwszą lepszą sukienkę. Założyła ją i wróciła do łazienki, żeby sprawdzić w lustrze swój wygląd. Jak handlarka z bazaru, pomyślała, chociaż w tej chwili nie miało to żadnego znaczenia.

Odetchnęła jeszcze parę razy głęboko i wyszła, aby porozmawiać z Bensonem.

Harry stał pośrodku salonu, jak gdyby zmieszany i zakłopotany. Janet spróbowała popatrzeć na swoje mieszkanie jego oczami: modne, jak gdyby sterylne i odpychające. Nowoczesne meble o ostrych krawędziach, chromowanych ramach i czarnych, skórzanych obiciach; na ścianach modernistyczne obrazy, jaskrawe, błyszczące, wręcz dzieła sztuki maszynowej. Wszystko razem tworzyło dla niego raczej nieprzyjazne wnętrze.

— Nigdy bym nie przypuszczał, że tutaj mieszkasz — powiedział.

— Lękamy się zupełnie różnych rzeczy, Harry — odparła, starając się zachować łagodny ton. —

Napijesz się kawy?

— Nie, dziękuję.

Miał na sobie elegancki garnitur i krawat, ale czarna peruka nadawała mu odrażający wygląd, który podkreślał jeszcze wyraz oczu — hardy, pełen rezerwy; były to oczy człowieka śmiertelnie zmęczonego, znajdującego się na krawędzi załamania. Przypomniła sobie szczury, które padały z wycieńczenia przy aplikowaniu Przyjemnych impulsów stymulujących; leżały jak nieżywe pośrodku klatki, nie mając już siły, by jeszcze raz stanąć na nogach i wdusić losem przycisk wywołujący impuls.

— Jesteś sama? — zapytał Benson.

— Tak, sama.

Na jego lewym policzku, tuż pod okiem, dostrzegła niewielką szramę. Poszukała wzrokiem bandaży na głowie; ledwie je było widać, zaledwie skrawek białej materii między peruką a kołnierzykiem koszuli.

— Czy coś się stało? — zapytał.

— Nie, nic.

— Wyglądasz na zdenerwowaną.

W jego głosie pojawiło się napięcie. Widocznie przed chwilą doznał stymulacji, pomyślała. Przypomniła sobie jego nagłe pobudzenie i zainteresowanie jej osobą podczas wypróbowywania elektrod, tuż przed podłączeniem.

— Nie... Nie jestem zdenerwowana. — Uśmiechnęła się.

— Bardzo mi się podoba twój uśmiech.

Janet spojrzała na jego garnitur, szukając śladów krwi. Dziewczyna została straszliwie poraniona, Benson musiał być od stóp do głowy zbрызganym krwią, lecz teraz nie dostrzegła na ubraniu żadnych plam. Możliwe, że po dokonaniu morderstwa wykąpał się po raz drugi i przebrał.

— Zaparzę sobie kawę — powiedziała.

Czując pewną ulgę, przeszła do kuchni. Jakoś łatwiej było jej oddychać z dala od niego. Postawiła czajnik na kuchence, włączyła ją i zamyśliła się na chwilę. Musiała przede wszystkim zapanować nad sobą. Musiała też postarać się przejąć kontrolę nad sytuacją.

Zastanawiało ją to, że chociaż jego widok przed drzwiami łazienki był dla niej szokiem, to na dobrą sprawę wizyta Bensaona nie zdziwiła jej za bardzo. Niektórzy ludzie chorzy na epilepsję psychomotoryczną panicznie bali się własnej agresji.

Dlaczego jednak Benson nie wrócił do szpitala?

Przeszła z powrotem do salonu. Harry stał przy oknie i patrzył na panoramę miasta, które stąd rozciągało się na wiele kilometrów we wszystkich kierunkach.

— Jesteś zła na mnie?

— Ja? Dlaczego miałabym być zła?

— Za to, że uciekłem ze szpitala.

— A dlaczego uciekłeś, Harry?

Janet powoli odzyskiwała spokój, czuła, że może powstrzymać Bensa. To należało do jej obowiązków. Bywała już sam na sam z ludźmi o wiele groźniejszymi od niego. Przypomniała sobie półroczną praktykę w szpitalu stanowym w Cameron, gdzie miała do czynienia z psychopatami i wielokrotnymi zabójcami: niezwykle ciekawymi i zajmującymi, ale także przerażającymi.

— Dlaczego? Bo tak mi się podobało.

Harry uśmiechnął się i usiadł na krześle. Obrócił się w jedną i drugą stronę, po czym wstał i usiadł na sofie.

— Twoje meble są strasznie niewygodne. Jak możesz mieszkać w tak nieprzyjemnym otoczeniu?

— Mnie się to podoba.

— Trudno się tu czuć jak w domu.

Spojrzał na nią dziwnie wyzywająco. Janet znowu poczuła strach. Dla Bensa to otoczenie było odpychające, co w każdej chwili groziło wywołaniem napadu wściekłości.

— Jak mnie znalazłeś, Harry?

— Jesteś zaskoczona, że znam twój adres?

— Owszem, zdziwiłam się trochę.

— Pomyślałem o wszystkim — odparł. — Jeszcze zanim poszedłem do szpitala, sprawdziłem, gdzie mieszkasz. Znam także adresy Ellisa i McPhersona. Nietrudno się było tego dowiedzieć.

— Ale po co?

— Na wszelki wypadek.

— I czego się po mnie spodziewasz?

Nie odpowiedział. Znowu wstał, podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz.

— Pewnie już mnie szukają, prawda?

— Zgadza się.

— Lecz nigdy mnie nie znajdą. To olbrzymie miasto.

Czajnik w kuchni zaczął gwizdać. Janet przeprosiła Harry'ego i poszła zaparzyć kawę. Odruchowo omiotła wzrokiem szafki, szukając czegoś ciężkiego. Może zdołałabym trafić go w głowę, myślała. Pewnie Ellis by mi tego nigdy nie wybaczył, ale cóż...

— Masz na ścianie obraz przedstawiający mnóstwo różnych cyfr — zawołał Benson z salonu. — Kto go namalował?

— Niejaki Johns.

— Dlaczego człowiek miałby wypisywać same cyfry? To przecież domena maszyn...

Janet zamieszała kawę w szklance, dosypała śmietanki, wróciła do salonu i usiadła.

— Harry...

— Nie, mówię poważnie. A popatrz na ten. Co to ma przedstawiać? — postukał palcem w sąsiedni obraz.

— Harry, chodź tu i usiądź.

Patrzył na nią przez chwilę, wreszcie usiadł na sofie naprzeciwko niej. Sprawiał wrażenie spiętego, lecz zaraz uśmiechnął się swobodnie. Na krótko jego źrenice wyraźnie się rozszerzyły. Kolejna stymulacja, pomyślała Janet.

Co ona mogła zrobić w takiej sytuacji, do jasnej cholery?!

— Harry, co się stało.

— Nie wiem — odparł swobodnym tonem.

— Uciekłeś ze szpitala...

— Tak, uciekłem przebrany w biały strój pielęgniarza. Już wcześniej to zaplanowałem. Angela czekała w samochodzie.

— A potem?

— Pojechaliśmy do mojego domu. Byłem bardzo zdenerwowany.

— Dlaczego byłeś zdenerwowany?

— No cóż... Dobrze wiem, że to wszystko się niedługo skończy.

Janet nie była pewna, co właściwie Benson ma na myśli.

— Czemu miałoby się skończyć?

— Kiedy wyszedłem z domu, pojechaliśmy do jej mieszkania. Wypiliśmy trochę, kochaliśmy się, aż w końcu powiedziałem jej, jak to się skończy. Wtedy zaczęła się bać, chciała dzwonić do szpitala, poinformować, gdzie jestem...

Zapatrzył się na ścianę, cała jego swoboda w jednej chwili prysnęła. Ross nie chciała go skłaniać do zwierzeń. Dobrze wiedziała, że działał w ataku choroby i nie pamiętał zamordowania dziewczyny. W takich momentach ogarniała go całkowita amnezja. Chciała jednak za wszelką cenę podtrzymać rozmowę.

— Dlaczego uciekłeś ze szpitala, Harry?

— To się stało wczoraj po południu — rzekł, odwracając głowę w jej kierunku. — Leżałem w łóżku i nagle zrozumiałem, że wszyscy dokoła się mną opiekują. Troszczą się o mnie, obsługują niczym jakąś maszynę. Przestraszyłem się, że tak już zostanie na zawsze.

W jakimś zakamarku świadomości Janet zaczęło narastać podejrzenie. Paranoiczny lęk Bensaona przed maszynami był niczym innym, jak strachem przed zależnością, przed utratą samodzielności.

Nie miała podstaw, żeby mu nie wierzyć, iż poczuł strach przed tym, że wszyscy będą się nim opiekować. Większość ludzi nienawidziła własnych lęków.

Ale teraz Benson stał się zależny od niej. Czyżby ta sytuacja również napawała go strachem?

— Okłamaliście mnie — oznajmił niespodziewanie.

— Nikt ciebie nie okłamywał, Harry.

— Nieprawda — syknął ze złością. — Ty mnie...

Urwał i nagle znów się uśmiechnął. Źrenice ponownie miał rozszerzone, otrzymał kolejną stymulację. Powtarzało się to niezwykle często, zapewne niedługo miało nastąpić ponowne załamanie.

— Wiesz co? To najwspanialsze uczucie na świecie — rzekł.

— Jakie uczucie?

— Ten szum.

— Tak go odbierasz?

— Jak tylko świat wokół mnie robi się czarny... bzyk! I znów jestem szczęśliwy. Wspaniałe uczucie szczęścia i radości.

— To stymulacja — wyjaśniła Janet.

Siłą powstrzymywała się, żeby nie spojrzeć na zegarek. To i tak nie miało znaczenia. Co prawda Anders obiecał, że zjawi się u niej za jakieś dwadzieścia minut, ale widocznie coś go zatrzymało. Nie miała nawet pewności, czy gdyby teraz przyjechał, poradziłby sobie z Bensonem. Człowiek chory na epilepsję psychomotoryczną w chwili ataku zmienia się w potwora. Anders prawdopodobnie mógłby tylko zastrzelić Bersona, a tego właśnie Ross chciała uniknąć.

— Ale to nie wszystko — dodał Harry. — Ten szum nie zawsze jest taki przyjemny. Kiedy sprawy przybierają zły obrót, on sprawia, że... po prostu się duszę.

— A teraz także sprawy przybierają zły obrót?

— Tak — odparł i uśmiechnął się.

W tej samej chwili Janet pojęła z całą mocą, że jest zupełnie bezbronna. Wszystkie jej dotychczasowe doświadczenia w kontrolowaniu zachowań pacjentów, wszelkie nauki dotyczące ukierunkowywania potoku myśli i sterowania rozmową, w tym wypadku nie miały zastosowania. Próby uspokojenia Harry'ego logicznymi argumentami spełzały na niczym, z takim samym skutkiem mogłaby nawoływać do spokoju ofiarę gwałtu albo człowieka, który właśnie dowiedział się, że ma raka mózgu. Bensonowi mogło pomóc tylko konkretne działanie. Był całkowicie uzależniony od bezdusznej maszyny, która nieuchronnie popychała go w kierunku ataku choroby. Żadnymi słowami nie dało się jej wyłączyć.

Tylko w jeden sposób można było mu pomóc — zabierając go z powrotem do szpitala. Ale jak tego dokonać? Ross postanowiła odwołać się do jego intelektu.

— Czy ty rozumiesz, co się dzieje, Harry? Stymulacje wywołują u ciebie silne emocje, a to prowadzi do ataku epilepsji.

— Ale to takie przyjemne uczucie.

— Przecież sam powiedziałeś, że nie zawsze jest przyjemne.

— To prawda, nie zawsze.

— Nie chciałbyś, żebyśmy to naprawili?

Benson milczał przez chwilę.

— Naprawili?

— Tak. Moglibyśmy tak zmienić wszystko, żeby już nigdy nie groziły ci ataki choroby. — Janet starała się uważnie dobierać słowa.

— Sądziś, że należy mnie oddać do naprawy?



To pytanie przywiodło jej na myśl Ellisa, który czasem lubił żartować w ten sposób.

— Możemy sprawić, że będziesz się lepiej czuł, Harry.

— Ja się czuję znakomicie, doktor Ross.

— Ależ Harry, kiedy pojechaliście do mieszkania Angeli...

— Nie pamiętam, co się tam stało.

— Pojechaliście razem po tym, jak uciekłeś ze szpitala.

— Niczego nie pamiętam. Wszystkie zapisy pamięci zostały wykasowane. Na taśmach jest tylko szum. Możesz je sobie przełączyć na głośnik i sama się przekonać. — Otworzył szeroko usta i zasyczał gardłowo. — Widzisz? Został tylko szum.

— Nie jesteś maszyną, Harry — powiedziała łagodnym tonem.

— Jeszcze nie.

Poczuła skurcz żołądka. Niezwykle napięcie nerwowe uzewnętrzniało się sensacjami fizjologicznymi. Ponownie jakaś część jej umysłu odnotowała interesującą współzależność doznań fizycznych i stanów emocjonalnych. Była wdzięczna tej zimnej, profesjonalnej części swej osobowości choćby za tak krótkie chwile wytchnienia.

Ale coraz bardziej odczuwała też wściekłość na Ellisa i McPhersona, na te ich narady, podczas których nieodmiennie tłumaczyła, że wszczepienie Bensonowi urządzenia elektronicznego może jedynie nasilić jego wcześniejsze urojenia maniakalne. Lecz nikt nie chciał jej słuchać.

Żałowała, iż żadnego z nich nie ma przy tej rozmowie.

— To wy próbujecie mnie zmienić w maszynę — rzekł Benson. — Wszyscy do tego dążycie i dlatego się wam przeciwstawiam.

— Harry...

— Pozwól mi skończyć!

Jego twarz wykrzywił grymas wściekłości, który niemal natychmiast przekształcił się w przyjazny uśmiech.

Kolejna stymulacja. Teraz wyładowania następowały już co kilka minut. Gdzie się podział Anders? Czemu nikt się nią nie zainteresował? Czy miała wybiec z domu, wrzeszcząc wniebogłosy? Miała próbować dzwonić do szpitala? A może na policję?

— To bardzo przyjemne — oznajmił uśmiechnięty Benson. — To naprawdę bardzo miłe uczucie. Nic nie jest tak przyjemne, jak to. Mógłbym zostać pod wrażeniem tego szumu na zawsze, bez końca.

— Harry. Spróbuj się rozluźnić i uspokoić.

— Jestem spokojny. Ale tak naprawdę tobie chodzi o coś zupełnie innego, prawda?

— O co miałoby mi chodzić?

— Pragniesz, żebym się zmienił w pożyteczną maszynę. Chcesz, żebym pokornie słuchał rozkazów moich władców i wykonywał polecenia. Czy nie do tego właśnie dążysz?

— Nie jesteś maszyną, Harry.

— I nigdy nią nie będę. — Uśmiech zniknął nagle z jego twarzy. — Nigdy. Przenigdy!

Janet zaczerpnęła głęboki oddech.

— Harry. Chcę, żebyś wrócił do szpitala.

— Nie.

— Możemy sprawić, że poczujesz się lepiej.

— Nie.

— Zajmiemy się tobą, Harry.

— Zajmiecie się mną! — Wybuchnął gromkim, nieprzyjemnym śmiechem. — Wcale nie chcecie się zająć mną! Chcecie się zająć swoim eksperymentalnym obiektem. Was obchodzi tylko to, żeby się wykazać. Dbacie wyłącznie o swoje kariery. Nikt nie ma zamiaru zająć się mną! — Był coraz bardziej podekscytowany z wściekłością cedził słowa. — Jakże by to wyglądało, gdybyście w swoich czasopismach naukowych musieli się przyznać, że mieliście tylu a tylu pacjentów pod obserwacją przez ileś tam lat, ale jeden zginął, bo dostał świra i gliniarze go zastrzelili? To naprawdę byłoby fatalne.

— Harry...

— Tak, wiem — rzekł Benson, unosząc obie ręce. — Godzinę temu byłem chory, a potem, kiedy się ocknąłem, zauważyłem u siebie krew pod paznokciami. Wiem, że to była krew. — Popatrzył na swoje palce, potem obrócił dłonie i obejrzał paznokcie. Wreszcie dotknął obandażowanej głowy. — Podobno operacja zakończyła się pomyślnie. Ale to nie działa.

Niespodziewanie zaczął płakać. Pochylił głowę, a po policzkach zaczęły mu spływać łzy.

— To nie działa — powtórzył. — Nie rozumiem, czemu to nie działa...

Równie nagle uśmiechnął się szeroko. Następną stymulacja. Tym razem od poprzedniej nie minęła chyba nawet minuta. Ross zdawała sobie sprawę, że w każdej chwili może nastąpić załamanie.

— Ja nie chcę nikomu wyrządzać krzywdy — rzekł Harry, uśmiechając się przyjaźnie.

Janet współczuła mu serdecznie, było jej strasznie przykro, że do tego doszło.

— Rozumiem — powiedziała. — Lepiej wracajmy do szpitala.

— Nie, nie...

— Pojedziemy razem, zostanę przy tobie przez cały czas. Zobaczysz, że wszystko będzie dobrze.

— Nie sprzeczasz się ze mną!

Poderwał się na nogi, zacisnął pięści i popatrzył na nią z góry.

— Nie chcę tego słuchać... — Urwał nagle, ale tym razem uśmiech się nie pojawił.

Zaczął głośno wciągać nosem powietrze.

— Co to za smród? Nienawidzę tego zapachu. Co tak śmierdzi? Nienawidzę tego! Słyszysz mnie? Nienawidzę tego!

Ruszył w jej stronę, pociągając nosem. Wyciągnął do niej rękę.

— Harry...

— Nienawidzę tego uczucia.

Janet poderwała się na nogi i odskoczyła. Benson skręcił za nią, wciąż wyciągając rękę.

— Nie chcę tego uczucia! Nie chcę tego!

Przestał wciągać nosem powietrze. Był już w transie i jak zahipnotyzowany szedł w jej kierunku.

— Harry...

Jego twarz przemieniła się w maskę, był jak automat; ręce wyciągały się ku niej. Szedł powoli, niczym lunatyk. Poruszał się ospale i Janet postanowiła wykorzystać tę okazję, żeby uciec przed nim.

Benson chwycił nagle ciężką, kryształową popielnicę i rzucił w nią. Ross odskoczyła; popielnica trafiła w okno, posypało się szkło.

Harry dopadł jej i otoczył Janet rękoma, zamykając w niedźwiedzim uścisku. Zgniatł jej ramiona z niezwykłą siłą, aż jęknęła z bólu.

— Harry! — krzyknęła. — Harry!

Wykręciła głowę i spojrzała mu prosto w oczy, ale jego twarz wciąż przypominała maskę.

Z całej siły kopnęła go w genitalia.

Benson zacharczał, puścił ją i zgiął się w pół, z trudem łapiąc powietrze. Ross odskoczyła i sięgnęła po słuchawkę telefonu. Wykręciła numer centrali. Harry wciąż stał w miejscu i pochylony oddychał ciężko.

— Centrala.

— Proszę mnie połączyć z policją.

— Życzy pani sobie komisariat Beverly Hills czy komendę główną Los Angeles?

— Wszystko jedno!

— No cóż, w zależności...

Janet cisnęła słuchawką. Benson znów się do niej zbliżał. Od strony stolika doleciał ledwie słyszalny, piskliwy głos telefonistki:

— Halo! Halo!

Harry chwycił aparat telefoniczny i cisnął go za siebie, w głąb salonu. Zacisnął dłoń na wysokiej lampie stojącej i trzymając ją podstawą skierowaną do przodu jął zataczać tą prowizoryczną bronią szerokie łuki, ze świstem rozcinając powietrze. W pewnej chwili Janet musiała aż pochylić głowę i poczuła tylko na twarzy gwałtowny podmuch. Gdyby ją trafił z takim impetem, na pewno zabiłby na miejscu. Zginęłaby od jednego ciosu! Ta świadomość popchnęła ją do działania.

Skoczyła do kuchni. Benson odrzucił lampę i pobiegł za nią. Ross w panice zaczęła wyciągać szuflady w poszukiwaniu noża, ale znalazła jedynie mały nożyk do obierania warzyw. Gdzie, do cholery, podział się jej duży nóż kuchenny?

Harry wpadł do kuchni. Janet na ślepo cisnęła w niego garnkiem, który z łoskotem potoczył mu się do stóp. Napastnik zbliżał się do niej powoli.

Ta zimna, profesjonalna część jej świadomości działała nadal, podpowiadając jej, że popełnia wielki błąd, że ma w kuchni coś, co mogłaby wykorzystać. Ale co?

Palce Bensona zacisnęły się na jej szyi niczym stalowa obręcz. Chwyciła jego nadgarstki i bezskutecznie próbowała je odciągnąć. Zaczęła na ślepo wymachiwać nogą, ale Harry obrócił się do niej bokiem, przycisnął jej biodra do szafki i zaczął ją wyginać do tyłu.

Nie mogła się poruszyć, nie mogła złapać oddechu. Przed oczyma poczęły jej wirować wielobarwne koła. Czowała klucie w płucach, które domagały się odrobiny tlenu.

Zaczęła wodzić dłońmi po blacie szafki, próbując wymacać jakikolwiek przedmiot, którym mogłaby uderzyć Bensona, ale nic nie leżało na wierzchu.

Przeklęta kuchnia...

Wyciągnęła ręce bardziej do tyłu, wymacała obudowę zmywarki do naczyń, kuchenki mikrofalowej... urządzeń stojących pod ścianą.

W jej oczach wszystko pozieleniało, wielobarwne koła stawały się coraz większe, coraz szybciej zbliżały się do niej... Miała umrzeć w kuchni, we własnym domu...

Przeklęta kuchnia... Niebezpieczeństwa kuchni...

Nagle, kiedy już traciła przytomność, przypomniała sobie:

Mikrofale!

Nic już nie widziała, świat wokół niej przeistoczył się w mroczną czeluść. Ale władała jeszcze zmysłem dotyku. Przesunęła dłonią po obudowie kuchenki, wymacała szklaną taflę w drzwiczkach. Wyżej... Programator... Wyłącznik zegarowy...

Benson wrzasnął nagle.

Rozwarł palce zaciśnięte wokół jej szyi i Janet osunęła się na podłogę. Słyszała tylko jego dzikie wrzaski. Bardzo powoli odzyskiwała wzrok. Wreszcie dostrzegła zarys postaci Bensaona: stał, pochylony nad nią, obejmował głowę rękoma i wył jak oszalałe zwierzę.

Nie zwracał uwagi na leżącą u jego stóp kobietę, która z wysiłkiem łapała powietrze. Skręcał się i wił, ściskając dłońmi skronie. Wrzeszczał przy tym straszliwie. W końcu, nie przestając wyć, ruszył chwiejnym krokiem do salonu.

Dopiero teraz Janet Ross straciła przytomność.

Siniaki zaczynały się tworzyć szybko. Patrząc w lustro, Janet delikatnie obmacała długie, silnie zaczerwienione obrzmienia po obu stronach szyi.

— Kiedy stąd wyszedł? — zapytał Anders, który stał w drzwiach łazienki i przyglądał się jej badawczo.

— Nie wiem. Chyba zaraz po tym, jak straciłam przytomność.

Obejrzał się w stronę salonu.

— Narobił trochę bałaganu.

— Wyobrażam to sobie.

— Dlaczego się na panią rzucił?

— Dostał ataku.

— Przecież pani jest jego lekarzem...

— To nie miało znaczenia. Kiedy dostaje ataku, traci panowanie nad sobą. Całkowicie. W takiej chwili mógłby zabić nawet własne dziecko. Mieliśmy już do czynienia z podobnymi wypadkami.

Kapitan zmarszczył brwi. Janet wyobrażała sobie, ile kłopotów przysparza mu świadomość, że ma do czynienia z chorym człowiekiem. Dopóki nie widziało się na własne oczy zachowania epileptyka podczas ataku, trudno było uwierzyć, że ktokolwiek jest zdolny do tak bezpodstawnej agresji i brutalnej napaści. Coś podobnego całkowicie wykraczało poza normalne, codzienne doświadczenia, trudno było znaleźć choćby jakąś analogię.

— Aha — mruknął w końcu Anders. — Ale jednak nie zabił pani.

Niewiele brakowało, pomyślała Janet, obmacując szyję. Za kilka godzin wystąpią na skórze sine pręgi. Jak to zamaskować? przydałaby się gruba warstwa pudru, lecz ona nigdy go nie stosowała. A może założyć golf?

— Nie — powiedziała na głos — nie zabił mnie. Ale miał taki zamiar.

— Co się stało?

— Włączyłam kuchenkę mikrofalową.

Anders rozdziawił usta.

— To jest metoda na epileptyków?

— Skądże. Zakłóciłam tylko działanie elektronicznego stymulatora Bensa. Mikrofałe z kucharki silnie wpływają na funkcjonowanie obwodów elektronicznych, to dość powszechnie znany problem wśród ludzi ze stymulatorami pracy serca. Tak zwane niebezpieczeństwa kuchni są szeroko opisywane w różnych artykułach fachowych.

— Aha — mruknął kapitan.

Wyszedł do salonu, żeby zadzwonić, a w tym czasie Janet się przebrała. Założyła gruby czarny golf i szarą spódnicę, po czym wróciła do łazienki, żeby obejrzeć się w lustrze. Pręgi zniknęły pod golfem. Popatrzyła krytycznie na zestaw kolorów: czarny i szary. Nie były w jej stylu, kojarzyły się ze śmiercią i żałobą. Rozważała przez chwilę, czy się nie przebrać powtórnie, ale w końcu zrezygnowała.

Usłyszała, że Anders wciąż rozmawia przez telefon w salonie, poszła zatem do kuchni, żeby przygotować sobie coś do picia. Nie miała już ochoty na kawę. Wrzuciła do szklanki parę kostek lodu i naląła dużą porcję szkockiej whisky. Dopiero teraz dostrzegła na gładkim drewnianym blacie szafki długie rysy, będące śladami jej paznokci. Popatrzyła na swoje palce. Nie zauważyła wcześniej, że ma aż trzy złamane paznokcie.

Zamieszała trunek w szklance, przeszła do salonu i usiadła na sofie.

— Tak — mówił Anders do słuchawki. — Tak, rozumiem.. Nie, tego nie wiem.. No cóż, próbujemy...

Przez dłuższą chwilę słuchał w milczeniu. Janet wstała, podeszła do rozbitego okna i wyjrzała na zewnątrz. Słońce stało już wysoko słabo jaśniejąc za grubą warstwą brunatnego smogu wiszącego nad budynkami. To naprawdę paskudne miejsce, pomyślała. Warto się przenieść bliżej wybrzeża, gdzie jest więcej świeżego powietrza.

— Zaraz, chwileczkę — rzucił Anders ze złością. — Nie doszłoby do tego wszystkiego, gdyby wasz cholerny strażnik siedział pod drzwiami w szpitalu. Lepiej, żebyście o tym pamiętali.

Janet usłyszała głośny stuk odkładanej słuchawki i odwróciła się od okna.

— Cholerne układy — syknął kapitan.

— Nawet u was, w policji?

— Zwłaszcza w policji — odparł. — Jak tylko coś jest nie tak, natychmiast zaczynają się podchody i szukanie kozła ofiarnego.

— A tym razem chcą pana obarczyć winą?

— Na razie tylko delikatnie sondują.

Pokiwała głową, myśląc o tym, co teraz może się dziać w szpitalu. Prawdopodobnie to samo, personel szpitala nie powinien przecież być traktowany inaczej niż reszta społeczności.

Kierownictwo służb ochrony zapewne mocno się pocilo, a dyrektor już zawczasu się martwił o dalsze finansowanie. Ktoś z pracowników szpitala także miał zostać kozłem ofiarnym. McPherson był zbyt mocny, ona i Morris się nie liczyli, wypadało zatem na Ellisa, docenta. Jeśli zwalniało się z pracy docenta, znaczyło to ni mniej, ni więcej tyle, że jako samodzielny pracownik naukowy okazał się albo zbyt agresywny, albo zanadto lekkomyślny, albo za bardzo ambitny. Zwolnienie profesora było o wiele trudniejsze, wiązało się z licznymi kłopotami i rzucało cień na jego wcześniejszą nominację.

Zatem wszystko wskazywało na Ellisa. Ciekawe, czy on zdaje sobie z tego sprawę, pomyślała Janet. Niedawno kupił sobie nowy dom w Brentwood, był z niego bardzo dumny. Po tygodniu urządził wielkie party, na które zaprosił wszystkich pracowników oddziału neuropsychiatrii.

Ponownie wyjrzała za okno.

— Czy może mi pani wyjaśnić, co wspólnego ma epilepsja z elektronicznymi stymulatorami pracy serca? — zapytał Anders.

— Nic, tylko tyle, że Benson ma wszczepiony stymulator mózgowy, bardzo podobny do tych, jakie stosuje się u pacjentów z wadami serca.

Anders energicznym ruchem otworzył swój notes.

— To może lepiej proszę mi opowiedzieć wszystko od początku — rzekł. — Tylko powoli.

— Oczywiście. — Janet odstawiła szklanekę z whisky. — Czy mogę jednak najpierw zatelefonować?

Kapitan przytaknął ruchem głowy i usiadł na sofie. Ross zadzwoniła do McPhersona, a potem wyjaśniła policjantowi wszystko najprzystępniej, jak tylko umiała.



McPherson odłożył słuchawkę i zapatrzył się przez okno na pojaśniałe niebo. Słońce nie było już takie blade i zimne, jego promienie przesycały poranne powietrze ciepłem.

— Dzwoniła Ross — powiedział.

Siedzący w rogu pokoju Morris uniósł głowę.

— I co?

— Benson był u niej w mieszkaniu, ale uciekł.

Morris westchnął.

— To chyba nasz feralny dzień — mruknął McPherson i pokręcił głową, nie odrywając oczu od tarczy słonecznej. — Co prawda nie wierzę w pecha — dodał, odwracając się od okna. — A ty?

Morris odczuwał silne zmęczenie, na dobrą sprawę wcale nie słuchał.

— Co: ja?

— Wierzysz w pecha?

— No pewnie, wszyscy chirurdzy wierzą w szczęśliwe i pechowe dni.

— A ja nie wierzę — powtórzył McPherson. — Nigdy nie ufałem losowi, wierzyłem tylko w skuteczne planowanie.

Ruchem ręki wskazał porozwieszane na ścianach plansze, po czym opadł ciężko na krzesło i utkwiał w nich spojrzenie.

Te wielkie arkusze papieru, płachty o szerokości stu dwudziestu centymetrów, pokryte były starannie pokolorowanymi schematami i wykresami, przedstawiającymi kierunki rozwoju nowych technik. McPherson był z nich niezwykle dumny. Na przykład w roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym siódmym dokładnie przeanalizował trzy dziedziny: konceptualizację diagnostyki, techniki chirurgiczne oraz mikroelektronikę, po czym doszedł do wniosku, że w lipcu tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego pierwszego roku nowe zdobycze tych trzech gałęzi nauki pozwolą na skuteczne operacyjne leczenie chorych na epilepsję psychomotoryczną. Prace jego zespołu pozwoliły skrócić wyznaczony termin o cztery miesiące, niemniej określona przez niego perspektywa okazała się niezwykle trafna.

— Cholernie dokładnie — mruknął.

— Co? — zapytał Morris.

Szef pokręcił głową.

— Jesteś zmęczony?

— Owszem.

— Chyba wszyscy mamy już dość. Gdzie jest Ellis?

— Parzy kawę.

Dobry pomysł, pomyślał McPherson, przecierając piekące oczy. Zaczął się zastanawiać, czy w ogóle będzie mógł zasnąć i stwierdził, że nie usnie, dopóki Benson nie znajdzie się z powrotem w szpitalu. Pewnie potrwa to jeszcze wiele godzin, może cały następny dzień.

Ponownie spojrzął na plansze. Do tej pory wszystko szło zgodnie z jego przewidywaniami. Pierwszej implantacji dokonali cztery miesiące przed terminem. Komputerową symulację zachowania przeprowadzili nawet dziewięć miesięcy przed terminem, ale z tym nadal były jeszcze problemy. Oba programy, „Jerzy” i „Marta”, zaczęły nagle działać błędnie. A co z „Formułą Q”?

Pokręcił głową. W tych okolicznościach „Formuła Q” — jego ulubiony projekt — mógł nigdy nie zostać wcielony w życie. Zgodnie z planami, prace nad nim miały się rozpocząć w roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym dziewiątym, by po siedmiu latach znaleźć zastosowanie u ludzi. On miałby wtedy siedemdziesiąt pięć lat, gdyby dożył tego wieku, ale to już nie miało dla niego znaczenia. Liczył się wyłącznie sam pomysł, dość prosta idea, która zaintrygowała go przed laty.

„Formuła Q” stanowiła logiczne następstwo wszelkich prac prowadzonych na oddziale. Początkowo nazwano ten projekt „Formułą Don Kichota”, gdyż nikt nie wierzył w możliwość jego realizacji. McPherson miał jednak pewność, że ten niezwykle potrzebny projekt zostanie kiedyś wcielony w życie. Należało tylko uporać się z dwoma problemami: wielkości oraz kosztów.

Najnowszy sprzęt komputerowy — powiedzmy: urządzenie trzeciej generacji klasy IBM — kosztował kilka milionów dolarów i pochłaniał olbrzymie ilości energii. Zajmował także wiele miejsca, choć nawet komputer o największej konfiguracji miał tyle samo obwodów logicznych co mózg mrówki. Urządzenie o pojemności mózgu ludzkiego miałoby wielkość sporego drapacza chmur, a do jego zasilania potrzeba by tyle energii, ile zużywa półmilionowe miasto.

Rzecz jasna, przy obecnej technologii nikt nawet nie próbował zbudować takiego komputera. Trzeba było poczekać na nowe rozwiązania, a McPherson nie miał nawet cienia wątpliwości, jakie elementy zostaną użyte do skonstruowania takiej maszyny.

Żywe komórki.

Teoretycznie było to niezwykle proste. Komputer, podobnie jak i mózg człowieka, składa się z podstawowych elementów funkcjonalnych: takich czy innych komórek typu flip-flop. Z roku na rok konstruuje się coraz mniejsze zespoły elektroniczne, powstają układy scalone o coraz większej skali integracji, rozwijają się także inne gałęzie mikroelektroniki. Jednocześnie nowe urządzenia zużywają coraz mniej prądu.

Nie da się jednak zredukować rozmiarów tej podstawowej komórki w elektronice do wielkości neuronu. W jednym centymetrze sześciennym mieści się około siedemdziesięciu milionów komórek nerwowych i żadną technologiczną metodą miniaturyzacji nie osiągnie się tego przy zastosowaniu elementów sztucznych. Tak samo człowiek nigdy nie będzie w stanie skonstruować komórki zużywającej równie mało energii co neuron.

Z tych właśnie powodów komputery musiały być budowane z żywych komórek nerwowych. Już teraz istniała możliwość wyhodowania kultury neuronów tworzących odizolowany układ. Istniała też możliwość „programowania” ich kilkoma różnymi sposobami. Zatem należało oczekiwać, że w niedalekiej przyszłości pojawią się metody uzyskiwania komórek nerwowych o określonej specjalizacji oraz tworzenia między nimi specyficznych połączeń.

Przy takim założeniu nietrudno sobie wyobrazić komputer będący, powiedzmy, sześcianiem o boku długości sześćdziesięciu centymetrów i składający się z bilionów komórek nerwowych. Urządzenie takie zużywałoby stosunkowo niewiele energii, wytwarzając przy tym pewne ilości ciepła oraz chemicznych produktów przemiany materii. Ale byłby to najinteligentniejszy twór na tej planecie.

Twór odpowiadający „Formule Q”.

Prace wstępne prowadzono już w wielu laboratoriach badawczych i rządowych ośrodkach naukowych w całym kraju. Niedługo można się spodziewać pierwszych znaczących rezultatów.

Ale dla McPhersona najbardziej intrygujący wcale nie był ów superinteligentny komputer organiczny, traktował go jedynie jako produkt uboczny. Jego frapowała idea wytwarzania organicznych protez ludzkiego mózgu.

Jeśli bowiem zostanie skonstruowany organiczny komputer — twór składający się z żywych komórek nerwowych i pobierający energię z krwi przynoszącej składniki odżywcze oraz tlen — nic nie będzie stało na przeszkodzie, by wszczepić go człowiekowi. Otrzyma się wówczas istotę o dwóch mózgach.

McPherson nie potrafił sobie wyobrazić zachowania takiego człowieka. Koncentrował się na problemach technicznych, kwestiach wzajemnych powiązań, lokalizacji sztucznego mózgu czy podziale kompetencji między implantem a mózgiem naturalnym. Ale do roku osiemdziesiątego szóstego było jeszcze mnóstwo czasu, żeby uporać się z tymi problemami. Przecież w latach pięćdziesiątych ludzie także wybuchali gromkim śmiechem na myśl, że człowiek będzie kiedyś chodził po księżycu.

„Formuła Q” była na razie tylko wizją przyszłości, lecz przy zaangażowaniu odpowiednich funduszy mogła stać się rzeczywistością. I McPherson był przekonany, że właśnie tak się stanie — do czasu, kiedy Benson uciekł ze szpitala. Ten pozornie drobny fakt wszystko odmienił.

Ellis wetknął głowę przez uchylone drzwi gabinetu.

— Macie ochotę na kawę? — zapytał.

— Tak — odparł McPherson i popatrzył na Morrisa.

— Nie — mruknął tamten, podnosząc się z krzesła. — Chyba przejrzę jeszcze raz taśmy z wywiadami z Bensonem.

— Dobry pomysł — rzekł szef, choć tak naprawdę był odmiennego zdania. Zdawał sobie jednak sprawę, że Morris musi znaleźć sobie jakieś zajęcie, byle tylko zaraz nie usnąć.

Wyszli obaj i McPherson znów został sam na sam z wielobarwnymi planszami. I z własnymi myślami.

Dochodziło już południe, kiedy Ross skończyła rozmowę z Andersem. Była śmiertelnie zmęczona. Porcja whisky trochę ją uspokoiła, lecz zarazem spotęgowała uczucie senności. Pod sam koniec rozmowy Janet ledwie odnajdywała w pamięci właściwe słowa, traciła jasność myśli i wielokrotnie musiała się poprawiać, gdyż nie umiała wyrazić tego, co chciała powiedzieć. Chyba nigdy jeszcze nie czuła się tak skonana, tak otępiała z przemęczenia.

Jak na złość Anders bez końca poruszał wciąż nowe sprawy. Wreszcie zapytał:

— Jak pani sądzi, gdzie on teraz może być? Dokąd mógł się udać?

Janet pokręciła głową.

— Nie mam pojęcia. Niedawno przeszedł atak, jak my to nazywamy, jest w stanie poudarowym. Nie da się przewidzieć jego postępowania.

— Jest pani psychiatrą, zapewne wie pani prawie wszystko o Bensonie. Czy naprawdę nie może pani niczego zasugerować?

— Nie. — Boże, niech to się już wreszcie skończy, pomyślała. Czy on nie potrafi tego zrozumieć? — Trudno spodziewać się po Bensonie racjonalnego zachowania. To psychotyk, głęboko zaniepokojony, który bardzo często otrzymuje impulsy stymulacyjne i bardzo często dostaje ataków epilepsji. Jest zdolny do wszystkiego.

— Jeśli jest przerażony... — Anders urwał na chwilę. — Jak on może się zachowywać pod wpływem strachu? Co robi, gdy jest aż tak zaniepokojony?

— Proszę posłuchać. To do niczego nie prowadzi. Nic nie osiągniemy, próbując rozmawiać w ten sposób. On naprawdę jest zdolny do wszystkiego.

Czy on nie mógłby już sobie pójść, na miłość boską? — myślała. Jego pragnienie rozszyfrowania psychiki Bensaona i tym sposobem wytropienia mordercy było po prostu nierealne. Poza tym wszyscy zdawali sobie sprawę, jak to się musi skończyć. Wcześniej czy później ktoś namierzy Bensaona i go zastrzeli. On sam nawet o tym wspominał...

Zmarszczyła brwi, usiłując sobie przypomnieć jego słowa. Harry mówił coś, że to i tak zmierza już ku końcowi. Jak on się wyraził? Janet bezskutecznie próbowała odtworzyć w pamięci ten fragment rozmowy. Była wtedy zbyt przerażona, żeby zwracać uwagę na słowa.

— No to zabrnęliśmy w ślepią uliczkę — rzekł Anders. Wstał i podszedł do okna. — W każdym innym mieście szansę odnalezienia go byłyby znacznie większe niż w Los Angeles, które zajmuje powierzchnię tysiąca trzystu kilometrów kwadratowych. Jest większe od Nowego Jorku, Chicago, San Francisco i Filadelfii razem wziętych. Wiedziała pani o tym?

— Nie — odparła, niezbyt słuchając kapitana.

— Tu jest zbyt wiele kryjówek, zbyt wiele możliwości ucieczki. Za dużo dróg, za dużo lotnisk, za dużo portów. Jeśli jest sprytny, to pewnie już uciekł z miasta, wyjechał do Meksyku albo do Kanady...

— Nie robi tego.

— Więc co robi?

— Wróci do szpitala.

Przez chwilę panowało milczenie.

— Sądziłem, że pani nie jest w stanie przewidzieć jego postępowania — odezwał się w końcu Anders.

— To tylko przeczucie, nic więcej.

— W takim razie jedźmy lepiej do szpitala.

Oddział neuropsychiatrii przypominał kwaterę dowodzenia w czasie wojny. Odwiedziny pacjentów wstrzymano do poniedziałku na trzecie piętro mieli wstęp jedynie funkcjonariusze policji oraz personel szpitala. Ale nie wiadomo skąd pojawili się tam wszyscy pracownicy działu planowania i rozwoju — biegali po korytarzu z przerażeniem w oczach, jak gdyby nagle obleciał ich strach, że w jednej chwili wszelkie ich projekty naukowe i dotacje wezmą w łeb. Telefony dzwoniły bez przerwy, dziennikarze próbowali złapać któregokolwiek z lekarzy; McPherson zamknął się w swym gabinecie chyba z całą dyrekcją szpitala; Ellis kłął na każdego, kto zbliżył się do niego na odległość dziesięciu metrów; Morris gdzieś zniknął i nie można go było znaleźć; Gerhard i Richards bezskutecznie czyhali na zwolnienie się którejs z linii telefonicznych, by uzyskać połączenie z centralnym komputerem uniwersytetu i uruchomić program symulacyjny.

Całe piętro przypominało przy tym pobojuwisko — z popielniczek wysypywały się sterty niedopałków, na wszystkich stolikach i na podłodze walały się plastikowe kubeczki po kawie oraz nie dojedzone bułki z hamburgerami czy hot dogi, a niemal na oparciu każdego krzesła wisiała czyjaś marynarka. Najgorsze jednak były bez przerwy dzwoniące telefony: jak tylko ktoś odkładał słuchawkę, natychmiast aparat zaczynał terkotać ponownie.

Ross zaprowadziła Andersa do swego gabinetu, żeby w spokoju sprawdzić dane Bensona umieszczone w raporcie kryminalnym. Te same informacje były już wprowadzone do komputera, ale tu należało je umieścić w odpowiednich rubrykach.

*Mężczyzna, rasy białej, włosy czarne, oczy piwne, wzrost 173 cm, waga 64 kg, wiek 34 lata. Znaki szczególne: 3J2/3 peruka oraz 319/1 obandażowana głowa. Podejrzany może być uzbrojony w: 40/11 rewolwer. Cechy szczególne: 23/60 zachowanie nienormalne (inne) — perseweracja. Motyw zbrodni: 23/86 choroba psychiczna.*

Janet westchnęła.

— Widzę, że mieliście kłopoty z umieszczeniem go we właściwej kategorii.

— Bo nikt nie pasuje do tych schematów. Możemy mieć jedynie nadzieję, że ten opis jest wystarczająco szczegółowy do identyfikacji Bensona. Rozesłaliśmy też jego zdjęcie, kilkaset odbitek jest w tej chwili rozdawanych policjantom pełniącym służbę na ulicach. To powinno nam ułatwić zadanie.

— I co dalej?

— Musimy czekać. Chyba że przychodzi pani do głowy jeszcze jakieś miejsce, gdzie Benson mógłby się ukrywać.

Janet pokręciła głową.

— Więc będziemy tu na niego czekać — powiedział Anders.

Obszerną, nisko sklepioną salę wyłożoną białymi kafelkami zalewało jaskrawe światło jarzeniówek. Pod ścianą stało rzędem sześć metalowych stołów, z których każdy miał rynienkę ściekową do zlewu. Pięć z nich było pustych, na ostatnim zaś spoczywały zwłoki Angeli Black. Dwóch policyjnych patologów, w asyście Morrisa, wykonywało autopsję.

Morris wielokrotnie uczestniczył w oględzinach zwłok, lecz autopsje prowadzone przez chirurgów wyglądały zupełnie inaczej. W tym wypadku patolodzy poświęcili prawie pół godziny na dokładne oględziny ciała i wykonali wiele zdjęć, zanim przystąpili do sekcji. Szczególnie uważnie badali nakłucia, które na podstawie wyglądu zewnętrznego określili jako „rany szarpane”.

Jeden z lekarzy wyjaśnił, że musiały one zostać zadane tępym narzędziem, które nie przecięło skóry, a tylko ją przebiło i rozerwało, wnikając w głąb ciała. Pokazali mu także, iż drobnutkie włoski na skórze w kilku miejscach były posklejane i wciśnięte w głąb rany, co również świadczyło o tym, że nakłucia wykonano tępym przedmiotem.

— Co to mogło być? — zapytał Morris.

Obaj pokręcili głowami.

— Trudno powiedzieć. Zbadamy dokładnie przekrój rany. Określenie głębokości zadanego nakłucia okazało się dość trudne. Skóra jest elastyczna i ma tendencję do zamykania się wokół rany, a wszystkie tkanki wewnętrzne — tak samo w żywym ciele, jak i tuż po śmierci — szybko się zablizniają. Prace posuwały się w żółtym tempie. Morris odczuwał wycieńczenie, piekły go oczy. W pewnym momencie przeszedł do sąsiedniego pomieszczenia, w którym policjanci dokładnie opisywali przedmioty znalezione w torebce ofiary, rozsypane teraz na wielkim stole.

Zajmowało się tym trzech funkcjonariuszy: jeden sporządzał raport, drugi opisywał przedmioty, trzeci zaś umieszczał je w plastikowych torebkach. Morris przyglądał się im w milczeniu. Na stole leżały zwykłe podręczne drobiazgi: szminka, kosmetyczka, kluczyki do samochodu, portmonetka, chusteczki higieniczne, guma do żucia, pigułki antykoncepcyjne, notes z adresami, długopis, cienie do powiek, spinka do włosów. A także dwie paczki zapalek.

— Dwie paczki zapalek — powiedział na głos policjant. — Obie z napisem „Airport Marina Hotel”.

Morris westchnął. Gliniarze z niezwykłą cierpliwością, pieczołowicie wykonywali swoje zadanie. Panowała tu taka sama atmosfera, jak w sali sekcji. Czy oni naprawdę sądzą, że w ten sposób coś odkryją? — pomyślał. Jemu ta flegmatyczna rutyna wydawała się nie na miejscu. Janet Ross zawsze wypominała chirurgom gwałtowność, konieczność natychmiastowego działania i niecierpliwość. Podczas któregoś z zebrań oddziału, kiedy omawiali kolejną kandydaturę — kobiety o nazwisku Worley — do przeprowadzenia operacji trzeciego stopnia, Morris wyraził zdanie, że mimo pewnych przeciwwskazań natury psychicznej jest to pacjentka świetnie nadająca się do zabiegu chirurgicznego. Ross wyśmiała wówczas jego „działanie pod wpływem impulsu”. Wtedy niemal



dosłownie był gotów ją zadusić, a ów morderczy instynkt zaniknął dopiero wówczas, gdy Ellis — tym charakterystycznym, rzeczowym tonem — oznajmił, że faktycznie pani Worley nie jest najlepszą kandydatką do przeprowadzenia operacji. Morris poczuł się wtedy upokorzony, chociaż McPherson poparł jego stanowisko, twierdząc, że warto dokładniej rozważyć sytuację tej pacjentki, umieścić ją na liście ewentualnych kandydatów do zabiegu i zaczekać jeszcze przez jakiś czas.

Działanie pod wpływem impulsu, przypomniał sobie teraz słowa Janet. Do diabła z nią.

— Lotnisko Marina? — zapytał jeden z policjantów. — Czy to nie jest ten sam hotel, w którym mieszkają wszystkie stewardesy?

— Nie wiem — odparł drugi.

Do Morrisa ledwie docierały ich słowa. Przetarł oczy i stwierdził, że jednak powinien się napić kawy. Był na nogach od trzydziestu sześciu godzin i nie mógł już opanować senności.

Wyszedł z pokoju i poczłapał na górę, żeby poszukać jakiegoś ekspresu do kawy. Powtarzał sobie, że musi gdzieś tu być, że nawet gliniarze piją kawę. Nagle zatrzymał się w pół kroku. Przeszył go dreszcz.

Przypomniał sobie coś mającego związek z lotniskiem Marina.

To właśnie tam po raz pierwszy aresztowano Bensaona pod zarzutem pobicia mechanika lotniczego — a dokładniej stało się to w barze hotelu przy lotnisku. Morris był tego całkowicie pewien.

Spojrzał na zegarek i szybkim krokiem wyszedł na parking. Chciał się pospieszyć, żeby nie utknąć w porannym korku na drodze dojazdowej do lotniska.

\* \* \*

Kiedy zjeżdżał z autostrady na Airport Boulevard, nisko nad nim z rykiem przeleciał samolot podchodzący do lądowania. Minął ciąg barów, moteli i biur wynajmu samochodów. W radiu spiker recytował monotonnym głosem:

— Na autostradzie do San Diego miał miejsce karambol, ciężarówki blokują trzy pasma ruchu w kierunku północnym. Według wyliczeń komputerowych średnia prędkość ruchu na tej trasie wynosi dwadzieścia kilometrów na godzinę. Na południowym odcinku autostrady do San Bernardino, nieopodal zjazdu na Exeter, rozbity samochód blokuje lewy pas ruchu. Według wyliczeń komputerowych średnia prędkość ruchu na tej trasie wynosi pięćdziesiąt kilometrów na godzinę...

Morrisowi przyszedł na myśl Benson. Może faktycznie komputery przejmą władzę nad światem, pomyślał. Przypomniał sobie pewnego niskiego Anglika, który w trakcie wykładu w ich szpitalu stwierdził, że już niedługo operacje chirurgiczne będą mogli prowadzić nawet specjaliści przebywający na drugim kontynencie, przekazując drogą satelitarną instrukcje robotowi wykonującemu zabieg.

Jemu ten pomysł wydał się wówczas szalony, ale jego koledzy potraktowali to z pełną powagą.

— Zderzenie dwóch samochodów na szosie do Yentury, na zachód od Haskell, również w znacznym stopniu spowolniło ruch. Według wyliczeń komputerowych średnia prędkość wynosi tam trzydzieści kilometrów na godzinę...

Ku swemu zdumieniu stwierdził, że z uwagą wsłuchuje się w te komunikaty. Bez względu na sympatię dla komputerów, stan zakorkowania dróg ma pierwszorzędne znaczenie dla wszystkich mieszkańców Los Angeles. Każdy szybko się uczy odruchowo wysłuchiwać tego typu informacji, tak jak w innych rejonach kraju ludzie odruchowo zwracają uwagę na prognozę pogody.

Morris przybył do Kalifornii z Michigan. Przez kilka pierwszych tygodni nie mógł się odzwyczaić od pytania ludzi o to, jaka będzie pogoda po południu czy też następnego dnia. Wydawało mu się to zupełnie naturalne i całkowicie powszechne. Ale zamiast odpowiedzi zazwyczaj napotykał zdumione spojrzenia. Dopiero po jakimś czasie pojął, że znalazł się oto w jednym z niewielu miejsc na świecie, gdzie prognozy pogody nikogo nie interesują, gdyż jej wahania są na tyle nieznaczne, że w ogóle nie ma o czym mówić.

Odkrył za to, że samochody stanowią tu przedmiot wręcz niezdrowej fascynacji. Znajomi pytali go, czym jeździ i którądy, czy jego wóz dobrze się prowadzi, czy nie ma z nim większych kłopotów. W rozmowach dzielono się własnymi doświadczeniami zza kierownicy, złorzeczono na korki, omawiano objazdy szczególnie zapchanych ulic i stłuczki, których chyba każdy tu doświadczał. W Los Angeles wszystko, co wiązało się z ruchem ulicznym, stanowiło poważny problem, któremu ludzie poświęcali mnóstwo czasu i uwagi.

Przypomniał sobie słowa pewnego astronoma, który opisując tę idiotyczną sytuację stwierdził, że gdyby nagle w Los Angeles wylądowali Marsjanie, z pewnością doszliby do wniosku, że samochód jest dominującą formą życia na tej planecie. Było w tym sporo racji.

\* \* \*

Zaparkował przed hotelem lotniska Marina i wszedł do holu. Sam budynek był równie niezwykły jak i jego nazwa, stanowił tak normalną dla Kalifornii mieszaninę stylów — tandetne plastikowe ozdoby i neony dolepione do klasycznego japońskiego zajazdu. Poszedł prosto do baru, który teraz, o piątej po południu, świecił pustkami i tonął w półmroku. W odległym końcu dwie stewardesy rozmawiały cicho nad lampką wina; przy drugim stoliku siedziało dwóch biznesmenów; barman wpatrywał się niewidzącym wzrokiem w dal.

Morris usiadł przy barze, a kiedy tamten podszedł do niego, położył przed nim na kontuarze zdjęcie Bena.

— Czy widział pan tego człowieka?

— A o co chodzi? — zapytał barman.

Morris postukał palcem w fotografię.

— To jest bar, proszę pana. Podajemy tu trunki.

Morris odniósł dziwne wrażenie. Doświadczał podobnego czasami tuż przed rozpoczęciem operacji, kiedy czuł się tak, jakby miał odegrać rolę chirurga na planie filmowym. Teraz przyszło mu wcielić się w postać prywatnego detektywa.

— Ten człowiek nazywa się Benson. Jestem jego lekarzem, a on jest bardzo poważnie chory.

— Na co?

Morris westchnął.

— Czy widział go pan ostatnio?

— Owszem, wiele razy. Ma na imię Harry, zgadza się?

— Tak, Harry Benson. Kiedy widział go pan tutaj po raz ostatni?

— Godzinę temu. — Barman wzruszył ramionami. — Co mu dolega?

— Epilepsja. Muszę go jak najszybciej znaleźć. Nie wie pan, dokąd poszedł?

— Epilepsja? Cholera... — Tamten uniósł zdjęcie do światła i przyjrzał mu się uważnie w blasku podświetlonej reklamy piwa. — Tak, to on, nie ma wątpliwości. Ale ufarbował sobie, włosy na czarno.

— Czy wie pan, dokąd mógł pójść?

— Wcale nie wyglądał na chorego. Czy na pewno jest pan...?

— Czy wie pan, dokąd mógł pójść?!

Przez dłuższą chwilę panowała cisza. Barman patrzył na niego, zacisnąwszy usta, i Morris natychmiast pożałował tego, że podniósł głos.

— Pan wcale nie jest żadnym cholernym lekarzem. Proszę stąd wyjść.

— Potrzebuję pańskiej pomocy — rzekł Morris. — Czas odgrywa tu kolosalną rolę.

Wyjął swój portfel, wyciągnął z niego szpitalny identyfikator, karty kredytowe — każdy dokument, na którym wypisano jego zawód — i rozłożył wszystko na kontuarze. Ale barman nawet na to nie spojrzał.

— Poszukuje go także policja — dodał Morris.

— Tak przypuszczałem — odparł mężczyzna. — Domyśliłem się tego.

— Więc mogę tu sprowadzić policję i wtedy będzie pan musiał odpowiedzieć na wszystkie pytania. Może być pan także oskarżony o udzielanie pomocy mordercy. — Morris stwierdził w duchu, że jeśli to nie przekona barmana, to przynajmniej nada sytuacji nieco dramatyzmu.

Mężczyzna z namaszczeniem uniósł kartę kredytową, a po chwili odłożył ją z powrotem.

— Nie wiem nic więcej — rzekł. — Czasami tu przychodzi, to wszystko.

— I nie domyśla się pan, dokąd dzisiaj poszedł?

— Nie. Wyszli razem z Joem.

— A kto to jest Joe?

— Mechanik, pracuje na nocnej zmianie w ekipie United.

— United Air Lines?

— Tak. Niech pan posłucha, cała ta sprawa...

Ale Morris zmierzał już w stronę wyjścia.

\* \* \*

Z recepcji zadzwonił na oddział i poprosił o przywołanie kapitana Andersa.

— Mówi Anders.

— Tu doktor Morris. Jestem na lotnisku, złapałem ślad Bensona. Był tu godzinę temu, widziano go w barze Airport Marina Hotel. Wyszedł w towarzystwie mechanika o imieniu Joe, który pracował na nocnej zmianie w ekipie United Air Lines.

Przez chwilę panowała cisza, z której Morris wyłowił ciche skrzypienie ołówka.

— Zapisałem — odezwał się Anders. — Coś jeszcze?

— Nie.

— Zaraz wyślemy tam któryś z patroli. Sądzi pan, że Benson poszedł do hangaru United Air Lines?

— Możliwe.

— Dobra, zaraz wysyłam ludzi na lotnisko.

— A co z..?

Morris urwał i popatrzył na słuchawkę, z której dobiegał jednostajny dźwięk sygnału. Zaczerpnął

głęboko powietrza, próbując zdecydować, co ma dalej robić. Od tej chwili sprawą powinna zająć się policja. Benson był niebezpieczny i z tego względu należało zostawić resztę ekipie dochodzeniowej.

Z drugiej jednak strony musiało minąć trochę czasu do przybycia policji. Gdzie mógł się znajdować najbliższy komisariat? W Inglewood? W Culver City? Teraz, w godzinie szczytu, nawet na sygnale dojazd do lotniska musiał im zająć co najmniej dwadzieścia minut, a może i pół godziny.

Stwierdził, że szkoda czasu. W ciągu pół godziny Benson może opuścić teren lotniska, warto byłoby go przynajmniej odnaleźć i śledzić.

Postanowił zatem nie interweniować, a jedynie mieć oko na Bensaona.

\* \* \*

Wielki napis głosił: UNITED AIR LINES — WSTĘP TYLKO DLA PERSONELU. Przy bramie stała budka strażnicza. Morris zatrzymał samochód i wychylił się przez okno.

— Nazywam się doktor Morris, szukam Joego.

Szykował się już na udzielanie dłuższych wyjaśnień, ale strażnik odparł:

— Wjechał jakieś dziesięć minut temu. Wpisał, że udaje się do hangaru siódmego.

Morris popatrzył za ogrodzenie, na trzy olbrzymie hangary i wielki parking zastawiony autami.

— Który z nich jest siódmy?

— Ostatni po lewej. Nie mam pojęcia, po co tam wrócił. Chyba tylko po to, żeby oprowadzić gościa.

— Jakiego gościa?

— Wpisał, że towarzyszy mu... — strażnik zajrzał do rozłożonej księgi. — ...niejaki Benson. Zgadza się, pojechali do siódemki.

— A co tam jest ciekawego?

— Remontują stary DC 10. Na razie nic przy nim nie robią, czekają na nowy silnik, który ma być dostarczony w przyszłym tygodniu. Pewnie chciał znajomemu pokazać samolot.

— Dziękuję.

Wjechał przez bramę, skręcił na parking i ustawił wóz niedaleko wejścia do hangaru siódmego. Wsiadł z samochodu, ale przystanął niezdecydowany. Na dobrą sprawę nie miał pewności, czy Benson jest w środku, czy nie. Powinien to sprawdzić. Nie chciał wyjść na głupca, kiedy przyjedzie

policja, a on będzie siedział w wozie na parkingu, podczas gdy Benson zdąży stąd uciec.

Stwierdził, że musi zyskać pewność. Nie bał się — był dość młody, w dobrej kondycji fizycznej. Zawsze miał tę świadomość, iż Benson jest groźny dla otoczenia. Ufał, że może się przez to czuć bezpieczny, że najbardziej powinni się obawiać Harry'ego ci ludzie, którzy nic nie wiedzą o jego strasznej chorobie.

Postanowił rzucić tylko okiem do wnętrza hangaru, żeby się przekonać, czy Benson jeszcze tam jest. Ogarnął spojrzeniem gigantyczną budowlę, która zdawała się nie mieć żadnych drzwi, oprócz gigantycznych, zamkniętych na głucho wrót służących do wprowadzania samolotów. Jak się dostać do środka?

Wyrzął za róg. Z lewej strony, w odległym końcu krytego falistą, rdzewiejącą blachą hangaru dostrzegł zwyczajne drzwi. Wrócił do samochodu, podjechał pod nie i wysiadł. Drzwi nie były zamknięte.

Wewnątrz panowały kompletne ciemności i martwa cisza. Morris przez chwilę stał przy wejściu, a gdy usłyszał odległy, stłumiony jęk, ruszył powoli przed siebie, wodząc dłonią po ścianie w poszukiwaniu kontaktu. Dość szybko natrafił na sporych rozmiarów metalową skrzynkę, w której znajdowało się kilka wysokonapięciowych przełączników.

Pociągnął wszystkie na dół.

Powoli, jedna po drugiej, zaczęły się zapalać umieszczone bardzo wysoko, jaskrawe lampy. Jego oczom ukazał się stojący pośrodku hangaru olbrzymi samolot, w którego błyszczącym kadłubie odbijały się światła. Zdumiało go, że w zamkniętej przestrzeni maszyna wydaje się aż tak ogromna. Ruszył śmiało w jej kierunku.

Do jego uszu doleciał kolejny jęk.

W pierwszej chwili Morris nie potrafił określić, skąd on dobiega. W zasięgu wzroku nie było nikogo, nie dostrzegł żadnego ciała na betonowej posadzce. Zauważył jednak drabinkę opartą o skrzydło po drugiej stronie samolotu. Poszedł w tamtą stronę, nurkując w cień masywnego, wysmukłego ogona maszyny. Hangar wypełniały ostre, nieprzyjemne zapachy benzyny i smarów. Było tu także bardzo gorąco.

Znowu usłyszał jęk.

Przyspieszył, jego kroki odbijały się głośnym echem w gigantycznej przestrzeni hangaru. Miał wrażenie, że jęki dolatują z wnętrza samolotu. Jak się tam dostać? Morris wielokrotnie latał samolotami, lecz zawsze wchodził na ich pokład po schodkach, przez wejście w pobliżu kabiny pilotów. Ale tutaj, wewnątrz hangaru... Maszyna wydawała mu się tak wielka, tak niedostępna...

Przeszedł pod dwoma silnikami odrzutowymi zawieszonymi pod skrzydłem. Obrzucił wzrokiem gigantyczne cylindry z czarnymi turbinami w środku. Nie przypuszczał nawet, że silniki również są takie wielkie. Prawdopodobnie nigdy nie zwracał na nie uwagi.

Znów jęk.

Zaczął się wspinać po drabince. Na wysokości dwóch metrów nad posadzką znajdowało się skrzydło samolotu — szeroki, srebrzysty płat upstrzony nitami. Morris dostrzegł napis: STAWAĆ TUTAJ, wokół napisu blacha była zaplamiona krwią. Wkroczył na skrzydło i spostrzegł w pobliżu leżącego na wznak, zalanego krwią człowieka. Podszedł nieco bliżej. Twarz mężczyzny została straszliwie zmasakrowana, a jego ręka była wykręcona do tyłu pod nienaturalnym kątem.

Morris usłyszał nagle jakiś szelest za sobą. Odwrócił się szybko.

W tej samej chwili w hangarze zgasło światło.

\* \* \*

Zamarł w bezruchu. Całkowicie zdezorientowany, miał wrażenie, że zawisł w próżni, pośród nieprzeniknionych ciemności. Bał się uczynić choćby jeden krok, wstrzymał oddech.

Ranny mężczyzna ponownie jęknął, lecz poza tym panowała martwa cisza. Morris przyklęknął, chociaż sam nie wiedział po co. Dziwnym sposobem bliżej metalowej powierzchni skrzydła poczuł się bezpieczniej. Nie odczuwał jeszcze strachu, był tylko zdezorientowany.

Dopiero gdy usłyszał stłumiony chichot, zaczął się bać.

— Benson?

Odpowiedziała mu cisza.

— Benson, jesteś tam?

Znów cisza. Po chwili złowił cichy odgłos kroków na betonowej posadzce. Ktoś zbliżał się bez pośpiechu w tę stronę.

— Harry, to ja, doktor Morris.

Zamrugał szybko, próbując przeniknąć wzrokiem ciemność. Nic z tego, nadal był ślepy. Nie mógł dostrzec ani pobliskiej krawędzi skrzydła, ani zarysów gigantycznego kadłuba. Nie widział absolutnie niczego.

Odgłos kroków się zbliżał.

— Harry, chcę ci pomóc.

Jego głos zabrzmiał chrapliwie, pewnie ze strachu przed Bensonem. Morris postanowił się nie odzywać. Serce waliło mu jak młotem, oddychał szybko, z trudem łapiąc powietrze.

— Harry...

Znowu cisza, umilkły nawet odgłosy kroków. Czyżby Benson się namyślał? A może otrzymał właśnie impuls stymulujący? Może istniała szansa, że zmieni decyzję?

Nagle rozległ się inny dźwięk: metaliczny chrzęst. Całkiem blisko.

Jeszcze jeden...

Benson wchodził po drabinie!

Morris oblał się zimnym potem. Nadal nic nie widział, jak ślepiec. Był do tego stopnia zdezorientowany, że nie mógł sobie przypomnieć, w której części skrzydła się znajduje. Nie wiedział, czy drabinę ma przed sobą, czy za plecami...

Kolejny zgrzyt.

Próbował umiejscowić źródło dźwięku, zdawało mu się, że chrzęst dobiega gdzieś z przodu. To by znaczyło, że klęczy twarzą w kierunku ogona, w tylnej części skrzydła. Na wprost drabiny.

Chrzęst.

Ile tam było szczebli? Dwa metry, jakieś sześć kroków... Jeszcze chwila i Benson stanie na skrzydle samolotu. Czego można by użyć do obrony? Gorączkowo zaczął przeszukiwać kieszenie. Jego ubranie było wilgotne, aż kleiło się od potu. Przemknęło mu przez myśl, że cała ta sytuacja jest po prostu śmieszna — przecież on jest lekarzem, a Benson jego pacjentem. Tamten powinien go posłuchać, powinien zrobić to, co mu się każe.

Jeszcze jeden zgrzyt.

Buty! Morris błyskawicznie zdjął jeden but, przeklinając w duchu, że ma miękkie, gumowe podeszwy. Ale lepsze to niż nic. Zacisnął mocno palce na bucie i uniósł go nad głowę, gotów do zadania ciosu. Z pamięci wypłynął widok zmaltretowanego, leżącego w kałuży krwi mechanika. Morris pojął nagle, że musi uderzyć Bensaona z całej siły, włożyć w ten cios całą energię.

Uzmysłowił sobie, że jest zmuszony podjąć próbę zabicia Harry'ego.

Nie było już słyhać metalicznych zgrzytów, złowił za to odgłos bliskiego oddechu. Z oddali doleciało też ciche, lecz szybko przybierające na sile zawrodozenie syren policyjnych. Pomyślał, że Benson także musiał to usłyszeć i powinien się teraz poddać.

Kolejny chrzęst.

Harry widocznie schodził z drabiny. Morris aż odetchnął z ulgą.

Nagle rozległ się inny zgrzyt i skrzydło pod nim lekko zadrżało. Benson jednak nie zszedł! Dotarł do szczytu drabiny i teraz stanął na skrzydle samolotu!

— Doktor Morris?



Ten chciał już odpowiedzieć, lecz ugryzł się w język. Pojął błyskawicznie, że Benson także go nie widzi. Próbował go zlokalizować słuchem. Nie wolno mu było się odezwać!

— Doktorze Morris? Czy mógłby mi pan pomóc?

Wycie syren stawało się coraz głośniejsze. Morris przez chwilę poczuł żal, że już niedługo jego pacjent zostanie ujęty przez policję. Cały ten koszmar miał się wkrótce skończyć.

— Proszę mi pomóc, doktorze.

A może Benson wcale nie miał wrogich zamiarów, może naprawdę chciał, aby mu pomóc? Jeśli tak, to przecież jego obowiązkiem było udzielić pacjentowi pomocy...

— Proszę...

Morris podniósł się na nogi.

— Tu jestem, Harry — rzekł. — Uspokój się...

Coś ze świstem przecięło powietrze. Morris otrzymał straszliwy cios, jak gdyby bomba wybuchła mu tuż przed nosem. Poleciał do tyłu, potoczył się po skrzydle samolotu. Ból był nie do zniesienia, rozlewał się po całej głowie...

Runął nagle w ciemność. Przemknęło mu jeszcze przez myśl, że skrzydło nie znajduje się przecież tak wysoko nad ziemią, on jednak spadał i spadał, niemal całą wieczność...

Janet Ross zajrzała przez niewielkie okienko w drzwiach do wnętrza sali zabiegowej na izbie przyjęć. Sześć osób krzątało się wokół leżącego na stole Morrisa. Niewiele mogła dostrzec, widziała jedynie nogi lekarza. Zwróciła uwagę, że Morris ma na sobie tylko jeden but. Wszędzie dokoła było mnóstwo krwi, białe fartuchy personelu dosłownie nią przesiąkły.

— Chyba nie muszę pani mówić, co o tym wszystkim myślę — rzekł stojący obok niej Anders.

— Nie — odparła.

— Ten facet jest szalenie niebezpieczny. Doktor Morris powinien był zaczekać na policjantów.

— Przecież i tak go nie schwytaliście.

Janet zaczynała ogarniać złość. Kapitan zdawał się nic z tego nie rozumieć, nie pojmował, że lekarz może się czuć odpowiedzialny za pacjenta, że pragnie się nim jak najlepiej zaopiekować.

— Ale Morris także go nie zatrzymał.

— A jak to się stało, że Benson zdołał umknąć policji?

— Kiedy patrole dojechały na miejsce, jego już nie było w hangarze. Trudno obstawić wszystkie wyjścia naraz. Policjanci znaleźli jedynie Morrisa leżącego na posadzce oraz mechanika na skrzydle samolotu, obu pobitych, w ciężkim stanie.

Otworzyły się drzwi sali zabiegowej i ze środka wyszedł Ellis. Był nie ogolony, wymizerowany, patrzył błędnym wzrokiem.

— Jak on się czuje? — zapytała Ross.

— Wyjdzie z tego. Przez kilka tygodni nie będzie mógł za dużo gadać, ale poza tym nic mu nie jest. Zaraz go przewiozą na oddział chirurgiczny, trzeba mu zadrutować szczękę i usunąć resztki powybijanych zębów. — Zwrócił się do Andersa. — Czy odnaleziono narzędzie, którym posłużył się Benson?

Kapitan pokiwał głową.

— Tak, półmetrowy kawałek ołowianej rury.

— Morris musiał zostać trafiony prosto w usta. Na szczęście wyłamane zęby nie dostały się do tchawicy. Zdjęcie rentgenowskie wykazało, że drogi oddechowe są czyste. — Otoczył Janet ramieniem. — Dadzą sobie radę bez nas.

— A co z tym drugim?

— Chodzi ci o mechanika? — Ellis pokręcił głową. — Kiepsko to wygląda. Ma całkiem zmiądzony nos, odłamki kości wbiły się aż do mózgu. Z nozdrzy wycieka mu płyn mózgowordzeniowy. Poza tym utracił mnóstwo krwi i grozi mu zapalenie mózgu.

— Jak ocenia pan jego szansę? — zapytał Anders.

— Jest w stanie krytycznym.

— Rozumiem — mruknął kapitan i oddalił się szybko.

Janet wyszła razem z Ellisem z izby przyjęć, ruszyli w stronę kawiarni. Ellis wciąż przytulał ją do siebie.

— Zrobił się straszny pasztet — mruknął.

— Czy Morris na pewno z tego wyjdzie?

— Oczywiście.

— Wyglądał bardzo kiepsko...

— Poskładają mu szczękę. Wydobrzeje.

Janet przeszył dreszcz.

— Zimno ci?

— Zimno — odparła. — Poza tym jestem zmęczona, śmiertelnie zmęczona.

\* \* \*

Usiedli przy stoliku nad kawą. Było wpół do siódmej wieczorem i sporo pracowników szpitala wpadało tu, żeby coś przekąsić. Ellis od niechcienia przeżuwał kanapkę, z każdego jego ruchu dało się wyczytać straszliwe przemęczenie.

— To zabawne — powiedział.

— Co?

— Dziś po południu odebrałem telefon z Minnesoty. Mają wakat na stanowisku profesorskim na neurochirurgii i pytali mnie, czy jestem zainteresowany.

Janet się nie odzywała.

— Nie uważasz, że to zabawne?

— Nie.

— Powiedziałem, że wezmę pod uwagę ich propozycję tylko wtedy, jeśli mnie stąd wyleją.

— Jesteś pewien, że do tego dojdzie?

— A ty nie? — Omiótł spojrzeniem pielęgniarki i lekarzy w białych fartuchach. — Nie lubię Minnesoty, tam jest za zimno.

— Ale cieszą się dobrą opinią.

— Owszem, mają renome. — Westchnął. — To bardzo dobry ośrodek.

Janet przez chwilę odczuwała żal, ale szybko zdusiła go w sobie. Ostatecznie Ellis, wbrew jej radom, sam nawarzył tego piwa. Przez ostatnią dobę wielokrotnie powstrzymywała się przed ciśnięciem mu w twarz tradycyjnego: „a nie mówiłam?” Starła się w ogóle o tym nie myśleć. Nikomu nie było to potrzebne, ponadto zachowując się w ten sposób, w niczym by nie pomogła Bensonowi, a tu o niego przede wszystkim chodziło.

Nie potrafiła jednak wzbudzić w sobie sympatii do lekkomyślnego chirurga. Tego typu ludzie zawsze ryzykują życie pacjentów, nigdy swoje własne. Jedyne, co grozi chirurgowi, to utrata reputacji.

— Dobra, lepiej wracajmy na oddział — powiedział Ellis. — Może są jakieś nowe wiadomości. Czy wiesz, na co liczę?

— Na co?

— Że w końcu go zabiją.

Odwrócił się i ruszył szybko w kierunku windy.

\* \* \*

Operacja zaczęła się o siódmej. Janet zajęła miejsce na galerii i obserwowała, jak Morrisa wwożono na salę, jak lekarze przygotowują wszystko do zabiegu. Operację mieli prowadzić Bendixon oraz Curtiss, znakomici chirurdzy plastyczni, którzy powinni pozszywać swego kolegę lepiej niż ktokolwiek inny.

Przeżyła jednak spory szok, kiedy z twarzy Morrisa zdjęto sterylne opatrunki. Jej górna część wyglądała normalnie, jeśli nie liczyć silnej bladości. Natomiast dolna przedstawiała sobą krwawą miazgę, niczym kawał surowego mięsa u rzeźnika. Trudno było nawet dostrzec linię ust.

Ten widok wywoływał dreszcz przerażenia nawet z tej odległości. Przypomniała sobie, że Ellis widział z bliska Morrisa w izbie przyjęć i stwierdziła, że on chyba musiał doznać jeszcze silniejszego szoku.

Przyglądała się, jak pielęgniarki układają sterylne płachty na ciele i wokół głowy rannego. Lekarze

mieli już maseczki na twarzy, zakładali rękawice; rozstawiano stoliki z narzędziami. Trwał cały skomplikowany rytuał przygotowań do operacji. Pomyślała, że ten graniczący z ceremonią, doprowadzony niemal do perfekcji zwyczaj jest tak absorbujący, że nikt sobie nie uświadamia — nie stara się nawet sobie uświadomić — iż na stole operacyjnym leży ich kolega. Ta złożona procedura, ów rytuał, był dla zespołu operacyjnego tym samym, czym narkoza dla pacjenta.

Janet przyglądała się jeszcze przez jakiś czas, wreszcie opuściła galerię.

Kiedy wracała na oddział, spostrzegła, że grupka dziennikarzy otoczyła Ellisa przed wejściem do budynku. Ten odpowiadał na pytania z uśmiechem, nie chcąc dać poznać po sobie złego nastroju. Janet usłyszała, że kilkakrotnie użył sformułowania „kontrola umysłów”.

Dręczona poczuciem winy, okrążyła budynek, weszła bocznymi drzwiami i wjechała na trzecie piętro. Kontrola umysłów, pomyślała. Nietrudno się było domyślić, jak będą wyglądały wszystkie niedzielne dodatki czasopism. Później, w tygodniu, pojawią się zapewne całkiem poważne artykuły na ten kontrowersyjny temat, a w ślad za nimi pójdą publikacje w prasie fachowej.

Wielki Boże! Na pewno podniesie się straszny krzyk, że czynimy krok w kierunku kontroli umysłów...

A prawda jest taka, że umysły wszystkich ludzi od chwili narodzin są poddawane ścisłej kontroli i nikt jakoś nie protestuje. Nie chcemy nazwać rzeczy po imieniu, choć wiemy, że najbardziej rygorystycznymi kontrolerami na świecie są rodzice i że to właśnie oni potrafią czynić w umysłach największe spustoszenie. Ci, którzy najgłośniej protestują przeciwko groźbie wprowadzenia kontroli umysłów, zapominają zwykle, że nikt nie przychodzi na świat z uprzedzeniami, neurozami czy opóźnieniami w rozwoju; ich powstanie umożliwia czyjaś „pomocna” dłoń. Oczywiście rodzice nie sprawują takiej kontroli świadomie, starają się jedynie przekazać dzieciom wybrany przez siebie system wartości, który uważają za niezbędny do życia. Efekty szybko dają się zauważyć.

Noworodki można porównać do minikomputerów wymagających zaprogramowania. Chłoną wszelkie przekazywane im nauki, czy to niegramatyczny sposób wypowiedzi, czy wypaczone pojęcia z zakresu moralności. I tak jak komputery, odbierają informacje bezkrytycznie; nie potrafią odróżnić dobra od zła. Owa analogia do maszyn elektronicznych jest aż nadto wyraźna, wiele osób zarzuca komputerom dziecinny sposób rozumowania czy bezdusność. Jeśli nawet najlepsza maszyna otrzyma polecenie: „załóż buty i skarpetki”, z pewnością odpowie, że przecież skarpetek nie nosi się na butach.

Najważniejszy etap „programowania” dzieci trwa mniej więcej do siódmego roku życia. W tym czasie przejmują postawy rozumowe, seksualne, etyczne, religijne, narodowe. Później ten raz ustawiony żyroskop zaczyna się obracać, wskazując jeden wybrany kierunek, który niezwykle trudno jest zmienić.

Czym zatem jest kontrola umysłów?

Czym jest konwenans? Jak zaklasyfikować uścisk dłoni przy powitaniu, kolejność wchodzenia do windy, przepuszczanie kogoś po lewej stronie czy ustawianie kieliszków z winem po prawej? Przyswojenie tych zasad to przecież oczywisty skutek rodzicielskiej „kontroli umysłów”, jakiej doświadczamy od dziecka. Lecz ludzie potrzebują setek podobnych, z pozoru nic nie znaczących ustaleń, żeby móc się dopasować do norm stosunków międzyludzkich. Gdyby nagle zabrakło takich reguł — co by się stało ze społeczeństwem?

A więc, kontrola umysłów istnieje i jest niezbędna. Należy ją traktować jako dobro ogólne, wartość nadrzędną — bez niej bylibyśmy po prostu straszliwie zagubieni.

Ba, ale niech tylko ktoś próbuje zrobić coś celowo, stosując nowoczesne metody, aby zwalczyć jeden z największych problemów współczesności — zahamować gigantyczną falę przemocy. Natychmiast ze wszystkich stron podnosi się wrzask: kontrola umysłów, kontrola umysłów!

Może najpierw trzeba ostatecznie rozstrzygnąć, czy lepsza jest kontrola, czy jej brak.

Janet wysiadła na trzecim piętrze, przedarła się przez gromadę stojących w korytarzu policjantów i weszła do swego gabinetu. Anders siedział ze słuchawką przy uchu. Na jej widok zmarszczył brwi.

— No, chyba wreszcie coś się ruszyło — oznajmił.

— Tak?

Jej irytacja natychmiast ustąpiła miejsca nadziei.

— Owszem — odparł kapitan. — Lecz niech mnie szlag trafi, jeśli wiem, co to może oznaczać.

— A co się stało?

— Przekazaliśmy rysopis Bensaona oraz jego fotografie wszystkim patrolom w śródmieściu i ktoś go rozpoznał.

— Kto?

— Recepcjonista w Wydziale Zabudowy i Gospodarki Przestrzennej Rady Miejskiej. Stwierdził, że Benson był tam dziesięć dni temu. W archiwum wydziału przechowywane są wszystkie plany konstrukcyjne obiektów publicznych wznoszonych w granicach miasta, a zwłaszcza tych, którymi zarządza ratusz.

Ross skinęła głową.

— No więc Benson zgłosił się, by sprawdzić plany jednego z budynków. Miał podobno zweryfikować schemat instalacji elektrycznej. Podał się za inżyniera elektryka, okazał nawet jakąś legitymację.

— Dziewczeta mieszkające w jego domu powiedziały, że zabrał z mieszkania jakieś schematy.

— To chyba te same, które otrzymał w Wydziale Zabudowy i Gospodarki Przestrzennej.

— O jaki budynek chodzi?

— Szpital uniwersytecki — odparł Anders. — Ten facet ma przy sobie kompletny schemat instalacji elektrycznej całego szpitala. Czy pani coś z tego rozumie?

Przez chwilę w milczeniu patrzyli sobie w oczy.

\* \* \*

O ósmej Janet już leciała z nóg. Kark jej zeszywniał, a głowę rozsadzał nieznośny ból. Stwierdziła, że nie ma większego wyboru — albo się zdrzemnie choć trochę, albo w którymś momencie padnie.

— Znajdzie mnie pan gdzieś na piętrze, jeśli będę potrzebna — oznajmiła Andersowi i wyszła.

Na korytarzu znów minęła kilku umundurowanych policjantów. Nie zwracała już na nich większej uwagi. Miała wrażenie, że gliniarze kręcą się po całym oddziale od tak dawna, jak tylko sięgała pamięcią.

Zajrzała do gabinetu McPhersona. Szef siedział przy biurku i spał z głową opartą na rękach. Oddychał płytko i szybko, jakby we śnie walczył z koszmarnymi zjawami. Janet wycofała się i po cichu zamknęła drzwi.

Obok niej przeszedł sanitariusz niosący pełne popielniczki i zużyte kubeczki po kawie. Ze zdumieniem przyjęła, fakt, że sanitariusz wypełnia nie swoje obowiązki. Lecz jego widok z czymś jej się skojarzył — z czymś niezwykłym, z jakimś problemem, którego nie potrafiła jasno sformułować.

Przez chwilę walczyła z beładnymi skojarzeniami, lecz zaraz się poddała. Była zbyt zmęczona, nie potrafiła nawet logicznie myśleć. Zajrzała do pierwszego z brzegu gabinetu przyjęć, a gdy spostrzegła, że jest pusty, weszła do środka, zamknęła za sobą drzwi i ułożyła się na leżance.

Zasnęła niemal natychmiast.



Ellis zszedł do poczekalni, żeby obejrzeć swój wywiad w wieczornych wiadomościach o dwudziestej trzeciej. Powodowała nim zwykła ciekawość, ale w jakimś stopniu także próżność. Przed telewizorem siedzieli już Gerhard z Richardsem, jak również kapitan Anders.

Na ekranie Ellis uśmiechał się w stronę kamery, odpowiadając na pytania dziennikarzy. Wyciągały się ku niemu dziesiątki mikrofonów, on jednak sprawiał wrażenie zupełnie spokojnego. Teraz poczuł satysfakcję, że wypadł aż tak dobrze.

Na początku pytano go o przebieg operacji. Wyjaśniał wszystko dokładnie, choć nie wdawał się w szczegóły. Wreszcie padło pytanie:

— W jakim celu przeprowadzono tę operację?

— Pacjent cierpiał z powodu powtarzających się napadów agresji. Przyczyną tego było mechaniczne uszkodzenie mózgu. Próbowaliśmy temu zaradzić, chcieliśmy zapobiec wyładowywaniu agresji.

Nikt nawet nie próbował tego podważyć, pomyślał teraz. McPherson powinien być zadowolony z tych ogólnikowych wyjaśnień.

— W ilu wypadkach mechaniczne uszkodzenie mózgu prowadzi do ataków agresji?

— Tego nikt nie wie — odparł Ellis. — Nie wiemy nawet, jak często występują tego typu urazy mózgu. Ale pewne dane szacunkowe wskazują, że około dziesięciu milionów Amerykanów ma podobne uszkodzenia, a dalszych pięć milionów uszkodzenia bardziej subtelne, mniej groźne.

— Piętnaście milionów? — zapytał któryś z reporterów. — To znaczy co trzynasty mieszkaniec naszego kraju?

Błyskawicznie to przeliczył, stwierdził Ellis w duchu. Po wywiadzie sprawdził na kalkulatorze i wyszło mu, że co czternasty.

— W dużym przybliżeniu — odparł na ekranie. — Dwa i pół miliona Amerykanów cierpi na porażenie mózgowe; dwa miliony na różnorodne zaburzenia typu konwulsyjnego, włączając w to padaczkę; dalszych sześć milionów jest opóźnionych w rozwoju. Szacujemy, że około dwa i pół miliona osób jest dotkniętych zaburzeniami typu hiperkinetycznego.

— I wszyscy ci ludzie są agresywni?

— Nie. Oczywiście, że nie. Ale według statystyk niezwykle wysoki procent osób zachowujących się agresywnie ma takie czy inne uszkodzenia mózgu. Uszkodzenia fizyczne. Myślę, że te dane obalają wiele teorii dotyczących ubóstwa, dyskryminacji, niesprawiedliwości społecznej, bo właśnie wśród tych czynników poszukuje się często wyjaśnienia agresywnych zachowań. Oczywiście odgrywają one rolę, ale ważnym czynnikiem jest także uszkodzenie mózgu. A na to instytucje społeczne nie znajdują

żadnego lekarstwa.

Nastąpiła krótka przerwa w pytaniach dziennikarzy. Ellis przypomniał sobie teraz, jak silne ogarnęło go wówczas podniecenie, gdyż to on był górą, to on sterował tym przedstawieniem.

— Kiedy mówi pan o agresji...

— Mam na myśli nie sprowokowane ataki ludzi działających w pojedynkę. Przemoc jest największym problemem naszych czasów, zwłaszcza w tym kraju. W roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym dziewiątym więcej Amerykanów zginęło lub odniosło obrażenia w swojej ojczyźnie, niż poniosło śmierć lub zostało rannych w trakcie całej wojny wietnamskiej. Mówiąc ściśle...

Wśród dziennikarzy rozległy się szmery.

— ...mieliśmy czternaście i pół tysiąca morderstw, trzydzieści sześć i pół tysiąca gwałtów oraz trzysta sześć i pół tysiąca napadów z pobiciem. Daje to w sumie jedną trzecią miliona aktów przemocy. Nie uwzględniłem tu liczby osób, które zginęły w wypadkach samochodowych, a przecież samochody są także wykorzystywane jako narzędzie przemocy. Musielibyśmy wówczas zwiększyć podane przez mnie liczby o pięćdziesiąt sześć tysięcy zabitych i trzy miliony rannych.

— Zawsze podziwiałem łatwość, z jaką sypiesz liczbami jak z rękawa — mruknął Gerhard, nie odrywając wzroku od telewizora.

— Ale to robi wrażenie, prawda? — odparł Ellis.

— Tak, piorunujące. — Gerhard westchnął. — Za to miałeś minę szczwanego, przebiegłego lisa.

— To u mnie normalne.

Tamten zachichotał.

— I sądzi pan, że te liczby odzwierciedlają liczbę ludzi z uszkodzeniami mózgu? — zadał pytanie któryś z dziennikarzy.

— W znacznym stopniu — odparł Ellis na ekranie. — Jednym z podstawowych elementów, które wskazują na fizyczne uszkodzenie mózgu jakiegoś człowieka, są powtarzające się akty agresji. Mogę przytoczyć kilka słynnych przykładów. Charles Whitman, który w Teksasie zabił siedemnaście osób, miał złośliwego guza na mózgu i już dużo wcześniej opowiadał swojemu psychoanalitykowi, że nawiedzają go mordercze myśli, że coraz częściej miewa ochotę wejść na jakąś wieżę i strzelać do tłumu. Richard Speck był wielokrotnie zamieszany w brutalne bójki, aż wreszcie zamordował osiem pielęgniarek. Lee Harvey Oswald bez powodu wielokrotnie atakował ludzi, w tym także swoją żonę. To chyba najsłynniejsze przypadki spośród cytowanych przeze mnie ponad trzystu tysięcy rocznie aktów agresji, o których niewiele się słyszy. Próbujemy zahamować tę falę przemocy metodami chirurgicznymi. Nie widzę w tym nic złego, wręcz przeciwnie. Uważam, że to niezwykle ważne i szlachetne zadanie.

— Czyż nie jest to jednak kontrola umysłów?

— A jak by pan zaklasyfikował przymusową naukę w szkole średniej?

— Jako edukację — odparł dziennikarz.

Na tym wywiad się skończył. Ellis ze złością wstał z krzesła.

— W ten sposób sprawili, że wyszedłem na głupca — powiedział.

— Nie, skądże znowu — wtrącił szybko kapitan Anders.

**Sobota,**

**13 marca 1971:**

Zakończenie

Sypały się na nią ciosy, brutalne i bezsensowne, zadawane na ślepo. Janet obróciła się na bok i jęknęła.

— No, obudź się — powtarzał Gerhard, szarpiąc ją za ramię. — Obudź się, Jan.

Otworzyła oczy. W mroku dostrzegła tylko, że ktoś się nad nią pochyła.

— No, obudź się, wstawaj.

Ziewnęła. Otwarcie ust spowodowało, że poczuła przejmujący ból karku.

— Co się stało?

— Telefon do ciebie, dzwoni Benson.

Ross nie przypuszczała nawet, że można się tak szybko obudzić. Usiadła korzystając z pomocy Gerharda i potrząsnęła głową, żeby odegnąć resztki snu. Szyja pulsowała jej bólem, całe ciało miała zeszywniałe i obolałe, ale starała się nie zwracać na to uwagi.

— Gdzie?

— W pokoju TELEKOMP-u.

Wyszła na korytarz i zamrugwała szybko, oślepiona jaskrawym światłem. Wciąż kręcili się tu policjanci, lecz teraz i po nich widać było zmęczenie: oczy mieli błyszczące i zaciskali szczęki. Janet poszła za Gerhardem do sali TELEKOMP-u.

Przy telefonie stał Richards, na jej widok rzucił do mikrofonu:

— Już idzie.

Ross wzięła od niego słuchawkę.

— Słucham. To ty, Harry?

W drugim końcu pokoju Anders przysłuchiwał się temu przez drugi aparat.

— Nie czuję się dobrze — powiedział Benson. — Chcę z tym skończyć, doktor Ross.

— O co chodzi, Harry?

W jego głosie wyczuwało się zmęczenie, dziwną ospałość, jak u ślaniającego się na nogach dziecka. Ciekawe, jak on się czuje po całej dobie niemal bezustannych stymulacji, pomyślała.

— Ten komputer nie działa tak jak powinien. Jestem zmęczony.

— Możemy ci pomóc.

— Chodzi o moje odczucia — kontynuował Benson. — Zmęczyło mnie to już, nic więcej. Po prostu zmęczyło. Chcę z tym skończyć.

— Musisz się do nas zgłosić, jeśli chcesz, żebyśmy ci pomogli.

— Nie wierzę, że to zrobicie.

— Powinieneś nam zaufać, Harry.

W słuchawce zapadła cisza. Anders popatrzył przez długość pokoju na Janet, lecz ta wzruszyła tylko ramionami.

— Harry? — odezwała się w końcu.

— Żałuję, że się zgodziłem, żebyście mi to zrobili — odpowiedział Benson.

Anders spojrzał na zegarek.

— O czym mówisz?

— O operacji.

— Możemy to wszystko naprawić, Harry.

— Chciałem sam to naprawić — odparł Benson. Jego sposób mówienia coraz bardziej przypominał błagalne nalegania dziecka. — Próbowałem odłączyć elektrody.

Ross zmarszczyła brwi.

— Jak próbowałeś tego dokonać?

— Nic jeszcze nie zrobiłem, zacząłem zdejmować bandaż, ale to strasznie bolało. A ja nie znoszę bólu.

Janet przemknęło przez myśl, że te wyraźne objawy dzieciennienia, regresji psychicznej, mogą być specyficznym efektem nakładania się przemęczenia i strachu.

— Cieszę się, że nie odłączyłeś...

— Ale muszę coś z tym zrobić! — przerwał jej Benson. — Muszę zapomnieć o tym odczuciu. Mam zamiar przeprogramować komputer.

— Nie możesz tego zrobić, Harry. Zostaw to nam.

— Nie, sam sobie poradzę.

— Harry — powiedziała ciężko, matczynym tonem. — Proszę, zaufaj nam.

Benson się nie odzywał, w słuchawce słychać było tylko jego głośny oddech. Janet rozejrzała się po twarzach ludzi zebranych w pokoju: wszyscy wpatrywali się w nią z uwagą.

— Harry, musisz nam zaufać jeszcze ten jeden raz. Potem już wszystko będzie w porządku.

— Policja mnie poszukuje.

— Tutaj nie ma policjantów, już sobie poszli. Możesz wrócić do swego pokoju. Wszystko będzie w porządku.

— Przedtem mnie okłamaliście — odparł Benson tak samo pokornie, zmęczonym głosem.

— Nie, Harry. Zaszła pomyłka. Jeśli teraz zgłosisz się do nas, wszystko będzie w porządku.

Nastąpiła dłuższa chwila przerwy, wreszcie dało się słyszeć westchnienie.

— Przykro mi. Dobrze wiem, jak to się skończy. Muszę sam przeprogramować komputer.

— Harry...

Rozległ się brzęk, a po nim ciągły sygnał: połączenie zostało przerwane. Ross odłożyła słuchawkę. Anders natychmiast zadzwonił do centrali, żeby się dowiedzieć, czy zdążyli namierzyć, skąd Benson telefonował. Ach, to dlatego spoglądał na zegarek, pomyślała Janet.

— Cholera! — syknął po chwili, ze złością odkładając słuchawkę. — Nie zdążyli złapać numeru. Nie znaleźli nawet linii, na której trwała rozmowa. Idioci.

Opadł na krzesło i popatrzył na Ross.

— Mówił jak zagubione dziecko — mruknęła Janet i pokręciła głową.

— Co on miał na myśli, wspominając o przeprogramowaniu komputera?

— Przypuszczam, że chodziło mu o odłączenie elektrod, których przewody ma zaszyte pod skórą.

— Powiedział jednak, że jest już tym zmęczony.

— Nie byłabym tego wcale pewna — odparła. — Jest całkowicie skołowany, pod silnym wpływem powtarzających się wciąż stymulacji i ataków epilepsji.

— Czy to możliwe, żeby zdołał wyciągnąć przewody i komputer spod skóry?

— Owszem, w każdym razie zwierzętom się to czasem udaje. Zwłaszcza małpom... — Potarła piekące oczy. — Nie macie trochę kawy?

Gerhard napełnił jej kubeczek.

— Biedny Harry — powiedziała. — Musi być strasznie przerażony.

— Jak pani sądzi, do jakiego stopnia może być skołowany? — zapytał Anders.

— W pełnym tego słowa znaczeniu. — Upiła łyk kawy. — Nie macie już cukru?

— Tak bardzo, że może się utożsamiać z komputerem?

— Nie ma już cukru — odparł Gerhard. — Skończył się kilka dobrych godzin temu.

— Nie rozumiem — Janet zwróciła się do Andersa.

— Ma przy sobie plany instalacji elektrycznej szpitala — wyjaśnił kapitan. — W piwnicach tego budynku znajduje się główny komputer, ten sam, który był wykorzystywany do asysty podczas operacji Bensaona.

Ross odstawiła kubek z kawą i zagapiła się na policjanta. Zmarszczyła brwi, znów przetarła oczy, ponownie sięgnęła po kubek, lecz zaraz odstawiła go z powrotem.

— Trudno powiedzieć — odparła w końcu.

— Kiedy pani spała, otrzymałem wiadomość od patologów — rzekł Anders. — Ustalili, że Benson zadał rany tancerce śrubokrętem. Później rzucił się na mechanika samolotowego i na doktora Morrisa. Wciąż atakuje ludzi mających coś wspólnego z maszynami albo takich, których uważa za maszyny. Morris asystował przecież przy wszczepianiu mu urządzenia mechanicznego.

Janet uśmiechnęła się lekko.

— Sądziłam, że to ja jestem tu psychiatrą.

— Pytam tylko, czy istnieje taka możliwość.

— Tak, oczywiście. To możliwe.

Telefon zadzwonił ponownie. Ross podniosła słuchawkę.

— Oddział neuropsychiatrii. Słucham.

— Dzwonię z centrali telefonicznej — odezwał się męski głos. — Sprawdziliśmy jeszcze raz to połączenie dla kapitana Andersa. Czy on tam jest w pobliżu?

— Chwileczkę.

Janet skinęła głową policjantowi, który sięgnął po słuchawkę drugiego aparatu.

— Mówi Anders.

Przez dłuższą chwilę panowała cisza, wreszcie kapitan zapytał:



— Czy mógłby pan to powtórzyć? — Kiwał głową, nasłuchując uważnie. — A jaki okres sprawdziliście? Tak, rozumiem. Dziękuję.

Przerwał połączenie i natychmiast zaczął nakręcać jakiś numer.

— Proszę mi powiedzieć wszystko na temat ogniwa promieniotwórczego, które zastosowaliście — rzekł.

— O co chodzi?

— Chciałbym wiedzieć, co się stanie w wypadku jego zniszczenia.

Uzyskał połączenie i odwrócił się bokiem do Janet.

— Tu Anders z wydziału zabójstw. Połączcie mnie z oddziałem antyterrorystycznym.

Ponownie spojrzął na Ross.

— Ogniwo zawiera około trzydziestu siedmiu gramów radioaktywnego plutonu, izotop Pu 239. Istnieje groźba, że w razie uszkodzenia obudowy wszystko w najbliższym otoczeniu zostanie dość silnie napromieniowane.

— Jakie cząstki emituje ten izotop?

Janet spoglądała na niego ze zdumieniem.

— Co się stało? Mam maturę i jeśli mnie życie do tego zmusza, potrafię nawet czytać i pisać.

— Głównie cząstki alfa.

— Tu Anders z wydziału zabójstw — rzekł kapitan do mikrofonu. — Przyślijcie jak najszybciej oddział do szpitala uniwersyteckiego. Mamy tu niebezpieczeństwo poważnego skażenia promieniotwórczego. Ludzie są narażeni na emisję cząstek alfa z uwolnionego izotopu Pu 239.

Nasłuchiwał przez chwilę, po czym zwrócił się do Ross:

— Czy istnieje groźba wybuchu?

— Nie.

— Nie ma niebezpieczeństwa eksplozji. — Po krótkiej przerwie odparł: — W porządku, rozumiem. Zbierzcie ludzi tak szybko, jak tylko to możliwe.

Odłożył słuchawkę.

— Czy może mnie pan poinformować, co tu się dzieje? — zapytała Janet.

— Operatorzy z centrali kilkakrotnie sprawdzali połączenia i stwierdzili, że w tym czasie, kiedy

Benson z panią rozmawiał, nikt z miasta nie dzwonił pod numer szpitala. Nie było ani jednej rozmowy.

Ross zmarszczyła brwi.

— No właśnie — dodał Anders. — To znaczy, że Benson dzwonił z terenu szpitala.

\* \* \*

Janet wyglądała przez okno trzeciego piętra na parking, gdzie Anders udzielał instrukcji grupie co najmniej dwudziestu policjantów. Wreszcie połowa z nich weszła do budynku, natomiast pozostali, podzieleni na małe grupki, zaczęli dyskutować między sobą i palić papierosy. W końcu zajechała biała furgonetka grupy antyterrorystycznej i wysiedli z niej trzej mężczyźni w szarych, połyskujących metalicznie skafandrach. Anders zamienił z nimi kilka słów i tamci jęli pospiesznie wyładowywać jakiś niezwykły ekwipunek.

Po jakimś czasie kapitan również wszedł do budynku.

— Benson tego nie robi — rzekł Gerhard, który obok niej przyglądał się tym przygotowaniom.

— Wiem — odparła. — Zastanawiam się, czy istnieje sposób, żeby go obezwładnić, albo przynajmniej unieruchomić. Mamy tu może jakieś przenośne urządzenie emitujące mikrofałe?

— Myślałem już o tym. To niebezpieczne, na dobrą sprawę trudno przewidzieć, jak mikrofałe podziałają na komputer Bena. Poza tym musisz pamiętać, że zakłóciłibyśmy pracę wszystkich stymulatorów serca pacjentów przebywających w szpitalu.

— To znaczy, że nic nie możemy zrobić?

Gerhard pokręcił głową.

— Musi być jakieś wyjście — nalegała Janet.

Ale Gerhard jeszcze raz zaprzeczył ruchem głowy.

— Poza tym bardzo szybko mogą wziąć górę nabyte doświadczenia.

— Tylko teoretycznie.

Tamten wzruszył ramionami.

Nabyte doświadczenia stanowiły jedną z koncepcji opracowanych przez grupę naukowców z oddziału neuropsychiatrii. Wychodzono z oczywistego dla wszystkich założenia, że środowisko intensywnie działa na umysł człowieka poprzez różne doświadczenia, które albo odkładają się we wspomnieniach, albo rzutują na postawy i zwyczaje — w każdym razie silnie oddziałują na impulsy w komórkach nerwowych mózgu. Natomiast przepływem impulsów w neuronach sterują procesy

chemiczne i elektryczne. I tak jak ciało robotnika ulega stopniowym zmianom w zależności od wykonywanej pracy, tak samo mózg każdego człowieka zmienia się na skutek zdarzeń z przeszłości. Co więcej, zmiany te, podobnie jak odciski na dłoniach ludzi pracujących fizycznie, pozostają na długo pomimo zaniku bodźca, który je wywołał.

W ten właśnie sposób nasze umysły wykorzystują nabyte doświadczenia; psychika jest sumą wszystkich przeżyć, choćby miały one miejsce w dalekiej przeszłości. A to oznacza, że nie wystarczy odkryć przyczynę, by znaleźć lekarstwo. Powodem zaburzeń psychicznych mogą być doświadczenia z dzieciństwa, w takim wypadku nie da się ich wyeliminować metodą usunięcia przyczyny, gdyż ta już od dawna nie istnieje. Sposobów leczenia należy wówczas szukać zupełnie gdzie indziej. Naukowcy powiadają tak: „Od jednej zapalki może wybuchnąć pożar, ale kiedy już ogień się rozpali, zabranie zapalek go nie powstrzyma, gdyż one przestały być problemem, a stał się nim ogień”.

Wszczepiony komputer w ciągu minionej doby zaaplikował Bensonowi wiele impulsów stymulujących. Te wyładowania, będące nie znanymi do tej pory doświadczeniami, oddziaływały na mózg, wywołując chociażby nowe pragnienia. Można więc było z całą pewnością mówić o wpływie nabytych doświadczeń. Nie dało się też przewidzieć, jak w tej sytuacji zareaguje umysł chorego. Dotychczasowa psychika Bensaona uległa zmianie — jego nowy mózg był w jakimś stopniu produktem tych przeżyć.

Do pokoju wszedł Anders.

— Jesteśmy gotowi — oznajmił.

— Widzę.

— Po dwóch ludzi pilnuje wszystkich wejść do podziemi, reszta obstawiła hol główny, izbę przyjęć oraz każdą z trzech wind. Nie wchodziliśmy tylko do tej części szpitala, gdzie przebywają pacjenci, gdyż nie chcemy wywoływać paniki.

To bardzo uprzejmie z waszej strony, pomyślała Janet. Anders spojrzał na zegarek.

— Za dwadzieścia pierwsza — rzekł. — Chyba ktoś powinien nas teraz zaprowadzić do pomieszczeń głównego komputera.

— Jest w piwnicy — odparła Janet, ruchem głowy wskazując główny budynek szpitala. — W tamtej części.

— Pójdzie pani ze mną?

— Oczywiście.

Ogarnęła ją dziwna obojętność, chyba pozbyła się wreszcie złudzeń, że w jakikolwiek sposób może wpłynąć na bieg wydarzeń. Pojęła, że znalazła się w głównym nurcie wypadków zapoczątkowanych przez wcześniejsze decyzje; teraz brało w nich udział bardzo wiele osób. Już wcześniej powiedziała sobie, że co się ma stać, to się stanie.

Ruszyła wraz z Andersem korytarzem i ku swemu zdumieniu zaczęła wspominać panią Crail. Nie myślała o niej już od lat. Emily Crail była jej pierwszą pacjentką, zaraz po uzyskaniu przez Janet dyplomu psychiatry. Ta pięćdziesięcioletnia kobieta, która odchowała już dzieci i była znudzona życiem małżeńskim, cierpiała na samobójcze stany depresyjne. Janet Ross zajęła się nią z pełnym zaangażowaniem, jako młoda i pełna energii lekarka postanowiła wytoczyć prawdziwą wojnę maniakalnym odchyleniom pacjentki — obmyślała strategie, układała plany bitew, jak generał wydawała rozkazy. Pieczołowicie opiekowała się panią Crail po dwóch nieudanych próbach samobójczych.

W pewnym momencie zaczęła sobie jednak zdawać sprawę, że wyczerpała swój zasób dobrej woli, że nie starcza jej ani umiejętności, ani wiedzy. Tymczasem stan pani Crail tylko się pogarszał, depresje były coraz silniejsze, aż kolejny zamach samobójczy zakończył się powodzeniem. Ale wtedy już, na szczęście, Ross nie utożsamiała się aż tak silnie z pacjentką.

Podobnie teraz nie czuła się już odpowiedzialna za los Bensona.

Doszli już prawie do końca korytarza, kiedy od strony pokoju TELEKOMP-u doleciało ich wołanie Gerharda:

— Janet! Janet! Jesteś tu jeszcze?

Zawróciła szybko i wraz z Andersem deptającym jej po piętach wpadła do sali. Ekran wszystkich monitorów to zapalały się, to gasły. — Spójrz na to — Gerhard wskazał wstęgę papieru wysuwającą się z drukarki.

PROGRAM ZASTOPOWANY

ZMIANY W INSTRUKCJACH

05 04 02 01 00

ZMIANY W INSTRUKCJACH

— Główny komputer przeszedł do innego programu — wyjaśnił Gerhard.

— I co z tego?

— My nie wprowadzaliśmy żadnych instrukcji.

— Co to za nowy program?

— Nie mam pojęcia. To nie my poleciliśmy dokonać zmian.

Ross i Anders wpatrywali się w ekran, na którym rozbłysła informacja:

NOWY PROGRAM ODCZYTUJE...

Zdanie urwało się w połowie, ekran ściemniał.

— Co to oznacza? — zapytał Anders.

— Nie wiem — rzekł Gerhard. — Może ktoś próbuje się dostać do systemu poprzez inny terminal, chociaż to mało prawdopodobne. Dwanaście godzin temu zaprogramowaliśmy najwyższy priorytet dla naszej końcówki. Tylko stąd można by wprowadzić zmiany w instrukcjach.

Ekran ponownie się rozjaśnił:

NOWY PROGRAM ODCZYTUJE BŁĘDY FUNKCJONOWANIA

WSZYSTKIE PODPROGRAMY MASZYNOWE

ZASTOPOWANE ZASTOPOWANE ZASTOPOWANE

ZASTOPOWANE ZASTOPOWANE ZASTOPOWANE

— A cóż to znowu? — mruknął Gerhard. Zaczął naciskać klawisze, ale bez rezultatu. — Komputer nie przyjmuje żadnych nowych instrukcji.

— Dlaczego?

— Chyba coś złego dzieje się z jednostką centralną w piwnicach.

Janet popatrzyła na Andersa.

— Może niech pani lepiej zaprowadzi mnie do tego komputera — rzekł kapitan.

Tym razem monitor wyłączył się całkowicie. Pogasły wszystkie diody na konsoli, a na ekranie pozostał jedynie ciemniejący szybko punkcik. Za chwilę tak samo zgasł drugi monitor, po nim trzeci. Zatrzymała się drukarka.

— Jednostka główna została odłączona.

— Na pewno ktoś przyłożył do tego rękę.

Wraz z Janet Ross poszedł szybko w kierunku windy.

\* \* \*

Kiedy wyszli na parking, zmierzając w stronę sąsiedniego budynku, otoczyło ich chłodne, wilgotne powietrze. Anders sprawdził swój rewolwer, obracając się bokiem, w kierunku nikłego blasku lamp.

— Chyba powinnam panu jeszcze coś powiedzieć — odezwała się Janet. — Nie należy go straszyć użyciem broni. Benson może potraktować to niezbyt racjonalnie.

Kapitan uśmiechnął się.

— Czy dlatego, że uważa się za maszynę?

— Nie, po prostu trudno przewidzieć jego reakcję. Jeśli ma atak epilepsji, może nawet nie zauważyć broni czy jej nie rozpoznać i dlatego nie zachowa się tak, jak powinien.

Minęli rzęsiście oświetlone główne wejście szpitala i skierowali się ku windom.

— W którym miejscu on ma wszczepione to ogniwo atomowe?

— Pod skórą na prawym ramieniu.

— Ale dokładnie gdzie?

— Tutaj. — Ross wskazała mu właściwy punkt na swoim ramieniu, kreśląc palcem niewielki trójkąt.

— Jest tej wielkości?

— Tak, nie większe od paczki papierosów.

— W porządku.

Zjechali windą do podziemi. Przy wejściu stało dwóch policjantów; byli spięci i zdenerwowani, trzymali dłonie na kolbach rewolwerów.

W windzie Anders ruchem głowy wskazał swoją broń i zapytał:

— Czy kiedykolwiek strzelała pani z rewolweru?

— Nie.

— Nigdy?

— Nigdy.

Nie odezwał się więcej. Kiedy drzwi windy się rozsunęły, owionął ich chłód wypełniający piwniczny korytarz. Nagie, betonowe ściany, czarne przewody biegnące pod sufitem i jaskrawe światło żarówek robiły nieprzyjemne wrażenie. Wyszli, drzwi zasunęły się za nimi.

Przez chwilę trwali w bezruchu, nasłuchując. Ale ciszę mącił jedynie dobiegający z oddali szum jakichś urządzeń. Anders zapytał szeptem:

— Czy ktoś tu normalnie przebywa w godzinach nocnych?

Janet skinęła głową.

— Personel pomocniczy. Poza tym patolodzy, o ile mają coś do roboty.

— Pracownie sekcyjne znajdują się w podziemiach?

— Tak.

— A gdzie jest komputer?

— Tędy.

Poprowadziła go korytarzem. Na wprost mieściła się pralnia, o tej porze zamknięta, ale wózki z brudną bielizną stały przed wejściem. Anders podejrzliwie omiół je spojrzeniem, zanim pozwolił jej iść dalej, w stronę kuchni.

Tutaj także nikogo nie było, lecz włączone światła zalewały swym blaskiem obszerne pomieszczenia wyłożone białymi kafelkami i połyskujące metalicznie stoły.

— Pójdziemy na skróty — powiedziała Janet, wkraczając do kuchni.

Ich kroki rozbrzmiały echem w wielkim pomieszczeniu. Anders szedł prawie na palcach, rozglądał się uważnie i trzymał broń w pogotowiu, wodząc lufą na boki.

Minęli główne sale kuchenne i znaleźli się w drugim korytarzu, niemal dokładnie takim samym jak poprzedni. Kapitan spojrzał na nią pytającym wzrokiem. Janet domyśliła się, że stracił orientację; ona sama przez wiele miesięcy nie mogła się połapać w istnym labiryncie korytarzy podziemi.

— Skręcamy w prawo — powiedziała.

Minęli umieszczoną na ścianie wielką tablicę z napisem: PAMIĘTAJ! ZGŁOŚ KAŻDY WYPADEK PRZEŁOŻONEMU! Poniżej widniał rysunek człowieka ze skaleczonym palcem. Nieco dalej wisiał inny plakat: POTRZEBNA CI POŻYCZKA? ZGŁOŚ SIĘ DO DZIAŁU SOCJALNEGO.

Skręcili w prawo, w inny korytarz, gdzie pod ścianą stały automaty do sprzedaży gorącej kawy, pączków, kanapek i słodczy. Ich widok przypominał Janet minione lata, kiedy jeszcze pełniła nocne dyżury i przychodziła tu, żeby kupić sobie coś do jedzenia. Wspominała teraz tamte dobre czasy, przepełnione nadzieją na spełnienie swego powołania. Z podnieceniem oczekiwała wielkich zmian, które miały nastąpić za jej życia, a w których powinna uczestniczyć.

Anders uważnie obejrzał sporych rozmiarów salę i przystanął u wylotu korytarza.

— Przyjrzyjmy się temu — szepnął.

Janet patrzyła ze zdumieniem na zgromadzone tu maszyny. Wszystkie automaty były porozbijane. Batoniki i kanapki w foliowych torebkach wały się po podłodze. Z kraników wprost na betonową posadzkę spływały cienkie strumyki parującej kawy.

Omijając kałuże wody sodowej i kawy, Anders podszedł do szeregu automatów i zaczął wodzić dłonią po wgnieceniach i wybitych dziurach.

— To wygląda na siekierę — mruknął. — Skąd on mógł tutaj wziąć siekierę?

— Pewnie z tablicy ze sprzętem przeciwpożarowym.

— Ale tu, w podziemiach, nie widziałem nawet takiej tablicy. — Anders rozglądał się dokoła, wreszcie przeniósł wzrok na Janet.

Nie odpowiedziała. Przeszła przez salę i zagłębiła się w następny korytarz. Dotarli w końcu do wylotów podziemnych tuneli.

— Którędy teraz?

— W lewo — odparła, po czym zaraz dodała: — Jesteśmy już bardzo blisko.

Przed nimi korytarz zakręcał pod kątem prostym. Janet pamiętała, że mieszczą się tam magazyny archiwum, a za nimi pomieszczenia centralnego komputera. Specjalnie umieszczono go w sąsiedztwie archiwum, gdyż dyrekcja chciała w najbliższym czasie skomputeryzować także kartotekę.

Anders zatrzymał się nagle. Janet również przystanęła i zaczęła nasłuchiwać. Doleciał do nich odgłos czyichś kroków oraz nucona cicho melodia.

Kapitan przytknął palec do warg i gestem nakazał Ross zostać na miejscu. Począł się skradać do załomu korytarza; mruczando było coraz głośniejsze. Anders przystanął tuż przed zakrętem i wyjrzał ostrożnie zza rogu. Janet wstrzymała oddech.

— Hej! — zawołał jakiś basowy głos.

Kapitan wychylił się błyskawicznie, sięgnął ręką i pociągnął do siebie starszego mężczyznę.

— Zaraz...

Tamten zrobił kilka chwiejnych kroków i rozciągnął się jak długi na podłodze. Polała się woda z przewróconego wiadra. Janet spostrzegła, że jest to jeden z ludzi obsługi i pochyliła się nad nim.

— Co, do chole...!

— Ciii — syknęła, kładąc palec na ustach.

Pomogła mężczyźnie podnieść się na nogi. Podszedł do nich Anders.

— Proszę nie opuszczać podziemi — nakazał sprzątającemu. — Niech pan idzie do kuchni i tam zaczeka. Proszę pod żadnym pozorem nie wychodzić stamtąd! — syknął złowieszczo.

Ross natychmiast pojęła, o co mu chodzi. Każda osoba wychodząca z piwnicy mogła zginąć od kul



trzymających straż policjantów.

Przestraszony starzec pokiwał głową.

— Wszystko w porządku — szepnęła do niego Janet.

— Ja nic nie zrobiłem...

— Ukrywa się tu człowiek, którego chcemy odnaleźć — wyjaśniła. — Proszę spokojnie poczekać w kuchni.

— I nie wychylać stamtąd nosa — dodał Anders.

Mężczyzna jeszcze raz kiwnął potakująco, otrzepał ubranie na brzuchu i oddalił się pospiesznie. Raz tylko się obejrzał i pokręcił głową z niedowierzaniem. Ross i Anders poszli dalej, skręcili za róg korytarza i znaleźli się przed piwnicami archiwum. Ze ściany w poprzek korytarza sterczała tablica z napisem: KARTY CHOROBOWE.

Kapitan spojrzał na nią pytającym wzrokiem. Janet skinęła głową i oboje weszli do środka.

Olbrzymie pomieszczenie od podłogi do sufitu wypełnione było regałami z dokumentacją pacjentów i przypominało gigantyczną salę biblioteczną. Anders przystanął niepewnie.

— Sporo tego, prawda? — odezwała się Janet.

— Czy w tym szpitalu przebywało już tak wielu pacjentów?

— Tu są tylko karty z ostatnich pięciu lat. Starsze trzymamy w innym magazynie.

— Jezu...

Ruszyli po cichu wzdłuż szeregu regałów. Kapitan wciąż trzymał broń w pogotowiu. Przystawał od czasu do czasu, żeby zajrzeć w poprzeczne przejścia między stojakami. Nikogo jednak nie dostrzegli.

— Czy zawsze ktoś tu dyżuruje?

— Powinien.

Janet sama ciekawie spoglądała na regały. Ta ilość dokumentów zawsze robiła na niej duże wrażenie. Była przygotowana na to, że będzie musiała rozmawiać z wieloma różnymi ludźmi, ale gdy tylko zaczęła praktykę, często jej się zdawało, że przyjmuje setki pacjentów w ciągu godziny, tysiące na tydzień. Tutaj jednak znajdowały się miliony teczek z kartami chorobowymi. Przez ten jeden z kilku szpitali, jednego tylko miasta w jednym państwie świata, przewijały się miliony chorych.

— My także mamy podobne archiwum — zauważył Anders. — Często u was giną jakieś papiery?

— Bez przerwy.

Westchnął głośno.

— Tak samo jak u nas.

W tej samej chwili zza najbliższego regału wysunęła się młoda, najwyżej szesnastoletnia dziewczyna. Dźwigała w objęciach wielki stos teczek. Kapitan odruchowo wycelował do niej z rewolweru. Dziewczyna rzuciła teczki na podłogę i zaczęła przeraźliwie wrzeszczeć.

— Cicho! — syknął Anders.

Krzyk urwał się nagle, dziewczyna wpatrywała się w nich rozszerzonymi oczyma.

— Jestem z policji — wyjaśnił Anders, wyciągając przed siebie odznakę. — Czy widziała tu pani kogoś obcego?

— Kogoś obcego...?

— Tego mężczyznę. — Pokazał jej zdjęcie.

Dziewczyna spojrzała na nie i szybko pokręciła głową.

— Na pewno?

— Tak... To znaczy... Ja...

— Chyba powinniśmy iść do pomieszczeń komputera — wtrąciła Ross.

Czuła się skrępowana, widząc śmiertelnie przestraszoną dziewczynę. Szpital zatrudniał praktykantki ze szkół średnich oraz studentki do pomocy w archiwum, płacono im grosze.

Pamiętała, że będąc mniej więcej w wieku tej małej sama przeżyła silny szok. Spacerowała po lesie z chłopakiem, kiedy nagle ujrzała węża. Chłopak powiedział, że to grzechotnik i wtedy ogarnęło ją przerażenie. Dopiero później zrozumiała, iż zadrwił sobie z niej. Tamten wąż był niegroźny. Zerwała wtedy znajomość...

— W porządku — mruknął Anders. — Do komputera. Którędy mamy iść?

Janet ruszyła przodem. Kapitan raz tylko obejrzał się na dziewczynę, która zbierała z podłogi rozsypane teczki.

— Jeśli zauważy pani Bensona, proszę nic do niego nie mówić, tylko narobić straszliwego wrzasku. Rozumie pani?

Kiwnęła głową.

Ross przyszło na myśl, że tutaj napotkają prawdziwego grzechotnika. Tym razem wszystko było aż zanadto prawdziwe.

Ponownie wyszli na korytarz i skręcili w stronę pomieszczeń komputera. Tę część podziemi wyszykowano stosunkowo niedawno. Betonową posadzkę zakrywała niebieska wykładzina. W jednej ze ścian zainstalowano wielkie okna, przez które można było z korytarza zajrzeć do sali mieszczącej główne banki pamięci magnetycznej. Ross przypomniała sobie teraz, że owe przeszklone ściany zwróciły jej uwagę podczas instalowania komputera i nie omieszkała powiedzieć wówczas McPhersonowi, iż według niej to zbyt duże wydatki.

— Lepiej, żeby wszyscy wiedzieli, co nas czeka w przyszłości — odparł szef.

— Jak mam to rozumieć?

— Chodzi o to, żeby każdy pojął, iż komputer to tylko maszyna: większa i kosztowniejsza od wielu innych, ale tylko i wyłącznie maszyna. Wszyscy musimy się oswoić z tą myślą. Nie chcesz chyba, aby ktoś się jej bał czy też zaczął oddawać cześć. Trzeba upowszechniać świadomość, że komputery są nieodłącznym elementem naszego otoczenia.

Mimo wszystko, ilekroć przechodziła obok sekcji komputera, doznawała całkiem odmiennych wrażeń: owo niezwykle otoczenie, wykładzina w korytarzu i kosztowne wykończenia sprawiały, że postrzegała komputer jako coś specjalnego, niecodziennego, unikatowego. Dla niej rzeczą znaczącą był fakt, że takie same miękkie wykładziny na podłodze można było znaleźć w szpitalu jedynie przed wejściem do wielowyznaniowej kaplicy na parterze, co mogło oznaczać, że pomieszczenia komputera również traktowano jako miejsce kultu.

A czyż komputer choć trochę obchodziło to, czy na podłodze leżą miękkie wykładziny?

W każdym razie personel szpitala z pewną rezerwą odnosił się do tego, co znajdowało się za panoramiczną szybą. Ktoś zresztą umieścił na oknie naklejkę z odręcznym dopiskiem: PROSIMY NIE DOKARMIĄĆ I NIE DRAŻNIĆ KOMPUTERA.

Teraz oboje przykucnęli, żeby Benson nie mógł ich zobaczyć ze środka, po czym Anders ostrożnie zajrzał do sali.

— Co pan widzi? — zapytała Janet.

— Chyba go znaleźliśmy.

Ross także wyjrzała nad ramą okna. Serce waliło jej jak młotem, całe ciało przeszył dreszcz emocji.

Za szybą znajdowało się sześć jednostek pamięci magnetycznej oraz wielka konsola w kształcie litery L, zawierająca oprócz klawiatury jednostki centralnej drukarkę i dwie stacje dysków elastycznych. Obudowy wszystkich części składowych komputera połyskiwały metalicznie w słabym blasku jarzeniówek. Janet nie zauważyła wewnątrz nikogo; ustawione w kolumny panele przypominały jej megalityczne kamienie Stonehenge.

Nagle dostrzegła człowieka, który wyłonił się spomiędzy dwóch bloków pamięci magnetycznej. Miał czarne włosy i ubrany był w biały strój sanitariusza.

— To on — szepnęła.

— Gdzie jest wejście? — zapytał Anders.

Niepotrzebnie po raz kolejny sprawdził rewolwer: odchylił bębenek i po chwili zamknął go z cichym trzaskiem.

— Tam. — Janet wskazała drzwi znajdujące się jakieś sześć metrów dalej.

— Czy są tu inne wejścia?

— Nie.

Jej serce łomotało coraz szybciej. Przeniosła wzrok z twarzy Andersa na trzymany przez niego rewolwer, po czym znów spojrzała mu w oczy.

— Dobra, proszę tu zostać.

Kapitan delikatnie przycisnął jej ramię, aby kucnęła niżej. Powoli zaczął się skradać ku wejściu. Raz tylko zatrzymał się, przyklęknął i obejrzał na nią. Janet zdumiało, że on także się boi, wyraźnie świadczyła o tym jego mina. Anders trzymał rewolwer przed sobą, w wyciągniętej sztywno ręce.

Wszyscy tak samo odczuwamy lęk, pomyślała.

Niespodziewanie policjant się poderwał, kopniakiem otworzył drzwi, wskoczył do środka i padł na podłogę. Do Janet doleciał stłumiony okrzyk:

— Benson!

Niemal w tej samej chwili padł strzał. Zaraz potem drugi i trzeci. Ross nie umiała powiedzieć, który z nich strzelał. Widziała jedynie stopy leżącego na podłodze Andersa, wystające przez nie domknięte drzwi. Nieco wyżej pokazała się strużka szarawego dymu, który wypływał powoli na korytarz.

Padły kolejne dwa strzały, po których rozległ się głośny okrzyk bólu. Janet zamknęła oczy i przycisnęła policzek do puszystej wykładziny. Anders ponownie krzyknął:

— Benson! Poddaj się!

To na nic, pomyślała. Czy on tego nie rozumie?

Padło kilka następujących szybko po sobie wystrzałów. Okno ponad nią się rozprysło; wielki kawał szyby wylądował na podłodze, okruchy szkła posypały się jej na włosy i ramiona. Potrząsnęła

energicznie głową. Nagle, ku jej zdumieniu, na wykładzinie w korytarzu wyładował Benson. Widocznie musiał zanurkować głową naprzód przez rozbite okno i znalazł się tuż obok niej, niemal na wyciągnięcie ręki. Dostrzegła zakrwawioną nogawkę spodni.

— Harry... — szepnęła dziwnie zachrypniętym głosem. Ogarnęło ją przerażenie. Wiedziała dobrze, iż nie powinna się bać tego człowieka, że okazując lęk działa na jego szkodę, podważa budowane z takim trudem zaufanie, jak gdyby dopuszczała się zdrady — niemniej odczuwała paniczny strach.

Benson spojrzał na nią niewidzącym wzrokiem, poderwał się i rzucił do ucieczki korytarzem.

— Harry, zaczekaj...

— Nieważne — rzucił Anders, który wybiegł z sali komputera i pognał za Bensonem; wciąż trzymał rewolwer w sztywno wyprostowanej ręce.

Zachowanie policjanta było absurdalne, Janet wprost chciało się śmiać. Usłyszała jedynie echo kroków umykającego Bena; kapitan również zniknął za zakrętem korytarza, kontynuując pościg. Odgłos ich kroków rozbrzmiewał cichnącym z wolna staccato.

Ross została sama. Podniosła się powoli. Zdawała sobie sprawę, jak to wszystko musi się skończyć. Benson, niczym ścigane zwierzę, wypadnie zapewne przez któreś drzwi i gdy tylko znajdzie się na dziedzińcu, w polu ostrzału, policjanci położą go trupem. Wszystkie wyjścia zostały obstawione, nie istniała możliwość ucieczki. Pomyślała, że nie ma ochoty być świadkiem tych wydarzeń.

Weszła do sali i rozejrzała się dookoła. Centralny komputer także był zdemolowany, dwie jednostki pamięci magnetycznej leżały przewrócone, a w głównym pulpicie widniały szeregi okrągłych otworów; spod konsoli sypały się na podłogę snopy iskier. Trzeba coś z tym zrobić, pomyślała, żeby nie wybuchł pożar. Poszukała wzrokiem gaśnicy i dostrzegła leżący w rogu pomieszczenia toporek strażacki. Po chwili zauważyła też rewolwer.

Podniosła go, zaintrygowana — broń wydała się jej o wiele cięższa niż przypuszczała. Zaciśnęła palce na zimnej, metalowej kolbie, mając wrażenie, że trzyma coś brudnego. Widziała, że Anders miał swój rewolwer, a zatem musiała to być broń Bena. Patrzyła na nią takim wzrokiem, jakby się spodziewała, że tym sposobem dowie się czegoś o jej właścicielu.

Z oddali, wzbudzając w piwnicznych korytarzach zwiokrotnione echo, doleciał odgłos czterech następujących szybko po sobie wystrzałów. Janet podeszła do wybitego okna i wyjrzała na zewnątrz. Ale nie dostrzegła i nie usłyszała niczego.

To chyba koniec, przemknęło jej przez myśl. Głośniejsze trzaski sypiących się iskier spowodowały, że odwróciła się szybko. Złowiła także dziwne, rytmiczne stukanie. Dopiero po chwili spostrzegła, że to koniec taśmy na obracającej się nadal szpuli uderza w obudowę.

Podeszła do czytnika i wyłączyła go. Jej uwagę przyciągnął ekran monitora, na którym bez końca

pojawiło się jedno słowo:

ERMINA

ERMINA

ERMINA

To chyba od słowa TERMINAL, przemknęło jej przez myśl.

Rozbrzmiały dwa następne strzały, tym razem nieco bliżej. Ross pomyślała ze zdumieniem, że jakimś cudem Benson jeszcze żyje i nadal ucieka. Wcisnęła się w kąt zdemolowanego pomieszczenia komputera i zastygła w bezruchu.

Kolejny wystrzał, teraz już całkiem blisko.

Na dźwięk zbliżających się kroków Janet przykucnęła za jedną ze stojących jeszcze szaf pamięci magnetycznej. Ta sytuacja wydała się jej komiczna: do tej pory Benson ukrywał się w sali komputera, a teraz ona musiała chować się przed nim za stojakiem z połyskującymi metalicznie panelami, jak gdyby one mogły ją w jakiś sposób ochronić.

Usłyszała przyspieszony, chrapliwy oddech; odgłos kroków umilkł; drzwi sali komputera otworzyły się nagle i zaraz zamknęły z cichym trzaskiem. Ross skuliła się jeszcze bardziej, ale przez to nie mogła dostrzec, co się dzieje.

W korytarzu znów rozbrzmiały szybkie kroki, ale biegnący człowiek minął pomieszczenie komputera i pognął dalej. Po chwili umilkło nawet echo i nastąpiła cisza. Janet ponownie usłyszała świszczący oddech oraz ciche pokastywanie.

Podniosła się na nogi.

Harry Benson w białym stroju sanitariusza, z zakrwawioną lewą nogawką spodni, leżał na podłodze, wciskając się w kąt pod ścianą. Był zlany potem, z trudem łapał powietrze i wbijał nieruchome spojrzenie prosto przed siebie, nie bacząc na to, co się dzieje w pokoju za jego plecami.

Janet nadal zaciskała palce na kolbie rewolweru, przez chwilę ogarnęło ją dziwne podniecenie. Miała bowiem okazję zakończyć to polowanie, wyciągnąć Bena żywego. Jakimś niezwykłym zrzędzeniem losu Harry nie zginął od kul policjantów i oto znów znalazła się z nim sam na sam. Tyle że teraz odczuwała radość.

— Harry.

Benson odwrócił głowę i zamrugał szybko, jak gdyby w pierwszej chwili nie mógł jej rozpoznać. Wreszcie na jego ustach wykwitł uśmiech.

— Witam, doktor Ross.

Uśmiechał się przyjaźnie. Janet ujrzała w wyobraźni siwowłosego McPhersona, który gratulował jej sprowadzenia Bensa żywego i ocalenia jego projektu. Nie wiadomo skąd przypomniła sobie też własnego ojca, który nagle poczuł się źle i musiał wyjść podczas uroczystości wręczania jej dyplomu w akademii medycznej. Czemu właśnie tamto wydarzenie odżyło teraz w jej pamięci?

— Wszystko będzie w porządku. Harry — powiedziała, starając się nadać własnemu głosowi pewny, rzeczowy ton.

Stała wciąż bez ruchu, nie uczyniła ani jednego kroku, aby nie spłoszyć Bensa. Patrzyła tylko na niego przez całą długość sali, ponad przewróconymi szafami pamięci magnetycznej.

Harry nie odzywał się, nadal oddychał szybko, z trudem łapiąc powietrze. Wreszcie obrzucił spojrzeniem zdemolowane części komputera.

— Ja to wszystko zrobiłem? — zapytał. — Czy to prawda?

— Pomożemy ci, Harry — rzekła Janet, układając jednocześnie w głowie plan działania.

Jeszcze dziś wieczorem trzeba było opatrzyć mu ranę postrzałową na udzie, rano zaś odłączyć mikrokomputer i przeprogramować go na inne elektrody, żeby układ zaczął funkcjonować prawidłowo. Istniała jeszcze szansa, aby zapobiec nieszczęściu, wykorzystać to wyjątkowe zrządenie losu. Ellis będzie mógł zatrzymać swój nowy dom, McPherson dalej pokieruje pracami badawczymi oddziału neuropsychiatrii. Powinni być jej wdzięczni, docenić zaangażowanie i...

— Doktor Ross... — Benson dźwignął się z podłogi i skrzywił z bólu.

— Nie ruszaj się, Harry. Zostań na miejscu.

— Ja muszę...

— Zostań na miejscu.

W jego oczach pojawił się złowieszczy błysk, a uśmiech zniknął z twarzy.

— Nie mów do mnie: Harry! Ja jestem pan Benson! Tak masz się do mnie zwracać! Pan Benson!  
— wycedził ze złością.

Janet zdumiał i zaniepokoił ten wybuch. Chciała mu przecież tylko pomóc. Czy on nie rozumie, że jedynie ona chce mu jeszcze pomóc? Wszyscy pozostali odetchnęliby z ulgą, gdyby zginął.

Benson usiadł na podłodze.

— Nie ruszaj się, Harry!

Ross wymierzyła do niego z rewolweru. Za późno pojęła, że to głupie posunięcie. Ale Benson ją rozzłościł. Wiedziała dobrze, iż nie powinna się wściekać na pacjenta, ale zadziałała odruchowo.

Tamten rozpromienił się, niczym uszczęśliwione dziecko.

— To mój rewolwer.

— Ale teraz ja go trzymam.

Krzywy uśmiech Bensaona przypominał grymas bólu. Mężczyzna stanął na chwiejnych nogach i ciężko oparł się plecami o ścianę. Na wykładzinie została ciemna, czerwona plama krwi. Harry spojrzał w dół, na zranioną nogę.

— Ja krwawię — rzekł.

— Nie ruszaj się, wszystko będzie w porządku.

— On mnie postrzelił w nogę... — Z powrotem przeniósł wzrok na nią i uśmiechnął się szeroko.

— Ty nie użyjesz broni, prawda? Nie zrobisz tego?

— Zrobię, jeśli będę musiała.

— Przecież jesteś moim lekarzem.

— Zostań na miejscu, Harry.

— Nie wierzę, że do mnie strzelisz — powiedział Benson, robiąc krok w jej stronę.

— Nie zbliżaj się, Harry.

Znów się uśmiechnął, uczynił jeszcze jeden krok, zachwiał się, lecz zaraz odzyskał równowagę.

— Nie wierzę, że do mnie strzelisz.

Janet ogarnęło przerażenie. Bała się, że będzie musiała go zabić, a jednocześnie lękała się odrzucić broń. Poczwała się nagle rozpaczliwie zagubiona, sam na sam z obłąkanym mordercą, pośród porzrzuconych części zdemolowanego komputera.

— Anders! — wrzasnęła. — Anders!

Jej krzyk odbił się echem w piwnicznych korytarzach.

Benson zrobił następny krok, nie spuszczał wzroku z jej twarzy. Znów się potknął i oparł ciężko o konsolę, rozdierając rękaw białej marynarki o kant jednej ze stacji dysków elastycznych. Przeniósł zdumione spojrzenie na swą rękę.

— Rozerwałem... — mruknął.

— Zostań tam, Harry. Nie ruszaj się.

Jakby gadać do zwierzęcia, pomyślała Ross. „Nie karmić i nie drażnić zwierząt!” Poczwała się jak



treser lwa na arenie cyrkowej.

Benson przez chwilę trwał w bezruchu, oparty o konsolę. Oddychał ciężko.

— Oddaj mi pistolet — powiedział. — Potrzebuję go. Masz mi go oddać.

— Harry...

Z głośnym jękiem odepchnął się od pulpitu i ponownie ruszył w jej kierunku.

— Anders!

— To na nic — rzekł Benson. — Nie ma już czasu, doktor Ross.

Wbijał w nią spojrzenie. Janet dostrzegła nagle rozszerzenie źrenic, kiedy otrzymał kolejny impuls stymulujący.

— To jest wspaniałe — powiedział i znów się uśmiechnął.

Stymulacja jak gdyby powstrzymała go na krótko. Zastygł w pół kroku, smakując przyjemne doznanie. Lecz już po chwili odezwał się lodowatym, beznamiętnym tonem:

— Widzisz? Ścigają mnie. Przeprogramowali swoje minikomputery przeciwko mnie. Uruchomili program polowania; ścigania i zabijania. To typowo ludzki program. Ścigać i zabijać. Czy ty tego nie rozumiesz?

Był już zaledwie kilka kroków od niej. Janet starała się pewnie trzymać rewolwer w dłoni, tak jak czynił to Anders. Ale palce zaczynały jej coraz silniej dygotać.

— Proszę, nie podchodź bliżej, Harry. Proszę...

Uśmiechnął się.

Zrobił następny krok.

Ross nie miała pojęcia, jak zareagować. Ku swemu zdumieniu stwierdziła, że kurczowo zaciska palec na spuście. Rewolwer nagle wypalił. Huk wystrzału ogłuszył ją, niespodziewane szarpnięcie poderwało rękę do góry; poleciała do tyłu, omal się nie przewróciła. Uderzyła plecami o ścianę.

Chmura dymu rozviała się szybko. Janet dostrzegła, że Benson zamrugał i uśmiechnął się jeszcze szerzej.

— To nie takie proste, jak się zdaje — rzekł.

Ross nadal kurczowo ścisnęła rewolwer w dłoni, ale teraz miała wrażenie, że jest ciepły. Uniosła broń, lecz ręka jej drżała o wiele bardziej niż przedtem. Objęła kolbę także palcami drugiej dłoni.

Benson podszedł bliżej.

— Nie zbliżaj się, Harry. Ja nie żartuję.

W jej głowie przewalały się setki bezładnych myśli. Przypomniła sobie Bensaona podczas ich pierwszego spotkania, kiedy wydał jej się potulnym człowiekiem, który boryka się ze straszliwymi problemami. Z jej pamięci wypłynęły obrazy z wielogodzinnych wywiadów, różnorodnych testów, wypróbowywania środków farmakologicznych. Przez cały czas uważała go za dobrego, uczciwego i bardzo przestraszonego mężczyznę. I nic z tego, co się wydarzyło, nie było jego winą. To ją należało obarczać odpowiedzialnością — ją, Ellisa, McPhersona i Morrisa.

Zaraz też przypomniała sobie Morrisa ze zmasakrowaną twarzą, zmienioną w krwawą miazgę, przypominającą kawał surowego mięsa.

— Doktor Ross — odezwał się Benson. — Pani jest moim lekarzem. Nie robi pani czegoś, co mogłoby mi sprawić ból.

Był już bardzo blisko. Wyciągał rękę po rewolwer. Całe ciało Janet przeszły niesamowity dreszcz na widok wysuniętych w jej stronę dłoni, zaledwie centymetry od lufy, sięgających po broń, po nią...

Nacisnęła spust.

Benson z niezwykłą zręcznością rzucił się do tyłu i skoczył wysoko, chcąc umknąć przed pociskiem. Janet odczuła radość, że zdołała zwiększyć dystans między nimi bez konieczności zadawania mu bólu. Spodziewała się, że zaraz przybiegnie Anders, pomoże jej obezwładnić chorego, przygotować go do przeniesienia na oddział chirurgiczny.

Harry uderzył plecami o konsolę, zwałając na podłogę drukarkę, która niespodziewanie zaczęła mechanicznie terkotać, zapewne drukując jakiś komunikat komputera. Osunął się na wykładzinę i przekręcił na wznak. Z jego piersi popłynął gęsty strumień krwi. Niemal w jednej chwili cały przód białej marynarki stał się ciemnoczerwony.

— Harry? — mruknęła niepewnie Janet.

Benson leżał bez ruchu.

— Harry? Harry?!

Niewiele zapamiętała z tego, co się później działo. Nie wiadomo skąd pojawił się Anders i delikatnie wyjął rewolwer z jej dłoni. Janet przesunęła się w sam róg pomieszczenia i patrzyła, jak trzech mężczyzn w szarych skafandrach wnoszą wielki, plastikowy pojemnik z uchwytyami. Wnętrze kapsuły było wysłane dziwaczną, grubą wykładziną w miodowożółtym kolorze. Dźwignęli ciało Bensaona, starając się za wszelką cenę nie poplamieć ubiorów ochronnych jego krwią, i umieścili je w plastikowym pojemniku, po czym zamknęli hermetyczną kapsułę. Dwaj z nich zabrali pojemnik, trzeci natomiast obszedł całą salę z licznikiem Geigera, który terkotał jak oszalały. Nie wiadomo dlaczego ten dźwięk skojarzył jej się z przestraszonymi małpami. Wreszcie mężczyzna pochylił się także nad nią, ale nie mogła dostrzec jego twarzy poprzez przyciemnioną szybę w ciężkim, szarym hełmie

skafandra.

— Proszę lepiej opuścić to pomieszczenie — powiedział.

Anders otoczył ją ramieniem i przytulił do siebie, kiedy Janet wstrząsnął niepohamowany spazm płaczu.

## Posłowie

Od czasu pierwszego wydania tej książki wielu neurologów sygnalizowało mi, że opisane w niej objawy epilepsji psychomotorycznej znacznie różnią się od rzeczywistych. Wszyscy fachowcy utrzymują, że ludzie cierpiący na tę chorobę wcale nie wykazują większych skłonności do agresji niż przeciętni obywatele. Są także zgodni co do tego, że epileptyk w czasie ataku nie może nikomu wyrządzić krzywdy, chyba że przypadkiem. Twierdzą, iż w pełni świadoma, celowa przemoc tylko w wyjątkowych okolicznościach może być skutkiem ataku epilepsji psychomotorycznej.

Jednak każda prośba o wyjaśnienie dobrze udokumentowanych przykładów agresywnych zachowań epileptyków spotyka się z argumentami, że powtarzające się akty przemocy i gwałtowność nie mogą być w żaden sposób związane z atakami choroby. Co najwyżej neurologzy nazywają takie zachowanie „pseudepileptycznym”. Inni zaś twierdzą, że bezpośrednią przyczyną agresji nie jest omawiane schorzenie, ale może nią być dowolne uszkodzenie mózgu — w tym również takie, które powoduje epilepsję — choć z reguły tylko w sporadycznych wypadkach prowadzi to do utraty wszelkich hamulców i stosowania brutalnej przemocy.

Bez względu na to, w jakim stopniu uznamy te wyjaśnienia za wystarczające, nie ulega raczej wątpliwości, że chyba żaden z neurologów zajmujących się ludźmi chorymi na epilepsję psychomotoryczną nie spotkał w swojej karierze takiego pacjenta jak Harry Benson, bohater powieści CZŁOWIEK TERMINAL. W przytłaczającej większości epileptycy nie są ludźmi agresywnymi czy zboczonymi seksualnie — prowadzą spokojne i przykładowe życie, pracują zawodowo, mają rodziny. Ataki ich choroby są zwykle ściśle kontrolowane.

Wobec tak znaczących rozbieżności wśród naukowców, specjalistów neurologii, zmuszony jestem przyznać, że istnienie ścisłego związku między uszkodzeniami mózgu a napadami agresji nie jest dla mnie już tak oczywiste jak wówczas, kiedy pisałem tę powieść. Wierzę, że w tej mało zbadanej dziedzinie w najbliższych latach dokonanych zostanie wiele znaczących odkryć. W pełni zdaję sobie jednak sprawę, że być może nieświadomie przyczyniłem się do nasilenia wrogich postaw wobec ludzi cierpiących na epilepsję, którzy i tak z trudem próbują wieść normalne życie w społeczeństwie. W żadnym wypadku nie było to moim zamiarem.

Michael Crichton

Los Angeles

Grudzień 1972